www.tygodnikprzegląd.pl
Przegląd
Nr 30 (1124)
19-25.07.2021
Cena 7,50 zł
(w tym 8% VAT)

Bush, służby i Kościół – kulisy wyboru Jaruzelskiego

Lewica – koniec partii wodza

Krótkie podskoki posła Czartoryskiego

Czym drogerie kuszą panów

Młodzi w kontrze

NIE KUPILI KŁAMSTW O PRL

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
30 >
9 771509 311102

eprasa.pl 8bc22f5f95

Książka PRZEGLĄDU!

WOJNA SZPIEGÓW ROSJI, USA I CHIN
WSZYSTKIE CHWYTY DOZWOLONE

Tomasz Turowski
ZABIJ POŻYCZONYM MIECZEM
Najnowsza seria powieści sensacyjnych!

Już wkrótce kolejne części:
CHICHOT HIENY
WZROK CERBERA

37 zł

www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Wpłaty 37 zł prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Pocztą Polską.
Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, paczka w RUCH-u +6,99 zł, paczkomat InPost +11,90 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

eprasa.pl 8bc22f5f95

Jerzy Domański

Lecimy bez pilota

Nie zaszczepię się. Bo nie. Bo jestem wolnym człowiekiem. I co mi zrobicie? Czasy się zmieniają, a u nas ciągle aktualne jest stare powiedzenie: musi to na Rusi, a w Polsce jak kto chce. Bo czy ktoś na własne oczy widział koronawirusa? Kalorii też nikomu nie udało się zobaczyć. W przeciwieństwie do milionów rodaków dźwigających dodatkowe kilogramy, których trudno nie zauważyć.

Antyszczepionkowcy są wśród elektoratów wszystkich większych partii. Ale za wprowadzeniem surowszych obostrzeń wobec nich opowiada się mniejszość Polaków. Za to wśród polityków jest odwrotnie. Na pytanie, czy powinien zostać wprowadzony obowiązek szczepień przeciw COVID-19, wielu polityków, choć ostrożnie, odpowiada jednak pozytywnie. Po części dlatego, że mają większą wiedzę i niedobre doświadczenia związane z wprowadzeniem lockdownu. Wiedzą, że z dwojga złego lepiej teraz sięgnąć po drastyczne rozwiązania, by w wyniku zaniechań nie trzeba było potem sięgać po jeszcze gorsze.

Jest nad czym myśleć, bo ten stan względnego spokoju, jaki mamy teraz, to tylko przerwa w toczącej się batalii. I szansa na lepsze przygotowanie się do kolejnego etapu. Czy potrafimy tę lukę między falami pandemii wykorzystać, by lepiej bronić się jesienią?

Gdyby za walkę z covidem odpowiadali ludzie, którzy podejmują decyzje, opierając się na racjonalnych argumentach, faktach i interesach większości obywateli, to mimo tak ogromnej skali nieszczęścia można byłoby uwierzyć, że leci z nami pilot. Niestety, premier Morawiecki i minister Dworczyk takimi pilotami nie są. Ubrali się w mundury pilotów, wyglądają jak piloci, ale zachowują się jak aktorzy w teatrze. Wszystko, co robią, poprzedzone jest testowaniem reakcji widowni. Za wszelką cenę chcą się podobać. A to wyklucza zdolność do podejmowania trudnych, bo niepopularnych decyzji. Piszę to po lekturze mejli, jakie panowie do siebie pisali, nie dbając o zabezpieczenie korespondencji. Gdy przed Wielkanocą trzeba było poddać kwarantannie Polaków przylatujących z Wielkiej Brytanii na święta, nie zrobiono tego, bo to bardzo by się nie spodobało przylatującym i ich rodzinom.

Trzeba mieć wyjątkowego pecha, choć to w gruncie rzeczy efekt wyborów, by w tak niebezpiecznym momencie byli w rządzie akurat tacy dowódcy, których natura nie obdarzyła silnym charakterem ani odwagą.

Boję się, że gdy będą musieli podejmować radykalne decyzje, to na kunktatorskim ważeniu plusów i minusów minie im ta ostatnia godzina. I zostaniemy z jeszcze większym problemem. Życie Polaków nie jest w dobrych rękach.

BĄKOWSKI

CYTATY

FRANS TIMMERMANS,
wiceprzewodniczący Komisji Europejskiej
Polska może jeszcze wszystkich zaskoczyć tempem transformacji.
„Rzeczpospolita"

TOMASZ SEKIELSKI, reporter
Nie ma ludzi, którzy nie upadają, są jednak tacy, którzy się nie podnoszą.
„Twój Styl"

JACEK CYGAN,
autor tekstów piosenek, poeta
Największe straty poniosła kultura, dlatego że ludzie zaczynają uważać, że bez kultury można żyć.
„Pani"

JOANNA TRZEPIECIŃSKA,
aktorka, piosenkarka
Perfekcjonizm jest okropny, bo nigdy nie można osiągnąć ideału.
„Zwierciadło"

eprasa.pl 8bc22f5f95

W NUMERZE

KRAJ

8 **Młodzi w kontrze**
Pokoleniowy spór o PRL
12 **Chlebtuba, Leftawka i inni**
Lewicowe social media
14 **Koniec partii wodza**
Bunt w Nowej Lewicy
16 **Jak leśnik leśnikowi…**
Domy dla swoich za bezcen
18 **Pod wysokim napięciem**
Poseł Czartoryski i kłopoty z elektrownią
20 **Poczta Polska walczy z PRZEGLĄDEM**
22 **Kolejny raz pudło? – cz. II**
Zabójstwo Jaroszewiczów
58 **To Suwalszczyzna wita**
Region piękny i gościnny

HISTORIA

26 **Jaruzelski: ostatni rozdział**
Wybór pierwszego prezydenta III RP

ZAGRANICA

30 **Związek Polaków w rękach Tomaszewskiego**
Prawoskręt polonijnej organizacji na Litwie
32 **Premier z dredami zamiast miliardera**
Czy Czesi postawią na Partię Piratów?
36 **Plac budowy Ameryka**
Biden chce unowocześnić kraj
38 **Meksykańska rzeźnia w Genui**
Korespondencja z Włoch
42 **Wymiatanie spod dywanu**
Anglia bada sprawy molestowania dzieci

KULTURA

46 **Beksiński. Kolekcja z miłości**
– rozmowa z Piotrem Dmochowskim
48 **Każda najpiękniejsza kobieta świata**
Relacje damsko-męskie według Pilcha
51 **Qulturalia**
66 **Izolacja – malarstwo Łukasza Towpika**

EKOLOGIA

52 **Europa bez klatek**
Nowe przepisy odmienią los zwierząt

ZDROWIE

54 **Śladami hiszpańskiej muchy**
Prawda o medykamentach dla panów

STYL ŻYCIA

56 **Chińska recepta na zdrowie**
– rozmowa z Moniką Biblis

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Lecimy bez pilota
13 **Jan Widacki**
Oni nie wiedzą, czym jest Unia Europejska
21 **Roman Kurkiewicz**
Cnoty niewieście, czołgów ze dwieście
29 **Andrzej Romanowski**
Dług wdzięczności
35 **Tomasz Jastrun**
Ugruntowanie cnót niewieścich
45 **Wojciech Kuczok**
Nieładnie

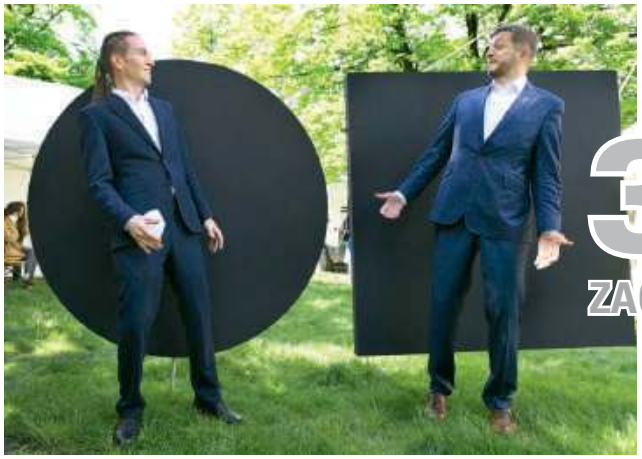

32
ZAGRANICA

PREMIER Z DREDAMI ZAMIAST MILIARDERA
Czy Czesi postawią na Partię Piratów?

52
EKOLOGIA

EUROPA BEZ KLATEK
– rozmowa z Małgorzatą Szadkowską

66
GALERIA

IZOLACJA – MALARSTWO ŁUKASZA TOWPIKA

Projekt okładki: Daria Słowińska-Kettner

FOT. SHUTTERSTOCK, KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 8bc22f5f95

Prywatna partia Czarzastego

Nazwa Lewica (Nowa, Młoda, Współczesna, Zreformowana, Na Czasie…) jest tak pojemna, a przy tym nienosząca treści, że warto się zastanowić nad jej zmianą. Jak zatem określać osoby skupione wokół przekonań postępowych, nieróżnicujące ludzi i chcące każdemu zapewnić równy start? Czy wystarczająco nośne będzie słowo socjaldemokracja? Socjaldemokracja zmierza do rozwiązywania spraw na zasadzie kompromisu przy zachowaniu reguł gry. Socjaldemokracja to też ciągłe doskonalenie, zachęcanie ludzi do bycia współobywatelami w stosownym zakresie.

To również wybór mądrych, nowych technologii z umiejętnością ich wdrażania. Nie można zatem akceptować energetyki uranowej, kopalni uranu, których wprawdzie u nas nie ma, ale już Australia zamierza je zamykać, bo są groźne dla ludzi i środowiska. Czy jednak podobnie zrobi Kazachstan, Niger…? Ci z lewicy, którzy puszczają oko do kapitału i popierają kolonialną dewastację środowiska oraz energetykę uranową, aby mieć wsparcie przy wyborach, są niewiarygodni. Współobywatele, którzy chcą popierać socjaldemokrację, nie chcą i nie mogą się godzić na takie uniki. Brnąc w coraz większe ustępstwa wobec „pańskich" zachcianek molochów, lewica nie jest i nie będzie w stanie zatrzymać się na tej równi pochyłej. Zawsze będzie lobbystom za mało, bo tacy jesteśmy – nastawieni na zysk i pazerni. Mając to na uwadze, łatwiej się porozumieć i rozmawiać, łatwiej powiedzieć patologiom stop. *Dorota Kaczmarek*

•

Czarzasty to klęska, ale widzę, że część SLD wciąż chce za wszelką cenę połączyć się z PO. *Robert Orłowski*

•

Grupy działające jako partie pod nazwami lewicy – lewicą nie są. Można mówić o osobach z lewicowymi poglądami, postawami i w taki sposób działających. Zapewne osoby te stworzyłyby prawdziwie lewicowy ruch społeczny, ale kasę mają ci, którzy tylko wystawili szyldzik lewica, a oni nie odpuszczą koryta poselskiego, kasy, synekur, wizji dorobienia się lub wypromowania medialnego. Niestety, ludzie mądrzy opuścili pokład partyjny lub nań nie wejdą, ponieważ... są mądrzy. Ich jednak nikt nie słucha, nie wspominając o stosowaniu się do rozumnych wskazań. *Piotr Krzeszewski*

Dlaczego tylu ludzi z różnych środowisk wierzy, że Donald Tusk obali PiS?

Bo im się czas zatrzymał? Lub chorują na syndrom pamięci wybiórczej? To ostatnie jest najbardziej prawdopodobne. Kompletnie wyparli z pamięci powody, dla których PO przestała rządzić, jak i to, dzięki komu jesteśmy od sześciu lat w czarnej dziurze. *Ewa Ch-a*

•

Tusk wrócił nie po to, by pokonać PiS, ale by wygrać z ruchem Hołowni. Nie obali PiS, ale ma szansę uratować hegemoniczną rolę PO wśród partii opozycyjnych. *Arek Domeredzki*

ZDJĘCIE TYGODNIA

Na Kubie trwają antyrządowe protesty. Demonstracje w wielu miastach są reakcją na największy od 30 lat kryzys, który przyniósł m.in. ograniczenia w dostawach prądu i żywności.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 8bc22f5f95

Prof. Adam Bodnar zakończył przedłużoną kadencję rzecznika praw obywatelskich. Pełnił tę funkcję w sposób wzorcowy. Niezwykle kompetentny, z wielką znajomością prawa, a przede wszystkim z ogromną wrażliwością na problemy wszystkich krzywdzonych. Był ważnym ogniwem demokracji. Gratulujemy osiągnięć i charakteru.

Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej w Luksemburgu orzekł, że Izba Dyscyplinarna przy Sądzie Najwyższym jest niezgodna z prawem unijnym: „Polska została zobowiązana do natychmiastowego zawieszenia stosowania przepisów krajowych".

544 mln zł wydano w 2020 r. w miastach w ramach budżetów obywatelskich, czyli zgodnie z decyzją mieszkańców. Największe możliwości mieli mieszkańcy Sopotu, w którym na jednego mieszkańca przypadło 120 zł. A dalej Świnoujścia i Bielska-Białej – po 59 zł, i Gorzowa Wlkp. – 57 zł.

Laureatkami Nagrody im. Wisławy Szymborskiej zostały: za 2019 r. poetka Anna Adamowicz za tom „Animalia" i **za 2020 r. Genowefa Jakubowska-Fijałkowska** za tom „Rośliny mięsożerne". Laureatki otrzymały po 50 tys. zł.

Rekordy popularności wśród kandydatów na studia bije psychologia na Uniwersytecie Wrocławskim (33 osoby na jedno miejsce), **koreanistyka** (32, też na UWr) **i inżynieria nanostruktur na UW** (23 osoby).

Od początku pandemii w Polsce infekcję koronawirusem potwierdzono u 2 881 241 osób, z których 75 205 zmarło (stan na 16 lipca).

Abp Wiktor Skworc, metropolita katowicki, złożył rezygnację z funkcji w episkopacie i poprosił Watykan o następcę. Powodem są zaniedbania w sprawach pedofilii w Kościele, jakie na nim ciążą, od czasu gdy był biskupem w Tarnowie.

Wyborcom Andrzeja Dudy zawdzięczamy 20 lotów samolotem rządowym do Krakowa. W ciągu roku tyle weekendów spędził prezydent z mamusią i tatusiem. Wylot w piątek i powrót w niedzielę. Kosztowne dla podatników jest życie bezkrytycznego wielbiciela Donalda Trumpa.

Przeciwko francuskiemu bankowi BNP Paribas rozpatrywanych jest w sądach 1378 spraw wytoczonych przez frankowiczów. W ciągu roku liczba spraw wzrosła o 280%.

Adam Niebrzydowski, burmistrz Jedwabnego (z PiS), **nie pofatygował się na obchody 80. rocznicy mordu dokonanego na Żydach przez ich polskich sąsiadów.**

6 mld zł niespłaconych zobowiązań mają Polacy w wieku 18-35 lat. Co czwarty dłużnik odnotowany w Krajowym Rejestrze Długów jest w tym wieku.

PRZEBŁYSKI

1800 metrów na dwóch

W korowodzie ponuraków maszerującym pod szyldem dojnej zmiany wyróżniają się ministrowie Andrzej Adamczyk i Mariusz Błaszczak. Podajemy ich nazwiska w kolejności alfabetycznej, bo politycznie Błaszczak waży tyle co dwóch Adamczyków. Pewno myślicie, że jak tych dwóch orłów gdzieś jedzie na wspólny występ, to ho, ho! A wyszło jak zwykle, ha, ha. W Legionowie A. i B. wspólnie przecięli wstęgę i otworzyli drugą jezdnię drogi nr 61. CAŁE TYSIĄC OSIEMSET METRÓW (1800). Po 900 m na główkę ministra.
A budowa, choć trwała cztery lata, i tak jest o rok spóźniona.

Rokita o Łukaszence

Czy polityk, który wybrał życie poza polityką, może na tym zyskać? Wątpicie? No to poczytajcie, co o Białorusi ma do powiedzenia Jan Rokita („Sieci"). „Bilans rewolty białoruskiej jest dla polskich interesów katastrofalny. Polityka sankcji i izolacji reżimu Łukaszenki stan ów jedynie pogarsza, prowadząc do już niemal nieuchronnego wchłonięcia państwowości białoruskiej przez Rosję".
„Rząd PiS od czasu do czasu nawet schlebiał mińskiemu tyranowi w sposób mało estetyczny, w czym wyspecjalizował się zwłaszcza Karczewski i Waszczykowski, który próbował nawet zamknąć Biełsat TV, kłujący od zawsze mińskiego tyrana w samo serce. PiS nie wymyślił sam takiej taktyki. Podążał tu tropem Radka Sikorskiego, który w roku 2008 był głównym autorem europejskiej zmiany frontu wobec Łukaszenki".

Szkolnikowski i Borek. Żenada

Kibice ukarani przez piłkarzy słabiutką grą dostali sfermentowany deser od namiestnika telewizyjnego sportu. Dyrektor TVP Sport Marek Szkolnikowski wyznaczył na finał ME sprawozdawców jak z koszmarnego snu. Mateusz Borek i Kazimierz Węgrzyn. Słabszych od nich w ekipie nie było. Pletli z szybkością starego cekaemu. Kompromitacja na całego. I to przewidywalna. Borek to facet, który w Polsacie zajmował się reklamą zakładów bukmacherskich. I zarabianiem na organizacji walk bokserskich, które później bez żenady komentował. Kasa nie tylko się zgadzała, była wręcz na dużym plusie. A Szkolnikowski? Typowy szkodnik z głębokiego zaplecza. Zapisał się głupotą dekady. Odsunął od finału na Wembley Dariusza Szpakowskiego. Najlepszego odesłał do rezerwy. Zaiste głęboki to myśliciel.

Święcona z automatu

Tarnobrzeg, nieszczególnie znany z cudów (jak dotąd), ufundował sobie cud techniki. No, trochę przesadziliśmy. Choć z drugiej strony bezdotykowy automat do wody święconej zainstalowany m.in. w parafii Wniebowzięcia NMP to w Kościele prawdziwa rewolucja. Kaganek postępu klasztorowi dominikanów i innym świątyniom ufundował urząd miasta. I tak za 1100 zł (brutto) za sztukę Tarnobrzeg zrobił coś jako pierwszy w Polsce.

FOT. TWITTER (2), YOUTUBE

eprasa.pl 8bc22f5f95

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

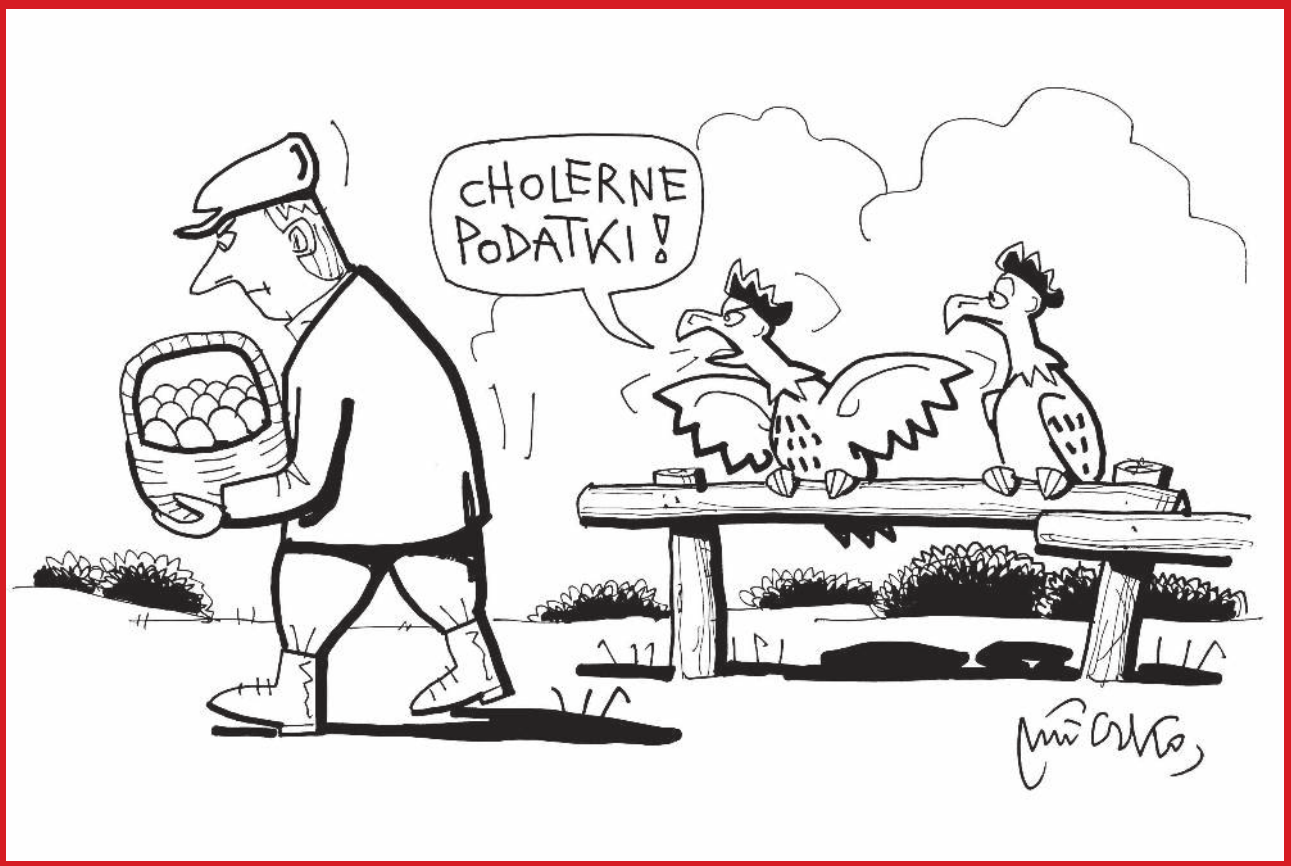

www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Jak przekonać Polaków do szczepień?

DR ANTONINA DOROSZEWSKA,
Studium Komunikacji Medycznej, Warszawski Uniwersytet Medyczny

Należy przede wszystkim znać powody, dla których Polacy nie decydują się na szczepienie. Dane te mamy z różnych badań. Myślę, że kluczowe znaczenie ma także praca u podstaw, czyli rozmowy, które każdego dnia prowadzą lekarze z pacjentami. To właśnie w gabinecie lekarza jest największa szansa na przekonanie do decyzji o szczepieniu. Szczepienia powinny być tematem rozmowy przy każdej wizycie chorego. Lekarz, który pozna powody, dla których pacjent nie decyduje się na szczepienie, stworzy atmosferę zaufania i szacunku, będzie mógł powiedzieć, dlaczego warto się szczepić. Prawdopodobnie nie od razu przekona pacjenta, ale może zasieje ziarno wątpliwości. A to może być pierwszy krok w kierunku punktu szczepień.

WOJCIECH KONIECZNY,
senator PPS, lekarz

Przede wszystkim należy bazować na wynikach badań socjologicznych i dobierać metody komunikacji do tego, na czym najbardziej zależy poszczególnym grupom społecznym. Warto pokazywać, co może się dziać we wrześniu czy październiku z osobami, które się nie zaszczepią. Że np. może być konieczne uniemożliwienie im uczestnictwa w imprezach masowych, takich jak koncerty, ograniczenie dostępu do nabożeństw (uważam, że episkopat powinien ogłosić gotowość do takich działań) itd. Poza tym dobrą formą promocji szczepień jest walka z fake newsami i docieranie do jak największej liczby osób z rzetelnymi informacjami na temat działania ochronnego szczepionek.

AGNIESZKA JĘDRASIK,
agencja mediowa Starcom

Z naszych badań wynika, że decyzja o szczepieniu motywowana jest w pierwszej kolejności własnym bezpieczeństwem. Troska o innych, nawet najbliższych, znajduje się znacznie niżej w rankingu. Dlatego kampania promocyjna powinna się skupiać na osobistych korzyściach ze zgłoszenia się do punktu szczepień. Powinna być też adekwatna dla osób poniżej 45. roku życia, wśród których jest najwięcej przeciwników tej formy profilaktyki. Kampania oparta na współpracy z ambasadorami, tak jak było to robione dotychczas, może przynieść dobre efekty, ale po pierwsze, powinni to być idole grup wiekowych, w których obserwujemy najmniejsze zainteresowanie szczepieniami, a po drugie, powinni mieć podobne obawy jak odbiorcy kampanii i zachęcać do szczepień z konkretnego powodu. Aby dotrzeć do nastolatków, powinniśmy także odpowiednio dobrać media, czyli zamiast spotów w TV wykorzystać formy komunikacji dopasowane do mediów społecznościowych. Cenne byłoby też podkreślanie, że ozdrowieńcy nie nabierają trwałej odporności. Zgodnie z naszymi badaniami często rezygnują oni ze szczepień, zapewne z powodu pozornego poczucia bezpieczeństwa. Wygląda na to, że albo rozwiejemy wątpliwości konkretnych grup nastawionych sceptycznie, albo jedynym ratunkiem będzie wprowadzenie restrykcji dla niezaszczepionych, podobnie jak we Francji.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl 8bc22f5f95

Młodzi w kontrze

Nie kupili kłamstw o PRL

Jakub Dymek

Czy to się komuś podoba, czy nie, w Polsce – szczególnie po opozycyjnej stronie – mamy wojnę pokoleń. Generacja „rodziców transformacji", ludzi, którzy weszli w dorosłość na przełomie lat 80. i 90., ściera się z pokoleniem „dzieci transformacji", dzisiejszych 20-, 30-latków. Wśród tych pierwszych częstsze są bezkrytyczny stosunek do III RP i jej filarów – terapii szokowej, kultu papieża Polaka, prywatyzacji – oraz awersja wobec wszystkiego, co państwowe i społeczne. Ich dzieci zaś coraz częściej nie poprzestają na samych wątpliwościach co do decyzji starszych generacji i kształtu Polski ostatnich 30 lat. Więcej – trochę z przekory, a trochę z przekonania mówią o pozytywnych wymiarach PRL-owskiego socjalizmu. O rzeczach, które należy nie tylko przypomnieć, ale wprost przywrócić: masowym budownictwie mieszkaniowym i spójnym planowaniu urbanistycznym, inwestycjach w publiczny transport, prawie do aborcji. To nieraz doprowadza do szału dzisiejszych 50-latków, którzy mówią, że ceną za te mieszkania i bezpieczne miejsca pracy w przemyśle były puste półki, zamknięte granice, międzynarodowa izolacja i szarzyzna, od której chciało się wyć.

Ten spór u nas to także część większego światowego zwrotu. Badanie Pew Research Center z 2019 r. pokazało, że równo połowa Amerykanów przed trzydziestką ma pozytywne zdanie o socjalizmie. W innym sondażu, pracowni YouGov, 70% młodych wyborców stwierdziło, że poprze polityka identyfikującego się z socjalizmem, a przynajmniej tego nie wyklucza. Tylko 57% młodych powiedziało, że uznaje wyższość amerykańskiej Deklaracji niepodległości nad Manifestem komunistycznym. A ponad jedna trzecia – 36% – pozytywnie wypowiada się o komunizmie, przy czym ok. 20% uważa, że ideały wolności i równości lepiej wyrażają prace Marksa i Engelsa niż amerykańskich ojców założycieli.

W Polsce podobne wyniki są pewnie nie do powtórzenia – zresztą popularność lewicy w sondażach postaw najmłodszego pokolenia wystrzeliła w górę dosłownie chwilę temu. Ale do głosu dochodzi pokolenie aktywistów, polityczek i ekonomistów czy historyków, którzy całkiem jawnie odwołują się do słowa socjalizm czy do kategorii ludu. I którzy uważają, że to nie PRL, ale Polsce po 1989 r. należy się surowe rozliczenie.

Godna praca lepsza niż owocowe wtorki

– Pochodzę z miejscowości, gdzie istnieje jeszcze kombinat rolny, kontynuacja PGR-owskiego gospodarstwa, w którym pracowali moi dziadkowie i ojciec. Widziałam z bliska, co znaczyło być zatrudnionym w PGR i widziałam skutki transformacji dla mieszkańców tego regionu. Sprzeciw wobec tych procesów znam wręcz od dziecka – mówi Katarzyna Duda, autorka książki „Kiedyś tu było życie, teraz jest tylko bieda". Duda opisuje w niej losy takich zawodów i miejsc, w których po 1989 r. było szczególnie ciężko: górników w Wałbrzychu, robotników w zakładach Diora w Dzierżoniowie czy personelu ochrony i utrzymania czystości z umowami śmieciowymi na groszowe stawki. Podtytuł jej książki to: „O ofiarach polskiej transformacji".

– Wychowywałam się w miejscu, gdzie do zakładu pracy było blisko, było mieszkanie, otrzymaliśmy działkę i chlewik, w którym rodzice hodowali zwierzęta. Były też basen, boiska i place zabaw i więcej przestrzeni wspólnych. Dziś ludziom na prowincji nie oferuje się takiego zaplecza i usług. Przepraszam bardzo, ale owocowe wtorki w korporacjach nie mogą się równać z otrzymaniem mieszkania – mówi Katarzyna Duda. Działała w związkach zawodowych i kandydowała do Sejmu z list Lewicy (ostatnio, bez powodzenia, w 2019 r.). Jako badaczka zajmowała się problemem obniżania standardów zatrudnienia i psucia rynku pracy przez urzędy, instytucje samorządu i administracji publicznej. Jest młodsza niż przemiany ustrojowe w Polsce, rocznik 1990.

– W III RP ceną przetrwania jakiegoś zakładu pracy było często pozbawienie ludzi tych usług – sportu, mieszkań, wczasów, sklepu. Ja z perspektywy dojrzewającej osoby postrzegałam to jako ograniczanie wolności i zabieranie ludziom rzeczy, które im obiecano i dano. To rodziło wkurzenie – kontynuuje autorka „Kiedyś tu było życie…". Odejście z pracy jej ojca i czasy, gdy rodzice wyjeżdżali za granicę, bo w Polsce nie mogli znaleźć zatrudnienia, były niełatwe.

Koniec rządów Platformy i wygrana PiS okazały się przełomem na wielu poziomach, przekonuje Duda. I to nie tylko dlatego, że niejednokrotnie partię Kaczyńskiego poparli ci sami ludzie, których losy opisywała w książce. Krytycy polityki socjalnej krzyczą, że programy w rodzaju 500+, minimalna stawka godzinowa czy leki za złotówkę to socjalizm i „powrót do PRL". Ale ludzie, którym od tego się polepsza, mogą pomyśleć, że skoro tak, to może PRL i socjalizm nie są tak straszne. – Być może ci, którzy korzystają z transferów społecznych, zaczynają myśleć o Polsce Ludowej cieplej. Nie mamy na to żadnych badań, ale to fakt, że PRL jako hasło

Badanie Pew Research Center z 2019 r. pokazało, że połowa Amerykanów przed trzydziestką ma pozytywne zdanie o socjalizmie.

eprasa.pl 8bc22f5f95

zaczęła znów żyć w debacie – mówi Duda i podsumowuje: – Niedawno przypomniałam w tekście, że w konstytucji PRL było zapisane prawo do pracy. Zarzucono mi, że to utopia. Tyle że jeśli coś istniało, to nie mogło być utopią, prawda?

My mamy dystans

Zagraniczne stypendia i otwarcie się polskiej debaty na nowe nurty czy lektury spowodowały, że do głosu doszli także młodzi ekonomiści krytyczni wobec kapitalizmu. Co pewnie jest nieco przewrotnym skutkiem dołączenia Polski do liberalnej globalizacji. Wśród tych ekonomistów jedni – jak grupa Dobrobyt na Pokolenia, związana z zachodnimi uczelniami – zajmują bardziej socjaldemokratyczne czy socjalliberalne, bliższe centrum pozycje. Drudzy, jak Jan J. Zygmuntowski, rocznik 1993, nie mają oporów, by transformację nazywać katastrofą, rządy liberałów tragedią, a w dyskusjach i pyskówkach w mediach społecznościowych wymieniać ciosy z krytykami socjalizmu i Polski Ludowej.

– Nasze pokolenie ekonomistów i aktywistów nie ma żadnych zatargów z PRL, możemy spojrzeć na to trzeźwym okiem. Nikt nas pałką nie lał, więc możemy zachować dystans i mówić otwarcie o różnych aspektach gospodarki w PRL, III RP i obecnie. Ta historia jest oczywiście niejednorodna, ale mamy uczciwą perspektywę, żeby dziś o niej mówić – zaczyna Zygmuntowski. – Obraz Polski Ludowej był tym gorszy, im bardziej III RP próbowała uzasadnić swoje błędy i niedostatki. Mówiono nam, że firmy były nierentowne i w 1989 r. nie było w Polsce niczego. A to nieprawda, Polska przed tragedią prywatyzacji budowała komputery i miała nowoczesny przemysł. Dziś, 30 lat po transformacji, nie można wciąż kłamać, że coś nie działa przez komunistów, jak mówi to klasa kapitalistów. Ta retoryka rozlatuje się na naszych oczach.

> Młodzi coraz częściej mówią o pozytywnych wymiarach PRL: masowym budownictwie mieszkaniowym, inwestycjach w publiczny transport, prawie do aborcji.

W rozmowie prędko dochodzimy do kwestii mieszkalnictwa. To zresztą chyba pierwszy drogowskaz, że zaraz w debacie znów się pojawi PRL. Im dłużej bowiem mamy do czynienia z tym, jak wygląda rynek nieruchomości i przestrzeń publiczna w III RP, tym więcej ludzi zaczyna tęsknie patrzeć już nie tylko na powojenny modernizm, ale i zwykłe bloki. Gdy więc pada słowo mieszkaniówka, coraz częściej słychać odzew: „Kiedyś to było!”.

– Ludzie zaczynają sobie zadawać pytanie: a może wtedy było lepiej? Dziś półki uginają się pod towarami, ale mamy zapaść demograficzną, dramat w służbie zdrowia, klęskę mieszkalnictwa. Dopiero niedawno udało nam się dobić do takiej liczby oddawanych do użytku mieszkań jak za Gierka! Czyli po pół wieku doszliśmy do tego punktu. Gratulacje – mówi z przekąsem Zygmuntowski.

Rosnące zainteresowanie problemami mieszkaniowymi przekłada się na zmiany w dyskusji o architekturze i urbanistyce Polski Ludowej. Ukazują się prace takie jak „Czuły modernizm”, próbujące przybliżyć bardziej ludzką stronę socjalistycznego budownictwa. Bohaterem książki jest bowiem nowoczesny blok przy ulicy Promyka w Warszawie, przy Kępie Potockiej. Ten budynek, laureat nagrody „Mistera 1969 r.”, to projekt Hanny Graf-Chylińskiej – jednej z wielu architektek, których dorobek ponownie zyskuje dziś uznanie. Ich prace i biografie wracają na fali odkrywania feministycznych i kobiecych wątków w historii. Większe zainteresowanie budzi też powojenna odbudowa Warszawy, opisana na nowo w wydanej w 2020 r. książce Grzegorza Piątka „Najlepsze miasto świata”.

Jeszcze raz Zygmuntowski: – Mówimy tak naprawdę o sporze o pamięć i poglądy kilku pokoleń. Jedno pamięta budowę miast, elektryfikację wsi, odbudowę gospodarki. Polska Ludowa dała mu jedzenie, edukację i pracę. Zwalczyła analfabetyzm, wprowadziła wielką modernizację kraju. Spojrzenie tych ludzi jest oczywiście inne niż tych, którzy z PRL pamiętają tylko kolejki i końcówkę lat 80. Ci drudzy to raczej pokolenie dzisiejszych, powiedzmy, 50-latków, najbardziej okopane na pozycjach liberalnych i wolnorynkowych. No a trzecią generacją jesteśmy my.

Histeria liberałów

– Lewica musi odczarować takie słowa jak socjalizm, bo nie można krytykować elit III RP i neoliberalizmu, nie proponując własnej wizji – przekonuje Jan Śpiewak, rocznik 1987. Ironia tej sytuacji polega na tym, że sam Śpiewak jest dzieckiem elit intelektualnych III RP i pochodzi z liberalnej, profesorskiej rodziny. Często, także

eprasa.pl 8bc22f5f95

publicznie, zderza się z poglądami własnego ojca, prof. Pawła Śpiewaka, i swojego ojca chrzestnego, prof. Ireneusza Krzemińskiego. Trudno o biografię, która lepiej pokazywałaby to, jak pokolenie dzieci transformacji ustrojowej potrafi się odciąć od liberalnych poglądów rodziców. Paweł Śpiewak był posłem z list Platformy Obywatelskiej, jego syn o PO mówi raczej „mafia" albo „oligarchia", a polskim elitom zarzuca „rasizm wobec biednych". Sam (z poparciem partii Razem) startował przeciwko Rafałowi Trzaskowskiemu w wyborach prezydenckich w Warszawie. Uzyskał 3% poparcia.

– Histeria głównego nurtu i liberalnych dziennikarzy jest absurdalna. Oskarżają każde posunięcie, które im się nie podoba, o socjalizm czy komunizm, a dziś pokolenie 30-latków domaga się po prostu tak podstawowych rzeczy jak to, żeby w miastach była zieleń, żeby nie lać bezmyślnie betonu, potęgując efekty suszy i zmian klimatycznych – tłumaczy Śpiewak. – Temat mieszkaniowy i urbanistyczny wraca teraz bardzo często, bo gołym okiem widać, jak patologiczny jest rynek deweloperski. Dlatego coraz częściej mówi się, że za PRL przynajmniej nie tworzono produktów mieszkaniopodobnych, a projekty miast były spójne i na swój czas bardzo nowoczesne. Ten temat rzeczywiście żyje w naszym pokoleniu.

Śpiewak zastrzega jednak, że nie widzi wokół siebie powszechnej rehabilitacji Polski Ludowej. Raczej powrót klasowego słownika do debaty i olbrzymią złość na wybory polityczne pokolenia tworzącego III RP. – Polski *mainstream* jest dziś dalej na prawo niż Reagan i Thatcher – mówi.

Pytam więc, co to znaczy, że nie podoba mu się ani III RP, ani PRL. – Chodzi o demitologizację. Jakąś politykę pamięci na pewno trzeba uprawiać. Dzisiaj różni autorzy, bo nie tylko ja, mówią i piszą krytyczne książki wobec kapitalizmu, transformacji, kursu, jaki obrali ludzie Solidarności po Okrągłym Stole. Jako lektury wracają Kowalik, Kieżun, Tittenbrum. I dobrze – odpowiada.

Nie zawsze tak było. Kiedy rozmawiałem z nim w 2014 r., przekonywał, że nie interesują go sprawy światopoglądowe ani mocne ideologiczne deklaracje. Teraz ustawia się raczej po stronie lewicy ludowej, populistycznej, wrogiej sojuszom z liberalizmem i tzw. polityce tożsamości.

Dopiero niedawno udało nam się dobić do takiej liczby oddawanych do użytku mieszkań jak za Gierka!

Dzisiaj Śpiewak najszerzej znany jest chyba jako internetowy publicysta. Z Piotrem Ikonowiczem nagrywa program „Lewy do lewego" i rozwija własny kanał na YouTubie.

Nowoczesne państwo zamiast nostalgii

Często pogląd najmłodszych działaczy, aktywistek i autorów na Polskę Ludową jest rozpięty między skrajnościami. Albo wizja PRL jak z wakacyjnej pocztówki – wszyscy odpoczywają, nowe domki dla wczasowiczów błyszczą świeżą farbą, a nad powszechnie dostępną plażą zachodzi właśnie słońce – albo pałki ZOMO i rządy ciemniaków. Jedni widzą w Polsce Ludowej państwo emancypacji kobiet i dostępnej aborcji, drudzy – świat rządzony przez spoconych mężczyzn w garniturach, gdzie nawet profesorki muszą pokornie gotować mężom obiad i stać w kolejkach po jedzenie. Tak naprawdę jednolitego stosunku do Polski Ludowej i najnowszej historii nie ma nawet w gronie młodych polityczek i polityków Nowej Lewicy.

Maciej Kopiec w wieku 29 lat został wybrany w 2019 r. do Sejmu jako jeden z najmłodszych posłów i najmłodszy parlamentarzysta Lewicy. Zapytałem, co go łączy ze starymi towarzyszami, którzy zaczynali jeszcze w PZPR.

– Bardzo często jestem na Twitterze oskarżany o bycie kontynuatorem PRL, ale to jest zwyczajny hejt, za którym nie stoją żadne argumenty. Wierzę w nowoczesne państwo. Mój stosunek do Polski Ludowej jest negatywny. Jestem ekonomistą, uważam III RP i wolny rynek za ustrój lepszy od socjalizmu i centralnie sterowanej gospodarki. To nie my, ale PiS chce powrotu do tamtego modelu jednowładztwa matki partii – przekonuje polityk, dla którego pomimo młodego wieku Nowa Lewica będzie już trzecim, po Ruchu Palikota i Wiośnie, ugrupowaniem. – Nie jestem krytykiem transformacji, na Balcerowicza patrzę obiektywnie, widząc wiele plusów, złości mnie pokolenie polityków ostatnich 30 lat, które zmarnowało tyle szans, jakimi są chociażby fundusze europejskie.

Jednak do Sejmu Kopiec wszedł dzięki SLD, musi więc widzieć coś pozytywnego w lewicy. Czy uważa ją za czarną plamę w historii Polski? – Mam zaszczyt współpracować z fundacją Aleksandra Kwaśniewskiego, czerpię z jego wiedzy i jak większość Polaków uważam jego prezydenturę za najlepszą w III RP. Eksperci związani z tą fundacją służą mi radami i doświadczeniem, są to ludzie związani z administracją i państwowcy. A premier Marek Belka przyniósł do polityki wielką wiedzę merytoryczną – odpowiada poseł.

Przekonuje natomiast, że w walce o nowoczesne państwo, które inwestuje w szkolnictwo, infrastrukturę i przedsiębiorców, nie warto się posługiwać słowem socjalizm ani odwołaniami do poprzedniej epoki. Dużo

FOT. MAGDA PASIEWICZ/EAST NEWS, WŁODZIMIERZ WASYLUK/FORUM

eprasa.pl 8bc22f5f95

ważniejsze byłoby skupienie się na tym, jak złe i niewydolne jest państwo tu i teraz. Za podatki, które płacimy, nie daje ono prawie nic.

Młody polityk różni się też od reszty partii spojrzeniem na historię. – Nie interesuje mnie polityka historyczna i nie świętuję tych samych rocznic, co niektórzy moi koledzy i koleżanki z lewicy. W wielu wypadkach wkroczenie Armii Czerwonej do Polski oznaczało tylko zastąpienie jednej okupacji drugą, a Sowieci, np. na moim rodzinnym Śląsku, zakładali obozy, w których ginęli Ślązacy.

Dodaje jednak, że należy do grupy parlamentarzystów zajmującej się upamiętnieniem ofiar Holokaustu i był niedawno w Jedwabnem. Pytam, czy gdy mówi o wkroczeniu Armii Czerwonej do Oświęcimia, używa sformułowania „wyzwolenie obozu". Okazuje się, że tak.

Pokoleniowa sztafeta i sztama

Gdy w 2014 r. CBOS zrobiło badania na temat stosunku do PRL, opinie najmłodszych dzieliły się tak naprawdę na dwie kategorie: niechęć i niewiedzę. Więcej ciepłych uczuć do PRL mieli ludzie, którzy ją pamiętali, oni również byli surowsi wobec III RP. Młodzi wymieniali przede wszystkim skojarzenia negatywne. Pięć lat później pracownia zapytała jednak także o stosunek do Okrągłego Stołu i transformacji. Wyniki mogły zaskoczyć.

> W konstytucji PRL było zapisane prawo do pracy. I ono nie było utopią.

„Stosunek Polaków do transformacji najbardziej różnicuje wiek, a następnie wykształcenie – pisali analitycy CBOS – a granica przebiega między urodzonymi do 1981 r., czyli osobami w wieku ponad 38 lat, oraz młodszymi. Badani, którzy ukończyli 38 lat, nie tylko mają bardziej wyrobione opinie w kwestii, czy warto, czy też nie warto było w 1989 r. zmieniać w Polsce ustrój, ale także znacznie częściej niż młodsi popierają przemiany w sposób zdecydowany (59% wobec 35%)".

Jeszcze zanim postawy lewicowe wśród młodych wystrzeliły w górę w 2020 r. – a szczególnie u dziewczyn, wśród których lewicowe poglądy zaczęło deklarować 40% badanych – widać było pewien trend. W kolejnych sondażach młodsi zaczęli wypowiadać się o transformacji coraz bardziej niejednoznacznie – rósł odsetek niezdecydowanych i tych przekonanych, że zmiana ustroju przyniosła „tyle samo zysków, co strat". Młodzi rzadziej też odpowiadają twierdząco, że oni sami i ich rodziny zyskali na transformacji. Najlepszego zdania o transformacji i III RP są ludzie w średnim wieku – najgorszego najmłodsi oraz ich dziadkowie. To jest to doświadczenie konfliktu i następstwa kilku pokoleń, o którym mówił Zygmuntowski. Pod względem poglądów i ich ciągłości dzieciom transformacji często bliżej jest do pokolenia ich dziadków.

Jakub Dymek
dymek.substack.com
j.dymek@tygodnikprzeglad.pl

45 LAT PRL NIE DA SIĘ WYMAZAĆ Z HISTORII.
OKRES OD ROKU 1944 DO 1989 NIE JEST „CZARNĄ DZIURĄ".

49 zł

42 zł

43 zł

pakiet dwutomowy PRL
70 zł

ODTRUTKA NA PROPAGANDĘ IPN – NASZ PAKIET KSIĄŻEK O HISTORII POLSKI LUDOWEJ.

„Polska Rzeczywiście Ludowa", 2 tomy – zbiór artykułów o głównych wydarzeniach z okresu PRL. Bronisław Łagowski, Ludwik Stomma, Andrzej Walicki, Bohdan Piętka i inni autorzy piszący o dziejach Polski Ludowej w sposób zrównoważony i nietuzinkowy.

„Nowa Huta – wyjście z raju" – reporterska opowieść Leszka Konarskiego o jednej z największych inwestycji czasów PRL. Budowa nowego miasta, historie mieszkańców, warunki pracy i życie społeczne opisane przez znawcę tematu.

KUPUJCIE, CZYTAJCIE, PROPAGUJCIE!

www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Wpłat prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821, Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Pocztą Polską. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, paczka w RUCH-u +6,99 zł, paczkomat InPost +11,90 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

eprasa.pl 8bc22f5f95

Chlebtuba, Leftawka i inni

Mały przegląd lewicowych social mediów

Anna Brzeska

Ci, którzy myślą, że lewicowość młodzieży to moda polegająca głównie na chodzeniu na protesty, noszeniu koszulek z Che Guevarą i tęczowej torby, mogą w niedalekiej przyszłości mocno się zdziwić.

Badania CBOS dotyczące preferencji politycznych młodych ludzi pokazują, że liczba osób o lewicowych poglądach rośnie. Jeszcze w 2015 r. w grupie wiekowej 18-24 lata deklarowało je zaledwie 9% kobiet oraz 10% mężczyzn, w 2020 r. to już 40% kobiet i 22% mężczyzn.

Lewicowych stron w social mediach, grup, blogów i vlogów szybko przybywa.

Przegląd treści, które publikują i udostępniają w mediach społecznościowych, pozwala zobaczyć, że nie jest to jedynie, jak twierdzą często konserwatyści, chwilowy trend, nagonka na Kościół czy prześmiewcze „lewackie" memy. To rosnąca popularność socjaldemokratycznych czy wręcz socjalistycznych przekonań, podparta coraz solidniejszą wiedzą historyczną i ekonomiczną. W efekcie dzisiaj młodzi ludzie nie postrzegają już PRL wyłącznie jako szarej plamy beznadziei.

Lewicowych stron w social mediach, grup, blogów i vlogów szybko przybywa. Jednym z takich forów jest grupa Chlebtuba, mająca już ponad 10 tys. członków. Co ciekawe, jej nazwa pochodzi od książki „Zdobycie chleba", napisanej przez rosyjskiego anarchokomunistę Piotra Kropotkina, żyjącego na przełomie XIX i XX w.

Gdy zadaję tu pytanie o PRL, okazuje się, że młodzi ludzie raczej nie byliby gotowi umrzeć za tę epokę, ale też nie muszę długo czekać na kilkadziesiąt odpowiedzi, w których wyliczają mi dobre strony tamtych czasów. Są to przede wszystkim: dostępność mieszkań, urbanistyczny ład budowanych osiedli, zlikwidowanie analfabetyzmu, elektryfikacja wsi, zmniejszenie nierówności klasowych, upowszechnienie bezpłatnego szkolnictwa, uczelni i ochrony zdrowia. Pojawia się nawet słuszna uwaga, że w tamtym czasie regułą były szklane butelki zwrotne na mleko – oraz powszechny dostęp do aborcji, co również jest postrzegane jako pozytyw. Wyliczanka przeradza się w kilka ciekawych dyskusji, np. czy wszystkie zasługi PRL nie wynikają po prostu z postępu, który dokonał się również w krajach bloku kapitalistycznego. W innych wątkach grupa dyskutuje o nowych wytworach popkultury, grach komputerowych, *anime* i komiksach, używając języka pełnego zapożyczeń z zachodnich slangów. Współczesny 40-latek może więc mieć już spory problem w połapaniu się, w czym rzecz, jednak uniwersalne tematy antyliberalne i prosocjalne są tu najlepszym łącznikiem pokoleń.

Innym ciekawym forum na Facebooku jest Leftawka (ponad 7 tys. członków), miejsce dyskusji na różnorodne tematy, ujęte z lewicowej perspektywy. Tu, prócz standardowego narzekania na konserwatywną Zjednoczoną Prawicę i liberalną Koalicję Obywatelską, znaleźć można ciekawe linki do stron związanych z historią (np. blog „Historia zapomniana i mniej znana"), zwykle krytycznych wobec uświęconych przez konserwatywną narrację postaci i grup, takich jak szlachta, sanacja czy „żołnierze wyklęci". Bez trudu znajdziemy tu także dobre propozycje książkowe – ostatnio jeden z grupowiczów polecał np. „Ludową historię Polski" Adama Leszczyńskiego, pozycję będącą kontrą do klasycznego elitocentryzmu dominującego w stylu, w jakim uczy się w Polsce historii. Użytkownicy chwalą też dzieła Marksa, Engelsa, Róży Luksemburg, Slavoja Žižka i innych klasyków myśli lewicowej.

Grupa Chlebtuba ma już ponad 10 tys. członków, Leftawka – ponad 7 tys.

Na Facebooku nie brakuje stron związanych z formalnymi organizacjami lewicowej młodzieży, takimi jak Federacja Młodych Socjaldemokratów, Czerwona Młodzież – Organizacja Młodzieżowa PPS czy młodzieżówka Lewicy – Młoda Lewica. Poza wspomnianymi już tematami sporo wypowiedzi dotyczy walki o prawa LGBT+.

I tu dochodzę do istotnej kwestii: „lewaki" kłócą się na Facebooku nie tylko z „libkami", ale również między sobą. Lewicowe grupy w mediach społecznościowych można podzielić na dwa obozy. Pierwszy to lewicowy *mainstream*, gdzie socjaldemokratyczne lub wręcz socjalistyczne poglądy łączą się z afirmacją wolności obyczajowej, a więc przede wszystkim poparciem dla społeczności LGBT+ oraz feminizmu. Druga grupa, raczej mniej liczna, to *alt-left*, nurt odcinający się od liberalizmu obyczajowego lub co najwyżej wobec niego neutralny. „Dźwigi", jak pogardliwie określają ten obóz jego przeciwnicy, uważają, że stawianie w centrum walki o prawa mniejszości to szkodliwa dla lewicowej sprawy moda z Zachodu, odciągająca uwagę od o wiele istotniejszych spraw socjalnych i gospodarczych. Mainstreamową lewicę nazywają prześmiewczo lib-lewicą. Przykłady działalności tego obozu to Narodowy Front Ludzi Pracy, facebookowa strona 1Maja.info (inaczej Polski Front Pracy) czy strona Kilka porad, dzięki którym twój komunizm będzie lepszy. Do tej grupy można też zaliczyć facebookową stronę Lewicowo.pl, promującą niewątpliwie ciekawy magazyn „Nowy Obywatel".

Życzę miłej lektury, ale uprzedzam, że uczestnictwo w niekończących się na lewicowym Facebooku inbach (czyli kłótniach) może wciągnąć na wiele godzin.

a.brzeska@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 8bc22f5f95

Z Galicji

Jan Widacki

Oni nie wiedzą, czym jest Unia Europejska

Z wypowiedzi najważniejszych osób w naszym państwie jednoznacznie wynika, że wciąż jeszcze nie rozumieją, czym jest Unia Europejska. Pomijam skrajnie głupie lub ordynarne wypowiedzi typu „Unia to wyimaginowana wspólnota" lub „unijna szmata". Te pierwsze słowa, jak pamiętamy, są emanacją myśli politycznej pana prezydenta Dudy i tak ogólnie nie odbiegają od poziomu tego, co pan prezydent zwykle mówi publicznie, zwłaszcza gdy da się ponieść emocjom i zawierzy własnemu intelektowi. Drugie określenie jest autorstwa pani Pawłowicz. Kiedyś posłanki PiS, dzisiaj sędzi u pani Przyłębskiej w trybunale, osoby o temperamencie, manierach i intelekcie niegdysiejszej przekupki. Napisałem niegdysiejszej, bo dziś już zapewne próżno by szukać przekupki o cechach pani Pawłowicz.

Gorzej, że istoty członkostwa w Unii i istoty samej Unii nie rozumie premier Morawiecki, którego zadaniem – jak się zdaje – powinno być łagodzenie napięć na linii Warszawa-Bruksela. Samo zadanie trybunałowi (pomijam już to, jakiemu, jak powołanemu, z kogo złożonemu itd.) pytania o wyższość prawa europejskiego nad Konstytucją RP pokazuje, że premier kompletnie nie rozumie, na czym polega członkostwo w Unii, albo rozumie, tylko udaje, że nie rozumie, czyli jest cynicznym demagogiem, świadomie działającym przeciw interesom Polski, a zgodnie z doraźnie rozumianym wąskim interesem swojej partii.

Prawo unijne obowiązuje w całej Unii, we wszystkich jej państwach członkowskich. Do obowiązków państw członkowskich należy dostosowanie swojego prawa do prawa unijnego. Gdyby się okazało, że postanowienia konstytucji któregoś z państw członkowskich są nie do pogodzenia z prawem unijnym, to wyjścia są następujące: trzeba konstytucję dopasować do prawa unijnego albo zmienić prawo unijne i dopasować je do konstytucji danego państwa członkowskiego. To ostatnie wymaga zgody wszystkich pozostałych państw członkowskich. Jest jeszcze trzecie rozwiązanie. Można wystąpić z Unii. Wtedy prawo unijne rzeczywiście nie będzie obowiązywać. Natomiast nie jest możliwe, aby na terenie Unii (w tym na terenie jej części, którą stanowi państwo członkowskie) obowiązywały dwa sprzeczne, niezgodne ze sobą systemy prawa.

Ale trybunał pani Przyłębskiej w składzie, któremu przewodniczył sędzia (?) Piotrowicz, orzekł jeszcze coś. Polska nie musi się stosować do nakazów TSUE, jeśli dotyczą one ustroju polskich sądów! To orzeczenie zbiegło się z wydaniem przez Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej postanowienia zabezpieczającego nakazującego natychmiastowe zaprzestanie działalności przez Izbę Dyscyplinarną Sądu Najwyższego. Nawiasem mówiąc, połączone Izby Sądu Najwyższego już dawno orzekły, że Izba Dyscyplinarna nie jest sądem. Mamy więc dwa sprzeczne orzeczenia: to TSUE i to wywiedzione przez Piotrowicza, że orzecznictwo TSUE nie może dotyczyć ustroju polskich sądów.

Prawnicza schizofrenia o konsekwencjach, które trudno do końca przewidzieć. Temu, że takiego skutku nie przewidział pan Piotrowicz – wyjątkowa kreatura, gotowa służyć z oddaniem każdej aktualnej władzy – się nie dziwię. Poziom wiedzy prawniczej i kultury prawnej pana Piotrowicza poznaliśmy, gdy służył jako przewodniczący komisji sejmowej rozwalającej polski wymiar sprawiedliwości, z czego – jak pamiętamy – nawet Jarosław Gowin się nie cieszył. Ale Piotrowicz dostał rozkaz i go wykonał. Nie musiał rozumieć. Ale że nie rozumie tego premier Morawiecki? Nawet publicznie daje temu wyraz?

Demagodzy wszystkich szczebli PiS, licząc, że „ciemny lud to kupi", uderzają w nutę patriotyczną. Nie będą obcy wtrącać się do naszego systemu wymiaru sprawiedliwości! Nagle pokochali też lekceważoną dotąd konstytucję. To z miłości do niej i szacunku dla niej odrzucają sprzeczne z nią wedle ich trybunału prawo europejskie. Oni walczą o polską suwerenność!

> Demagodzy wszystkich szczebli PiS nagle pokochali lekceważoną dotąd konstytucję.

Tłumaczmy po raz setny: Unia to nie jest jakiś podmiot zewnętrzny, Unia to organizm, którego jesteśmy częścią. Przynależność do Unii nie jest obowiązkowa. Organy unijne, w tym Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej, nie wtrącają się do spraw wewnętrznych Polski, tylko określają standardy unijne, w tym standardy unijnego prawa. Unia mówi tak: takie są standardy naszego prawa. Wasze rozwiązania są z tymi standardami niezgodne. Albo przyjmijcie standardy Unii, albo z niej wystąpcie. Jeżeli wystąpicie, nic nam nie będzie do tego, jak sobie zorganizujecie wymiar sprawiedliwości. Czy weźmiecie wzór z Białorusi, czy z Turcji. Ale dopóki jesteście w Unii, naszym obowiązkiem jest wskazywać wam, w czym naruszacie nasz wspólny, unijny standard.

Tymczasem grozi nam nieprzyjęcie Krajowego Planu Odbudowy. Nie dostaniemy spodziewanych miliardów euro albo dostaniemy je z dużym opóźnieniem. Bo Unia Europejska to naprawdę nie jest gigantyczny bankomat, jak zdają się ją postrzegać liderzy PiS.

j.widacki@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 8bc22f5f95

Koniec partii wodza

Robert Walenciak

Negocjacje z Morawieckim Czarzasty prowadził w tajemnicy przed zarządem partii. Pytaliśmy go, dlaczego. Odpowiedział, że nam nie ufał

Eksperyment pod nazwą autorska partia Włodzimierza Czarzastego kończy się na naszych oczach. Niezależnie od tego, czy pokona on buntowników w partii, czy zostanie pokonany.

Jego dorobek jako lidera nie pozostawia większych wątpliwości – 6-8% poparcia i partia w stanie wojny domowej, z gwiazdami typu Anna Maria Żukowska i Marcin Kulasek. Czy ktoś wierzy, że to jest zaczyn prawdziwej nowej lewicy? Że to ma jakąś przyszłość? Oto prawdziwa przyczyna buntu w SLD, który dotyczy dwóch podstawowych zagadnień: czyja partia i jaka partia. Czyja – a więc czy Czarzastego, czy jej członków i działaczy. Jaka – czy odzwierciedlająca poglądy działaczy i wyborców, czy będąca narzędziem w politycznych i biznesowych grach przewodniczącego.

Proszę nie wzruszać ramionami, bo to, jaki kształt organizacyjny ma partia, i dla niej, i dla jej członków, i dla życia publicznego ma decydujące znaczenie. Partia, która jest prywatnym biznesem jej lidera, owszem, może czasami zaimponować organizacyjną sprawnością, karnością. Ale na tym jej zalety się kończą. Taka partia bardzo szybko umiera. Bo czym ma przyciągać ludzi i ich zatrzymać? Jak może wyglądać w niej życie ideowe?

Jeżeli popatrzymy na dzisiejszą Nową Lewicę, widać przecież jak na dłoni, że wszystkie wady partii wodzowskiej ciągną ją w dół. Odchodzą lub są wyrzucani kolejni ludzie – bo sprzeciwili się szefowi. Nie ma dyskusji, nie są przyciągane nowe środowiska. Jeżeli partię reprezentują w mediach trzy-cztery osoby i robią to marnie, obumiera ona także w społecznej debacie. A jeżeli te trzy-cztery osoby, umówmy się, niezbyt wysokich lotów, decydują o jej polityce, mamy prawie stuprocentową gwarancję, że będą popełniane błędy.

Spójrzmy zresztą na notowania Lewicy. Dwa lata temu weszła do Sejmu z wynikiem 12,56%. Dziś jej poparcie waha się w granicach 6-8%. Z czegoś to się bierze… Jeszcze bardziej kłopotliwy dla obecnych szefów jest inny sondaż, przeprowadzony wśród osób deklarujących, że mają poglądy lewicowe. Pytano je, z którym ugrupowaniem najmocniej się utożsamiają. I oto odpowiedzi: PO – 35%, Nowa Lewica – 20%, Ruch Hołowni – 20%. Jak to więc jest, że wyborcy o poglądach lewicowych nie utożsamiają się z Nową Lewicą? Czyja to wina?

Czy partia ma być narzędziem w politycznych i biznesowych grach przewodniczącego?

System partii wodza

W dzisiejszych czasach partię wodzowską dość łatwo zbudować. Spójrzmy na statut Wiosny Roberta Biedronia. Gwarantuje on przewodniczącemu praktycznie nieograniczoną władzę. Lider Wiosny zwoływał posiedzenia zarządu i rady krajowej, ustalał porządek obrad, powoływał i odwoływał sekretarza generalnego oraz skarbnika, ustalał i zatwierdzał listy kandydatów w wyborach. A decyzje rady krajowej i zarządu zapadały na wniosek prezesa.

Co ciekawe, rada krajowa składała się z członków zarządu i członków wybranych przez zgromadzenie ogólne (od trzech do 50). A zarząd krajowy? W jego skład wchodzi prezes i od dwóch do 20 członków. Ich liczbę określała rada krajowa na wniosek prezesa.

Taką też partią stawała się Nowa Lewica. W jej statucie zapisano, że po kongresie zjednoczeniowym (wyznaczonym na 9 października) kierować nią będzie dwóch współprzewodniczących, jeden z frakcji Wiosny, drugi z Nowej Lewicy. Podobny parytet ma być zachowany w pozostałych ciałach kierowniczych. Przy czym współprzewodniczący mają być wybierani głosami obu frakcji.

Wszystko zresztą opisane jest w załgany sposób. Bo art. 3 statutu NL stanowi: „W partii działają frakcje. Frakcje odzwierciedlają różne poglądy członków partii". A w realu frakcje mogą być tylko dwie. Bo tak ustalili Biedroń z Czarzastym. I wystarczy mieć głosy jednej frakcji plus niewielki procent głosów drugiej, by przegłosować wszystko, co się chce.

Zwróćmy uwagę – zjednoczenie Wiosny i Nowej Lewicy to zjednoczenie dwóch zupełnie różnych liczbowo organizacji. Ile razy dawny SLD jest większy od Wiosny? Pięć? Dziesięć? Są też miejsca, gdzie struktur partii Biedronia nie ma wcale. Mimo to zjednoczenie ma być na zasadach 1:1. Dlaczego tak? Wyobraźmy sobie, że kierownictwo Nowej Lewicy

eprasa.pl 8bc22f5f95

w miejscowości X liczyło ośmiu członków, z czego trzech było ludźmi, na których stawiał przewodniczący partii, a pięciu – jego przeciwnikami. Ponieważ zjednoczenie ma się odbyć 1:1, do kierownictwa nowej partii trafi czterech ludzi z kierownictwa starej. Których? Ano tych, których poprze frakcja Wiosny. Ich głosy plus kilka głosów z frakcji Nowej Lewicy – to wystarczy do elekcji. Pozostali zostaną odstrzeleni. I to jest najprostszy sposób na dokonanie czystki.

Nic więc dziwnego, że w starym SLD mamy bunt. Bo działacze już się zorientowali, dokąd to wszystko zmierza. I jaki szykowany jest im los.

Lista oszukanych

Czarzasty tak działa. Liczba osób, które oszukał, zdradził, wypchnął z partii, jest imponująca. Pisaliśmy już o tym po wyborach w 2019 r. W Olsztynie na listę nie został wpuszczony Tadeusz Iwiński, bo musiało być miejsce dla Marcina Kulaska. A Iwiński, nawet z ostatniego miejsca, Kulaska by przeskoczył.

Z partii odchodzą lub są wyrzucani kolejni ludzie. Nie ma w niej dyskusji, nie są przyciągane nowe środowiska.

W Warszawie z kolei Czarzasty dokonał niesamowitego łamańca, żeby tylko wepchnąć do Sejmu Annę Marię Żukowską. Już wcześniej zdążył wypchnąć z SLD Barbarę Nowacką, która razem z Dariuszem Jońskim, byłym rzecznikiem SLD, wybrała start z list PO. Joński otwarcie mówi: – Odszedłem z SLD przez Czarzastego.

Potem przyszła kolej na wieloletnią lewicową posłankę z Warszawy – Katarzynę Piekarską. Ona także przeszła do PO, bo mówiono jej, że na listach lewicy miejsca dla niej nie będzie. Organizacja warszawska SLD zgłaszała również jako kandydatki do Sejmu Danutę Waniek i Monikę Jaruzelską. Każda z nich zebrałaby więcej głosów niż Żukowska, nawet gdyby startowały ze środka listy. Ale Czarzasty w ogóle na listę wyborczą ich nie wpuścił. Ostatecznie Żukowska mandat dostała, ale gdyby lista zdobyła w stolicy dosłownie tysiąc głosów więcej, byłyby cztery, a nie trzy mandaty z Warszawy. Prywata okazała się silniejsza od interesu partii.

Czy ugrupowanie, w którym rządzą demokratyczne zasady, pozwoliłoby sobie na coś takiego?

Przypomnijmy – SLD w najlepszych latach, gdy partią kierowali Aleksander Kwaśniewski, a potem Leszek Miller, miał bardzo rozwinięte mechanizmy demokratyczne. Najważniejsze decyzje podejmowano wspólnie, nieraz po długich godzinach dyskusji. Albo podczas posiedzeń zarządu, albo na posiedzeniach rady krajowej. Ani Kwaśniewski, ani Miller nie wahali się omawiać głównych problemów w szerszym gronie – z Oleksym, Borowskim, Cimoszewiczem, Szmajdzińskim, Janikiem… Dzięki temu SLD prezentował się jako partia niedziałająca pochopnie, zrównoważona. Przyciągająca i wyborców, i działaczy.

Dziś po tamtej partii zostało tylko wspomnienie. Czarzasty wybrał inną drogę. Zarówno jeśli chodzi o personalia, jak i o działania polityczne. Aktywność Nowej Lewicy nie układa się w jakąś konsekwentną linię. Świadczą o tym choćby negocjacje z Morawieckim w sprawie poparcia Planu Odbudowy. Jak się okazuje, Czarzasty podjął je, w ogóle nie informując o tym zarządu. Samowolnie, bez wiedzy partii i, co się rozumie, bez jakichkolwiek pełnomocnictw. – Pytaliśmy go, dlaczego tak zrobił, dlaczego nic nam o tym nie powiedział – mówi jeden z członków zarządu. – Odparł, że nam nie ufał.

Oto szef partii nie ufa swojemu zarządowi. I w tajemnicy przed nim prowadzi negocjacje.

Kto za, kto przeciw

Nawiasem mówiąc, informacje w mediach, tych bliskich PO, że bunt w Nowej Lewicy przeciwko Czarzastemu jest dlatego, że negocjował Polski Ład z Morawieckim, to oczywista bzdura. Pokazują raczej intencje piszących, a nie rzeczywistość. Działacze Nowej Lewicy występują przeciw Czarzastemu z innych powodów, znacznie poważniejszych.

Widać to zresztą, jeśli popatrzymy na listę jego przeciwników. Przewodniczący ma przeciwko sobie ludzi absolutnie różnych. Jest wśród nich Marek Balt, którego kariera rozkwitła w czasach Grzegorza Napieralskiego. Jest też pogromca Napieralskiego – Leszek Miller. Jest weteran Bogusław Liberadzki. Ale jednocześnie są Andrzej Rozenek i Robert Kwiatkowski, którzy zaliczyli epizod u Palikota.

Informacje w mediach bliskich PO, że bunt przeciw Czarzastemu jest dlatego, że negocjował Polski Ład z Morawieckim, to bzdura.

Za przewodniczącym twardo stoją jego rzeczniczka Anna Maria Żukowska, sekretarz generalny Marcin Kulasek i szef Dolnego Śląska Marek Dyduch. To najbardziej znane twarze, dla których zresztą niełatwo znaleźć wspólny mianownik. Bo cóż może łączyć Marka Dyducha z Żukowską? Podział dotyczy więc czegoś innego – samego sposobu funkcjonowania partii. To jest kluczowe.

Co dalej? To pytanie o tyle trudne, że na 17 lipca zwołane zostało posiedzenie zarządu partii. Ten tekst pisany jest więc przed posiedzeniem, a ukaże się już po nim.

W każdym razie zarząd ma być pierwszym zderzeniem między Czarzastym a jego krytykami. Pierwszą próbą sił. O to, ile frakcji będzie mogło uczestniczyć w kongresie zjednoczeniowym – dwie czy pięć. I o to, czy Czarzasty zwoła na 11 września drugą część konwencji SLD.

Po owocach poznamy, kto w tej bitwie jest górą, a kto dołuje.

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 8bc22f5f95

Jak leśnik leśnikowi…

Posiadłość za kilka tysięcy? Tylko w Lasach Państwowych

Arkadiusz Panasiuk

Andrzej Konieczny i Józef Kubica, poprzedni i obecny dyrektor generalny Lasów Państwowych, odkupili z 95-procentową bonifikatą domy od „samych siebie". Jak ujawniły media, Konieczny za 110-metrowy, odnowiony dom w miejscowości Pomorze na Podlasiu zapłacił zaledwie 9420 zł, choć był on wyceniony na 188,4 tys. zł. Natomiast Kubica za dom jednorodzinny i dwa budynki gospodarcze na terenie nadleśnictwa Brynek na Śląsku, wyceniane na 198,8 tys. zł, zapłacił w styczniu br. 9943,20 zł. Kiedy transakcje wyszły na jaw, Konieczny stracił stanowisko, ale Kubica jak dotąd nie poniósł żadnych konsekwencji.

„Czy Najwyższa Izba Kontroli planuje przeprowadzenie kontroli w kontekście sprzedaży nieruchomości należących do Lasów Państwowych własnym, w tym emerytowanym, pracownikom z bonifikatą nawet 95%? Pytanie wydaje się zasadne wobec ostatnich głośnych doniesień medialnych dotyczących zakupu takich nieruchomości przez byłego (Andrzej Konieczny) i obecnego (Józef Kubica) dyrektora generalnego LP. A może taka kontrola już trwa? Jeśli tak, to ile nadleśnictw jest objętych taką kontrolą?", zapytaliśmy w instytucji, która zabrała się ostatnio do kontroli rządów PiS w wielu obszarach działalności publicznej.

Wydział Prasowy NIK odpisał: „Najwyższa Izba Kontroli będzie miała na uwadze wskazaną problematykę w toku prac analitycznych związanych z planowaniem działalności kontrolnej w obszarze funkcjonowania oraz gospodarowania majątkiem trwałym Lasów Państwowych".

I czas najwyższy, bo w majestacie wyjątkowo liberalnego prawa i elastycznych rozporządzeń obowiązujących w Państwowym Gospodarstwie Leśnym Lasy Państwowe nabywa się za bezcen atrakcyjne nieruchomości. Statystyki nie kłamią. Tylko za rządów PiS, w okresie od 2016 r. do 30 kwietnia 2021 r., Lasy Państwowe sprzedały 1256 nieruchomości mieszkalnych, w tym przy sprzedaży 1244 zastosowano bonifikaty. Z danych Ministerstwa Klimatu i Środowiska wynika ponadto, że aż w 1017 przypadkach była to bonifikata 95-procentowa, z czego skorzystali ostatnio i Konieczny, i Kubica. Ale nie tylko oni, chociaż ryba zwykle psuje się od głowy.

Zresztą każdy z rządów poprzedzających „dobrą zmianę" miałby w tym kontekście swoje za uszami. Jak podała niedawno „Gazeta Wyborcza", od 2005 r. Lasy Państwowe sprzedały domy i mieszkania warte ponad 307 mln zł. Większość z ogromnymi upustami. Pierwszeństwo mieli obecni i byli pracownicy.

Wrocław

PRZEGLĄD dotarł do szczegółów sprzedaży jednej z takich atrakcyjnych nieruchomości, będącej wcześniej w zasobach Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych we Wrocławiu. Transakcję potwierdzono aktem notarialnym w ostatnim dniu lipca 2015 r. Nabywcą nieruchomości zabudowanej przy ulicy Lekcyjnej we Wrocławiu o wartości 658 025,00 zł okazał się jeden z nadleśniczych. A sprzedającym, „działającym w imieniu i na rzecz Skarbu Państwa", ówczesny szef RDLP we Wrocławiu.

Nadleśniczy skorzystał z 95-procentowej bonifikaty, co pozwoliło mu wejść w posiadanie tej nieruchomości za sumę 32 901, 25 zł (*sic!*). Żeby było ciekawiej, po wygranych przez Zjednoczoną Prawicę wyborach do parlamentu właściciel nieruchomości zastąpił na stanowisku swojego dobroczyńcę, który został nadleśniczym w jednym z podległych nadleśnictw.

Karuzela stanowisk kręciła się jednak dalej, mieszkańca ulicy Lekcyjnej odwołano wkrótce ze stanowiska dyrektora, ale ten, kto sprzedał mu z bonifikatą nieruchomość, znowu ma szansę, gdyż we wrocławskiej dyrekcji Lasów Państwowych niedawno odwołano kolejnego jej szefa. Zdążyliśmy jednak zapytać go jeszcze o tę nieruchomość.

To istotny fragment odpowiedzi udzielonej w tej sprawie przez Arkadiusza Wojciechowicza: „Ostateczną decyzję o możliwości sprzedaży danej nieruchomości podejmował Dyrektor Generalny LP analizujący wniosek dyrektora RDLP. W praktyce często zachodziły okoliczności, wobec których sprzedaż nieruchomości o stosunkowo wysokiej wartości nieumorzonej (czyli wartości księgowej) wynikała z potrzeby uniknięcia realnych kosztów jej remontu, które należałoby ponieść, chcąc dalej utrzymywać daną nieruchomość w zasobach mieszkaniowych. Takie okoliczności występowały w przypadku nieruchomości mieszkalnej położonej we Wrocławiu przy ulicy Lekcyjnej 98. Wykonana przez biegłego w zakresie budownictwa na zlecenie RDLP we Wrocławiu ekspertyza budowlana wskazywała na konieczność wydatkowania kwoty 227 096 zł na potrzeby wykonania niezbędnych remontów. Biorąc pod uwagę zbędność tej nieruchomości dla funkcjonowania biura RDLP we Wrocławiu, podjęcie decyzji o uruchomieniu procedury jej sprzedaży przewidzianej w przepisach ustawy o lasach było przejawem racjonalności i wypełniało przesłanki gospodarności w zarządzaniu mieniem Skarbu Państwa".

Lasy Państwowe sprzedały 1256 nieruchomości mieszkalnych, w tym 1244 z bonifikatą. W 1017 przypadkach wyniosła ona 95%.

eprasa.pl 8bc22f5f95

Józef Kubica za dom jednorodzinny i dwa budynki gospodarcze w nadleśnictwie Brynek wyceniane na 198,8 tys. zł zapłacił niespełna 10 tys. zł.

Zwróćmy uwagę na te 227 096 zł. Zajrzeliśmy do ciągle obowiązującego rozporządzenia ministra środowiska z 2013 r. W rozdziale 3 „Kryteria kwalifikowania lokali i gruntów z budynkami mieszkalnymi w budowie nieprzydatnych Lasom Państwowym" (par. 7, pkt 1) czytamy, że „lokale mogą być kwalifikowane jako nieprzydatne Lasom Państwowym, jeżeli: wpływy z ich wynajmu są niższe od kosztów ponoszonych przez Lasy Państwowe na ich utrzymanie, na które składają się w szczególności 33% kosztu koniecznego remontu (...)" w nieruchomości, którą będzie można w przyszłości nabyć.

Policzyliśmy 33% od wartości wrocławskiej nieruchomości – to dokładnie 217 148, 25 zł, a więc kwota zaledwie o ok. 10 tys. zł mniejsza od kwoty z ekspertyzy przywołanej w piśmie Wojciechowicza. Przypadek? A może to bezpieczny margines, gdyby komuś przyszło na myśl zakwestionować omawianą transakcję?

Łódź

Pod koniec kwietnia tego roku „Newsweek" opisał podział Leśnictwa Krzemień (Nadleśnictwo Grotniki) w Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Łodzi na trzy części oraz uznanie nieruchomości w urokliwym zakątku gminy Parzęczew za zbędną. Jak podawał tygodnik, w wyremontowanym kilka lat temu budynku mieszka Dariusz Pieniak – szef łódzkiej dyrekcji, czyli przełożony nadleśniczego Józefa Lipińskiego, który dokonywał podziału Leśnictwa Krzemień.

Dom został przeznaczony do sprzedaży jeszcze w tym roku. I jeśli nic nie stanie na przeszkodzie, dyrektor Pieniak będzie mógł wykupić nieruchomość o wartości 112 000 zł za grosze. Co prawda, w tej sprawie zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa dotarło do Centralnego Biura Antykorupcyjnego, ale prokuratura, która przejęła sprawę od agentów, śledztwo umorzyła.

Białystok

W Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Białymstoku na stołku dyrektora regionalnego zasiada Andrzej Nowak. To jeden z bohaterów naszego ubiegłorocznego tekstu („Lasy Państwowe w służbie partii i Kościoła", 30.11.2020 r.). Z informacji, które wartkim nurtem spływają do redakcji PRZEGLĄDU, wynika, że w tej dyrekcji również pod tym względem dzieje się ciekawie.

Sygnał pierwszy, z jednego z mejli: „Na ulicy Słowiańskiej, w centrum Giżycka, jest stare biuro – część lokali została sprzedana najemcom, pracownikom Lasów, ale zostały jeszcze lokale tzw. użytkowe (inna cena niż mieszkalnych), które mają po ponad 100 m kw., a niczym się nie różnią od lokali mieszkalnych. (...) Wartość takiego lokalu w centrum Giżycka jest ogromna".

Sygnał drugi: „Na gruncie Lasów Państwowych w Wydminach pobudował się XY (nazwisko do wiadomości redakcji – przyp. aut.). Formalnie dzierżawił jedynie wiatę od nadleśnictwa na sprzęt, a powstał piękny dom z łazienką, salonem i placem zabaw dla jego dzieci. XY tam się zameldował wraz z rodziną. Tę samowolę udokumentowano, zrobiono zdjęcia, a cały plik dokumentów został wysłany do RDLP Białystok".

Delegatura CBA w Białymstoku i wydziały ds. przestępczości gospodarczej jednostek policji podległych podlaskiej komendzie wojewódzkiej, gdyby tylko chciały, miałyby ręce pełne roboty. Chyba że te ręce też mogą być związane?

Oto bowiem sygnał trzeci. Wpływowy policjant z Giżycka dzierżawi od Lasów Państwowych działkę nad jeziorem i ma prawo do jej pierwokupu. „Policja nie zatrzyma nielegalnych transportów drewna – świetnie pomyślane", podsumowuje gorzko nasz informator.

Ale są i dobre wiadomości. Grzegorz Zubowicz, były pracownik Generalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Warszawie, zwolniony ostatnio dyscyplinarnie z nadleśnictwa Gołdap, został przez Sąd Rejonowy w Ełku przywrócony do pracy. Leśnik od miesięcy informował najważniejsze osoby w państwie o korupcji i nepotyzmie, jakie trawią na niespotykaną dotąd skalę Lasy Państwowe. To on jako pierwszy nagłośnił sprawę zakupu przez Andrzeja Koniecznego atrakcyjnej nieruchomości z 95-procentową bonifikatą. ■

FOT. DANIEL DYMITRIEW/FORUM

eprasa.pl 8bc22f5f95

Pod wysokim napięciem

Elektrownia Ostrołęka i męczeństwo posła Czartoryskiego

Marek Czarkowski

25 czerwca br. posłowie Arkadiusz Czartoryski i Zbigniew Girzyński wspólnie z posłanką Małgorzatą Janowską ogłosili odejście z klubu parlamentarnego PiS i na chwilę stali się gwiazdami mediów. Na wspólnej konferencji prasowej, a następnie w wywiadach, mówili, że w PiS panuje „zarządzanie poprzez zastraszanie", że nie chcą być „sprowadzani do roli partyjnych kaprali" i że żałują nie tego, że odchodzą, ale że robią to tak późno. Zapowiedzieli powołanie koła poselskiego Wybór Polska i ciężką pracę dla dobra kraju.

Opozycja cieszyła się, że rząd utracił sejmową większość, lecz jej radość trwała krótko. 7 lipca br. na konferencji prasowej z udziałem Jarosława Kaczyńskiego marnotrawny poseł Czartoryski ogłosił powrót na łono Zjednoczonej Prawicy, zgłaszając akces do Partii Republikańskiej europosła Adama Bielana.

Ku zaskoczeniu publiczności prezes przeprosił go za nieprzyjemności spowodowane zainteresowaniem kompetentnych organów jego osobą. We wrześniu ub.r. do domu Czartoryskiego weszli agenci Centralnego Biura Antykorupcyjnego. Media donosiły, że prokuratura interesuje się zamówieniami złożonymi przez spółkę PGE Dystrybucja w jednej z prywatnych firm z siedzibą w Ostrołęce. Pojawiły się sugestie, że istniał związek między ową firmą a panem posłem. I nie był on bezinteresowny.

Wszelkie wątpliwości rozwiał wicepremier Kaczyński, mówiąc, że według jego rozeznania „wszystko, co czyniono w tej sprawie, było bezpodstawne, zakończyło się stwierdzeniem braku czynów, które mogłyby uchodzić za karygodne czy naganne moralnie". Innymi słowy, Czartoryski otrzymał z rąk prezesa stosowny glejt.

14 lipca br. na kolejnej konferencji prasowej Jarosław Kaczyński ogłosił powrót Małgorzaty Janowskiej, którą również przytuliła Partia Republikańska. – Poróżnił nas stosunek do spraw odnoszących się do energetyki i przyszłości Bełchatowa – wyjaśnił powody wcześniejszego rozstania wicepremier. I dodał: – Doszliśmy do bardzo konkretnego porozumienia. Uczestniczył w tym także pan premier. Są podstawy do tego, by nasza jedność przez długi czas trwała.

Tak skończyło się rumakowanie posłów PiS.

Polityk bez problemów nikomu nie jest potrzebny

Wolty Czartoryskiego wywołały dyskusję wśród części mieszkańców Ostrołęki. Jest dla nich jasne, że powrót ich reprezentanta w szeregi sejmowej większości był efektem użycia przez prezesa bardzo silnych argumentów. Jarosławowi Kaczyńskiemu politycy bez problemów nie są potrzebni. Trudno się nimi steruje. Co innego, gdy mamy wiedzę o ich słabościach.

Arkadiusz Czartoryski jest w polityce od lat 90. W przeszłości związany ze Zjednoczeniem Chrześcijańsko-Narodowym oraz Przymierzem Prawicy, ostatecznie wstąpił do PiS. W latach 1998-2002 piastował urząd prezydenta Ostrołęki. Utracił go na rzecz Ryszarda Załuski z SLD. W latach 2004-2005 był wicemarszałkiem województwa mazowieckiego. A w roku 2005 został posłem na Sejm. Od tego czasu w kolejnych wyborach potwierdzał swój mandat w okręgu wyborczym numer 18.

Ostrołęka i okolice to region, w którym PiS od zawsze cieszyło się dużym poparciem. Poseł Czartoryski wspólnie z posłem Krzysztofem Tchórzewskim stworzyli nieformalny sojusz, który lobbował za budową elektrowni węglowej w Ostrołęce. Tak już się utarło w PiS, że miejscowi baronowie starają się lokować inwestycje w swoich lennach.

W zeszłym roku spółka ElectroMobility Poland podjęła decyzję o budowie fabryki samochodów elektrycznych Izera w Jaworznie. Decyzję tę mocno wsparli śląscy posłowie PiS. A wiadomo, że Michał Dworczyk, szef Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, chciał, by wybudowano ją w okolicach Wałbrzycha, na terenie jego baronii. Czartoryskiemu i Tchórzewskiemu – mimo ostrzeżeń, że to nieopłacalna inwestycja – udało się przekonać Jarosława Kaczyńskiego, prezydenta Dudę i rząd do budowy w Ostrołęce elektrowni opalanej węglem kamiennym.

Generalnym wykonawcą został amerykański koncern GE Power. Miał powstać obiekt o mocy 1000 MW. Umowę wartą 6,02 mld zł brutto podpisano w roku 2018. Stronę polską reprezentowały koncerny Energa i Enea.

Dwa lata później zapadła decyzja o wstrzymaniu inwestycji. Poniesione z tego tytułu straty szacowano na 1-1,5 mld zł. Wybuchł skandal. Co gorsza, uchwała w sprawie budowy Ostrołęki podjęta w 2018 r. przez walne zgromadzenie akcjonariuszy Enei została zaskarżona do sądu przez fundację ClientEarth Prawnicy dla Ziemi, która złożyła wniosek o stwierdzenie nieważności, ustalenie nieistnienia lub uchylenie uchwały.

W lipcu 2020 r. Sąd Apelacyjny w Poznaniu potwierdził nieważność rzeczonej uchwały i pojawiło się pytanie, kto odpowie za miliardowe straty Enei i Energi. Zwłaszcza że władze obu firm były ostrzegane

Straty z tytułu wstrzymania budowy elektrowni w Ostrołęce szacowano na 1-1,5 mld zł.

eprasa.pl 8bc22f5f95

Arkadiusz Czartoryski był wielkim promotorem budowy opalanej węglem kamiennym elektrowni w Ostrołęce.

przed tą inwestycją. I nie mogą twierdzić, że o niczym nie wiedziały.

Nic dziwnego, że działalnością posła Czartoryskiego zainteresowały się kompetentne organy. Krzysztof Tchórzewski w 2019 r. przestał być ministrem energii, lecz poza tym włos z głowy mu nie spadł. Ale nie można mieć wątpliwości, że działania obu prominentnych polityków PiS związane z budową Ostrołęki oraz ich aktywnością w terenie zostały wnikliwie zbadane, opisane i zarchiwizowane.

Jak się z tego wykręcić?

Decyzja o zamknięciu inwestycji w Ostrołęce nie przysporzyła głosów PiS. Jeśli wcześniej region był regularnie odwiedzany przez prezesa Kaczyńskiego, prezydenta Dudę i kolejnych premierów, to po wstrzymaniu prac liderzy Zjednoczonej Prawicy omijali go szerokim łukiem.

W 2018 r. w wyborach samorządowych związany z PiS prezydent Ostrołęki Janusz Kotowski przegrał w drugiej turze z Łukaszem Kulikiem, który wcześniej kierował strukturami SLD w tym mieście. Był to mocny policzek. Czartoryski zaczął tracić autorytet.

Także Amerykanom nie spodobała się decyzja o wstrzymaniu budowy.

Decyzja posła Czartoryskiego o opuszczeniu PiS mogła być spowodowana zainteresowaniem ze strony CBA.

Strona polska postanowiła budować elektrownię opalaną gazem. Generalnym wykonawcą ponownie został koncern GE Power. Pojawił się też nowy gracz – PKN Orlen, który wspólnie z PGNiG i Energą ma sfinansować budowę elektrowni. Nowym projektem ma się zająć nowa spółka CCGT Ostrołęka.

25 czerwca br. Elektrownia Ostrołęka oraz spółka CCGT Ostrołęka podpisały z GE Power, GE Steam Power Systems oraz General Electric Global Services właściwie aneks do umowy na budowę Elektrowni Ostrołęka C. Na terenie pierwotnie przeznaczonym pod budowę bloku węglowego ma powstać elektrownia parowo-gazowa o mocy 745 MW. Jej koszt ma wynieść ok. 2,5 mld zł. Prace budowlane powinny się rozpocząć pod koniec tego roku, a oddanie elektrowni do użytku ma nastąpić w roku 2025. Najprawdopodobniej nastąpi to rok lub półtora roku później.

Ale uchroni wiele osób przed odpowiedzialnością.

Wstrzymanie inwestycji naraziłoby Polskę na spór z amerykańskim koncernem; pewnie zostałby przegrany i trzeba by było wypłacić liczone w miliardach złotych odszkodowanie. Miliardowe straty spowodowane podjęciem decyzji o budowie elektrowni węglowej byłyby ewidentne i nie dałoby się z tego wykręcić.

Kontynuacja inwestycji staje się okolicznością łagodzącą. Trudniej będzie doprowadzić podejrzanych przed oblicze sprawiedliwości. Decyzja posła Czartoryskiego o opuszczeniu PiS mogła być spowodowana zainteresowaniem ze strony CBA, marginalizacją w partii i osłabieniem wpływów w mieście. Powrót na łono Zjednoczonej Prawicy, nawet jeśli oznacza pobyt w odstojniku, jakim jest Partia Republikańska Adama Bielana, daje mu nadzieję na odbudowę pozycji. Ale nie jest to wielka nadzieja – Kaczyński nie szanuje polityków, który go zdradzili. Którzy

Odszedł

Jerzy Żołnierkiewicz

Prawy. Uczciwy. Oddany służbie państwu.
Wiele zrobił dla środowisk polonijnych.
Niezapomniany towarzysz podróży
po Ameryce Łacińskiej.

Żonie,
prof. Teresie Goździk-Żołnierkiewicz,
głęboko współczuję
Jerzy Domański

FOT. JAROSŁAW SENDER/EAST NEWS

eprasa.pl 8bc22f5f95

publicznie mówili o tym, jak funkcjonuje jego partia.

Moi rozmówcy z Ostrołęki powątpiewają też, czy były baron odzyska wpływ na obsadę intratnych stanowisk w spółkach z udziałem skarbu państwa działających na terenie miasta. A to oznacza nieuchronny zmierzch politycznej kariery Arkadiusza Czartoryskiego.

Za co przyjdzie nam płacić?

Decyzja o kontynuowaniu inwestycji w zmienionej formule – gaz zamiast węgla – oznacza, że prąd z Ostrołęki nadal będzie płynął. Pytanie, jaka będzie jego cena. Trwa już budowa gazociągu z Litwy do naszego kraju. Koszt szacowany jest na 558 mln euro. Gazociąg ma m.in. zapewnić dostawy surowca do budowanej elektrowni. Nie sposób przewidzieć, ile po roku 2025 będzie kosztował metr sześcienny gazu ziemnego. Nowa elektrownia będzie zużywała rocznie ok. 750 mln m sześc. gazu, co oznacza wydatek rzędu miliarda złotych. Plus opłaty klimatyczne, wynagrodzenia, podatki, wszelkiej maści opłaty, remonty itp. Prąd nie będzie tani, lecz nie ma wyjścia.

Istnieją też plany przebudowy polskich elektrowni węglowych na gazowe w ramach transformacji całego systemu. To oznacza, że w przyszłości Polska będzie zużywała ogromne ilości gazu. Dziś relacje z Gazpromem są żadne. Liczymy na dostawy surowca ze Stanów Zjednoczonych, z krajów Zatoki Perskiej i z Morza Północnego. W ostatnich dniach pojawiła się informacja, że Zygmunt Solorz wspólnie z węgierskim koncernem MVM chce dokończyć wstrzymaną w 2013 r. budowę Bałtyckiej Elektrowni Jądrowej w obwodzie kaliningradzkim. Jeśli właściciel Polsatu ma polityczne błogosławieństwo ze strony rządu, to może zarobić miliardy na dostawach energii elektrycznej do północnych regionów naszego kraju. Ostrołęce nie powinno to zagrozić. Jeśli polska gospodarka nadal będzie się rozwijała, potrzebne będą jeszcze większe ilości energii niż dziś. Albo zatem powstaną nowe obiekty, albo przyjdzie nam importować z roku na rok więcej prądu. Alternatywą jest dramatyczny wzrost cen energii, a w konsekwencji najpierw spowolnienie wzrostu gospodarczego, a następnie kryzys. Niestety, obecny rząd nie ma realnych planów, jak uniknąć negatywnych scenariuszy. W przyszłości przyjdzie nam za to zapłacić.

Nie można mieć wątpliwości, że działania posłów Czartoryskiego i Tchórzewskiego związane z budową Ostrołęki zostały wnikliwie zbadane i zarchiwizowane.

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

Poczta Polska atakuje PRZEGLĄD

Piszecie o naszych błędach, to popamiętacie!

„Fundacja Oratio Recta, wydawca tygodnika »Przegląd«, informuje, że w numerze 20 (1114) tygodnika »Przegląd«, na stronie 13, dwukrotnie, bez zgody Poczty Polskiej S.A., w celu reklamy prenumeraty tygodnika »Przegląd« posłużyła się słowno-graficznym znakiem towarowym »Poczta Polska«, przez co naruszyła przysługujące Poczcie Polskiej S.A. prawo ochronne na ten znak, o numerze R.263935. Fundacja Oratio Recta przeprasza za zaistniałą sytuację Pocztę Polską S.A. oraz wszystkich Czytelników".

Opublikowania oświadczenia o takiej treści ogromnymi literami na prawie całej stronie, „bez żadnych dodatkowych komentarzy, dopisków czy jakichkolwiek innych elementów, mogących wpływać na odbiór oświadczenia przez odbiorców", żąda od wydawcy PRZEGLĄDU adwokat dr Krzysztof A. Wąsowski działający w imieniu Poczty Polskiej kierowanej przez prezesa Tomasza Zdzikota. Dodatkowo żąda zapłaty 3 tys. zł na rzecz Fundacji Pocztowy Dar. Jeśli nie spełnimy tych żądań, mec. Wąsowski grozi nam skierowaniem sprawy przez Pocztę Polską na drogę sądową.

Uzasadniając żądanie, adwokat twierdzi, że uczyniliśmy to w celu reklamy PRZEGLĄDU. Trudno o bardziej przewrotną interpretację. Jeśli jakikolwiek podmiot był tu reklamowany – i to bezpłatnie – to właśnie Poczta Polska. W rzeczywistości my po prostu POINFORMOWALIŚMY o świadczonej przez Pocztę Polską USŁUDZE prenumeraty prasy, w tym naszego tygodnika.

Usłudze, za którą Poczta Polska pobiera stosowną opłatę, a mimo to wielokrotnie źle się z niej wywiązuje, o czym świadczą stale przychodzące do redakcji skargi Czytelników. Prenumeratorzy, którzy zaufali Poczcie, skarżą się, że otrzymują PRZEGLĄD z opóźnieniem nawet kilkutygodniowym, podczas gdy zgodnie z par. 14 Regulaminu sprzedaży prasy w prenumeracie z 26 sierpnia 2016 r. powinni go otrzymać „w ciągu 4 dni roboczych, licząc od dnia otrzymania nakładu od wydawcy". My o tych skargach informujemy na łamach, próbując wywrzeć nacisk na nierzetelnego usługodawcę. A to z pewnością jest nie w smak prezesowi Zdzikotowi i zarządowi państwowego monopolisty.

Bo czy nie dlatego postanowiono w nas uderzyć? Czyżby nie poszło z góry polecenie: „Znajdźcie wreszcie coś na ten PRZEGLĄD!"? Odpowiedź pozostawiamy Czytelnikom.

■

eprasa.pl 8bc22f5f95

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Cnoty niewieście, czołgów ze dwieście

Doradca ministra edukacji w dużym, 40-milionowym, europejskim kraju, na początku trzeciej dekady XXI w., sam tytułujący się doktorem katolickiej uczelni, wygłasza z pełną powagą archaiczne pseudomądrości, nazwijmy je zatem po staropolsku dyrdymałami, na temat zadań szkoły względem uczennic, dziewcząt, młodych kobiet: „Należy ugruntować w nich cnoty niewieście". Nawet nie wiadomo, w którą stronę się obrócić. Kiedyś mówiono, że takiego gościa (nazywa się Skrzydlewski) wytrzaśnięto z wykopalisk. Obawiam się, że na śmiech jest cokolwiek za późno, mamy tu nie tyle wypadek przy pracy, lapsus, niezręczność, ile język fanatycznego dogmatyka religijnego, obracającego się w świecie tekstów, ideologii, pomysłów sprzed stuleci, z czasów bezdyskusyjnej męskiej władzy i równie potężnej władzy Kościołów, religii. Ale od 200 lat w Europie, a od ponad 100 w Polsce żyjemy w państwie niewyznaniowym, świeckim. Mamy dokument regulujący zasady tak skonstruowanego państwa – zwiemy go konstytucją. Sytuacja, w której urzędnik państwowy wysokiego szczebla pozwala sobie na taką uwagę (paradoksalnie mogę nawet założyć, że jego myśli i poglądy naprawdę układają się w takie słowa), powinna skutkować natychmiastowym zniknięciem kogoś takiego z przestrzeni władzy publicznej. Tyle że nie w Polsce w 2021 r. Tutaj zasłużył jeszcze na płomienną obronę i wsparcie przełożonego.

Taki wyskok nie wydarza się rzecz jasna nagle. I nie chodzi tylko o nieuprawniony klimat zażyłości polskiego państwa z instytucją Kościoła katolickiego, o latami postępujące rozmywanie granic, a raczej wpuszczanie poza dopuszczalne granice wpływów tej religijnej formacji, o usadawianie w strukturach państwa duchownych, o zreligijnienie uroczystości państwowych, samorządowych, niemal wszystkich. Księża najchętniej przejęliby nawet prowadzenie świeckich ceremonii pogrzebowych.

Chciałem się zatrzymać przy języku. Niemal od początku przewrotu 1989 r. nomenklatura kościelna, liturgiczna zaczęła przenikać do języka mediów, informacji, przekazu. Papieża zastąpił Ojciec Święty, na określenie czynności religijnych zaczęły wchodzić fachowe, liturgiczne terminy. Religia, ludzie religijni, hierarchowie mają święte czy nieświęte prawo wytwarzać swój język, w nim się otorbiać, ogradzać, chować i kryć. Rolą państwa laickiego jest umieć postawić tamę takiej ekspansji w przestrzeń wymiany informacji. Państwo ma obowiązek mówić do tych obywateli i obywatelek, którzy nie mają żadnego powodu znać i rozumieć pojęć teologicznych, liturgicznych, celebracyjnych. Ale o ile podczas startu rakiety w kosmos (niekoniecznie jakiegoś kolejnego dużego chłopca z gigantycznym *ego*, który ma miliardy, żeby sobie odlecieć) nie siedzi w studiu spec od silników rakietowych czy astrofizyk, który rzuca trajektoriami, wzorami itd., o tyle w przypadku uroczystości kościelnych niemal zawsze mamy księdza, rzucającego tymi wszystkimi eucharystiami, wniebowstąpieniami, kerygmatami czy problemem pochodzenia Ducha Świętego. Ministerialna fraza o cnotach niewieścich odwołuje się oczywiście do tradycji starszej niż chrześcijaństwo, bo do terminów znanych i opisywanych jeszcze przez Arystotelesa. Ale jak to chrześcijanie – Stagirytę stomizowali (św. Tomasz), a pojęcia przechrzcili, nadając im znaczenia odmienne, przeinaczone, w tym wypadku antykobieco zinterpretowane.

Rzucenie polskim kobietom w twarz edukacyjną koniecznością „ugruntowania cnót niewieścich" jest po prostu skrajnie chamskim atakiem politycznym, atakiem bezpardonowym po fali protestów z jesieni 2020 r., których inspiracją była całkiem inna galaktyka pojęć niż katolicki patriarchalny fanatyzm, który od stuleci miał dla kobiety wyznaczone i jedynie dozwolone miejsca w świecie, wyrażone najkrócej przez niemieckiego cesarza Wilhelma II: *Kinder*, *Küche*, *Kirche* (dzieci, kuchnia, kościół). Zjednoczona polityka zjednoczonej prawicy jest zjednoczonym wyrazem buty i braku rudymentarnego szacunku dla praw kobiet i dla kobiet samych. To polityka budowana na bezpardonowej potrzebie konfrontacji.

Za językiem pełnym „cnót" idzie realna przemoc wobec kobiet.

W prowadzeniu tej polityki biorą także udział kobiety – daleko nie szukając, była posłanka PiS, obecna sędzia trybunału Julii Przyłębskiej, Krystyna Pawłowicz. Ale nie traćmy z oczu głównych sprawców, wszystkich tych Czarnków, Skrzydlewskich, Glińskich, a przede wszystkim rozpychających się od lat na scenie politycznej, w kuluarach i gabinetach władzy biskupów. Za językiem pełnym „cnót" idzie realna przemoc wobec kobiet. W tej wizji świata nie ma miejsca na kobiety stanowiące o sobie, na kobiety niezależne, na kobiety wolne. A takich są pełne polskie miasta i wsie. Tym bardziej kuriozalnie wybrzmiewa to pohukiwanie fanatyków cofniętych o kilka epok.

W tytule są też czołgi, ale nie uda się już dzisiaj zająć tą kolejną chłopacką zabawą: kupmy czołgi za miliardy i nikogo o to nie pytajmy. Jak uzasadnia Kaczyński, „na wypadek, gdyby wydarzyło się nieszczęście". Jakie, komu, gdzie, dlaczego? Nie wiadomo. A kto bogatemu zabroni strzec „swoich" niewiast? Może kiedy indziej o czołgach, ale w tytule dobrze brzmią.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 8bc22f5f95

ZABÓJSTWO JAROSZEWICZÓW

Kolejny raz pudło? – cz. II

Gdyby nawet sprawa anińska nie została wyjaśniona, wyrok dożywocia i tak wisi nad głową przynajmniej jednego z oskarżonych

Helena Kowalik

Już w 1994 r. śledczy trafili na czterech włamywaczy z Mińska Mazowieckiego: Krzysztofa R. „Faszystę", Henryka S. „Sztywnego", Jana K. „Krzaczka" i Wacława K. „Niuńka". Mieli oni sporą kartotekę karną.

Żaden nie przyznał się do zamordowania Jaroszewiczów, ale wsypała ich Jadwiga J., konkubina „Faszysty". Powiedziała, że podsłuchała rozmowę kochanka z kumplami, gdy umawiali się „na robotę w Aninie". Dwóch podejrzanych – Krzysztofa R. i Jana K. – rozpoznała przez lustro fenickie Barbara S., na której dom w Aninie wcześniej napadli jacyś bandyci. Skrępowaną sznurami zamknęli w łazience i ograbili mieszkanie.

Podczas rewizji w mieszkaniu „Krzaczka" znaleziono fiński nóż o unikatowej rękojeści. Andrzej Jaroszewicz twierdził, że należał do jego ojca. Był tego pewien, dałby sobie głowę uciąć.

Te dwa kluczowe dla śledczych dowody wystarczyły, aby w kwietniu 1994 r. aresztować recydywistów z Mińska („Faszysta" w tym czasie już siedział, oskarżony o zabicie nożem starszego mężczyzny) pod zarzutem zabójstwa byłego premiera.

Podczas przewodu sądowego mocne w przekonaniu prokuratury poszlaki rozsypały się w pył. Konkubina „Faszysty" odmówiła zeznań przed sądem, a dziennikarzom po wyjściu z sali rozpraw powiedziała, że jej zeznania ze śledztwa zostały zmanipulowane. Barbara S., która miała w śledztwie rozpoznać „Faszystę" i „Krzaczka", powiedziała na procesie, że rysopisy sprawców znała z mediów.

Z kolei Andrzeja Jaroszewicza ogarnęły wątpliwości na widok noża znalezionego w domu oskarżonego. Już nie był tak pewny jak w czasie dochodzenia, że jest to finka jego ojca. Poinformował sąd, że zabytkowy kozik Piotr Jaroszewicz otrzymał od prezydenta Finlandii, ale nie był to jedyny egzemplarz na terenie Polski. Skądinąd miał informację, że do naszego kraju trafiło 16 takich noży. Oskarżony zareagował na to zeznanie oświadczeniem, że nie pamięta, czy kupił finkę na bazarze, czy też ukradł podczas włamania do pewnego mieszkania na warszawskiej Saskiej Kępie.

W 2000 r., po sześciu latach poszlakowego procesu, czwórka oskarżonych o zabójstwo Jaroszewiczów została z braku dowodów prawomocnie uniewinniona. Włamywacze mieli prawo domagać się odszkodowania za niesłuszne aresztowanie i dostali po 40-50 tys. zł.

Dziennikarskie śledztwa

Zawiedzeni finałem procesu w sprawie zabójstwa Alicji i Piotra Jaroszewiczów dziennikarze nie odpuścili tematu. Kilka redakcji prowadziło śledztwo na własną rękę. „Super Express", a następnie tygodnik „Wprost" ogłosiły nowy trop. Bardzo sensacyjny. Były premier został zamordowany, bo w 1945 r. zdobył hitlerowskie dokumenty kompromitujące znane osobistości, nie tylko polskie. Zabójcy torturowali go, gdyż chcieli odzyskać dla swoich mocodawców tajne teczki. Prawdopodobnie musiał coś podpisać, dlatego po przywiązaniu go do fotela zostawiono mu wolną prawą rękę.

Reporterski trop wiódł do Radomierzyc w pobliżu Zgorzelca. W tamtejszym barokowym pałacu hitlerowcy pod koniec wojny zgromadzili wojenne archiwum Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, zawierające m.in. listy konfidentów gestapo i dokumenty dotyczące kolaboracji Francji z III Rzeszą. Nie zdołali go zabrać przed wejściem Armii Czerwonej. W czerwcu 1945 r. w Radomierzycach pojawił się płk Piotr Jaroszewicz z zaufanymi towarzyszami: Tadeuszem Steciem, współpracownikiem służb wywiadowczych, oraz Jerzym Fonkowiczem, agentem polskiego wywiadu.

Część wyselekcjonowanych dokumentów zapakowali do auta. Jaroszewicz do końca życia przechowywał je w prywatnym archiwum. Nie chwalił się tym, gdyż o dokumenty mogłyby się upomnieć władze ZSRR, jako że zwycięzcy biorą wszystko.

Dziennikarze wskazywali tragiczny los uczestników tej rekwizycji. Wszyscy zostali zamordowani w nieodległych odstępach czasu. Jaroszewicz we wrześniu 1992 r. Steć, skromny przewodnik górski, który do końca życia potajemnie spotykał się z Jaroszewiczem – w styczniu 1993 r. Jako ostatni zginął w październiku 1997 r. emerytowany generał Jerzy Fonkowicz. Przed śmiercią był torturowany. Z mieszkania zabrano niewiele – niemieckie starodruki, telewizor i komplet sztućców.

Mord polityczny?

Inną sensację ogłosił tygodnik „Angora", twierdząc, że mordercy szukali dokumentów obciążających najwyższe partyjne władze PRL, które Jaroszewicz gromadził rozgoryczony, że dawni towarzysze, zwłaszcza Wojciech Jaruzelski, kazali go internować. Na zainteresowanie sprawców dokumentami mogłoby wskazywać dokładne przeszukanie gabinetu oraz pozostawienie na miejscu wartościowych przedmiotów.

eprasa.pl 8bc22f5f95

Aresztowani włamywacze recydywiści zostali uniewinnieni z zarzutu zamordowania Piotra Jaroszewicza i jego żony.

Następnie rozeszła się pogłoska, że Jaroszewiczów zamordowało tajne komando byłych funkcjonariuszy SB i radzieckiego KGB, tych samych, którzy pozbawili życia ks. Stefana Niedzielaka w 1989 r.

W tygodniku „Wprost" historyk IPN prof. Patryk Pleskot twierdził, że zbyt pochopnie przyjęto, iż zabójstwo Jaroszewiczów miało charakter rabunkowy. To mógł być mord polityczny. Profesor ujawnił nieznany opinii publicznej fakt ze śledztwa, że jeden z mieszkańców Anina widział, jak tamtego tragicznego poranka z willi Jaroszewiczów wychodziły trzy osoby: krótkowłosa kobieta i dwóch mężczyzn, jeden typu „byczy kark". Z innych akt śledczych wynika, że bardzo podobnie wyglądali mordercy ks. Stefana Niedzielaka. Natomiast sposób skrępowania ofiar i torturowania ich przypominał znęcanie się nad zamordowanym w 1989 r. ks. Sylwestrem Zychem oraz ks. Jerzym Popiełuszką. „Trzeba sobie zadać pytanie – mówił dziennikarzowi „Wprost" historyk z IPN – czy pod koniec lat 80. i na początku lat 90. nie istniało jakieś komando śmierci, które mordowało osoby niewygodne dla części ustępującej ekipy władzy".

Wiele było spekulacji, gdy z policyjnych przecieków dotarły do dziennikarzy śledczych wieści, jakoby z akt sprawy Jaroszewiczów zginęły trzy folie daktyloskopijne ze śladami niezidentyfikowanych odcisków palców pobranych na miejscu zdarzenia. Odciski te były na ciupadze, okularach Piotra Jaroszewicza i drzwiach szafy znajdującej się w jego gabinecie.

Te dowody odnalazł w lutym 2017 r. dziennikarz śledczy Tomasz Sekielski, który chciał nakręcić film o zbrodni w Aninie. Syn zamordowanego premiera Jan Jaroszewicz powiedział Sekielskiemu, że po zakończeniu sprawy sądowej dostał pudło z rzeczami rodziców. Jednakże, choć minęło kilkanaście lat, nie miał odwagi uchylić wieka. Usilnie namawiany przez dziennikarza zrobił to na jego oczach. W środku obok zakrwawionej odzieży znajdowały się zaginione folie. Tym cenniejsze, że od czasu morderstwa technika kryminalistyczna znacznie się udoskonaliła i można było na podstawie linii papilarnych ustalić DNA, następnie w systemie automatycznej identyfikacji odcisków palców AFIS odnaleźć sprawcę, jeśli kiedyś był karany.

Według Prokuratury Krajowej odzyskane folie zostały poddane wnikliwym badaniom daktyloskopijnym i biologicznym, jednak nie znaleziono dowodów, które stanowiłyby podstawę do postawienia komukolwiek zarzutów.

Pomógł przypadek

Pół roku później prokurator generalny Zbigniew Ziobro zwołał konferencję prasową, na której oświadczył: – Nie ma zbrodni doskonałej. (...) Wszystko wskazuje dzisiaj, oczywiście ta sprawa będzie rozstrzygana dopiero przez sąd, więc mówię o poziomie wysokiego prawdopodobieństwa, że prokuratorzy i policjanci doprowadzili do postawienia zarzutów kryminalnych trzem sprawcom zabójstwa. To, co było w tym momencie możliwe do zweryfikowania, zweryfikowaliśmy. Dwaj sprawcy, którzy się przyznali, złożyli obszerne wyjaśnienia i podali szczegóły, które nie pojawiały się ani w mediach, ani na poprzednim procesie.

Minister zaznaczył, że „do przełomu doszło w związku z niezwykle intensywnymi działaniami śledczych, dotyczącymi porwania chłopca z Krakowa". Czyli pomógł przypadek.

Krakowska prokuratura zajmowała się sprawą uprowadzenia biznesmena oraz 10-latka z Krakowa. Chłopiec po wpłaceniu przez rodziców okupu został uwolniony (przetrzymywano go w lesie w zamkniętej skrzyni), ale mężczyzna nie przeżył. W styczniu 2018 r. trafił do aresztu w tej sprawie Dariusz S., chemik po studiach uniwersyteckich. Podejrzany zdecydował się na współpracę ze śledczymi. Podczas jednego z przesłuchań wyjawił, że z dwoma kompanami, taksówkarzem Marcinem B. i jego szwagrem Robertem S., komandosem i mistrzem karate, brał udział w napadzie na willę w Aninie w nocy z 31 sierpnia na 1 września 1992 r.

Dariusz S. kiedyś się pochwalił, że ma na koncie kilka głów.

Podał szczegóły. Po przyjeździe rano do Anina dzień zszedł im na obserwowaniu willi Jaroszewiczów. Mieli specjalne maskujące kombinezony i kominiarki, po dwie pary rękawiczek i trampki utrudniające późniejszą identyfikację.

Robert S. wyposażył ich w sznury i nóż, który Dariusz S. schował za pasek. Wieczorem herszt podał psu jedzenie z paraliżującą łapy trutką.

FOT. ARCHIWUM PRZEGLĄDU

eprasa.pl 8bc22f5f95

Do środka weszli za pomocą dwóch drabin, które przystawili do uchylonego okna łazienki.

Po związaniu Piotra Jaroszewicza i jego żony przeszukali dom, zabrali z niego 5 tys. marek niemieckich, złote monety, dwa pistolety oraz zegarek damski firmy IWC Schaffhausen.

Nad ranem były premier wyswobodził się z więzów. Wtedy ponownie unieruchomili go w fotelu i Robert S. zadzierzgnął śmiertelną pętlę na szyi ofiary. Po zamordowaniu Jaroszewicza komandos zabrał z gabinetu sztucer i w łazience zastrzelił związaną Alicję Solską.

W czasie śledztwa tylko Robert S. zaprzeczył wersji Dariusza S., twierdząc, że nie było go w Aninie.

Gang karateków

Wszyscy trzej podejrzani należeli do osławionego gangu karateków z Radomia powiązanego z mafią pruszkowską. Nazwano ich tak, bo poznali się pod koniec lat 80. w sekcji karate kyokushin Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Radomiu.

Okradali bogate wille przede wszystkim z ukrytych w sejfach pieniędzy i złota, które potem przetapiali na sztabki i sprzedawali jubilerom. Mieli na sumieniu wiele napadów. Grasowali w całej Polsce. Mózgiem grabieży był Robert S. Każdy skok poprzedzały długie przygotowania. Przez wiele dni napastnicy obserwowali zwyczaje domowników – kiedy wracają z pracy, o której gaszą światło, kładą się spać. Włamywali się zazwyczaj po północy – krępowali ofiary, ale nie byli brutalni. Nigdy nie kradli cennych obrazów z willi w obawie, że paserzy naprowadzą na ich ślad. Zazwyczaj po skoku uciekali autem okradzionego.

Stronili od mokrej roboty, ale zabierali ze sobą broń. Kiedy w czerwcu 1993 r. podczas plądrowania daczy właściciela hurtowni w Kostrzynie Robert S. został znienacka zaatakowany przez gospodarza, strzelił mu prosto w serce.

W śledztwie tak się tłumaczył: – Ten napadnięty usłyszał krzyk żony, więc chwycił za lufę obrzyna, który miałem przewieszony na pasku na piersiach. Zaczęliśmy się szarpać. Nie chciałem go zabić. Jeżeli nacisnąłem spust, to nieświadomie.

Zdaniem prokuratury ten sam oskarżony podczas rozboju w 1991 r. zamordował małżeństwo 70-latków z Gdyni, chcąc wymusić od nich informację, gdzie ukrywają kosztowności. Po dwóch latach śledztwo zostało umorzone. Karateka ma też na sumieniu usiłowanie zabójstwa mężczyzny w 1993 r. w Izabelinie. Miał się posługiwać wtedy samodziałową bronią palną, tzw. kołkownicą.

Nieoczekiwanie karatecy narazili się mafii pruszkowskiej, gdy napadli na rezydencję biznesmena Wiesława P. „Wicka" w Górze Puławskiej koło Lublina. Poszkodowany był przyjacielem wpływowego gangstera Andrzeja Kolikowskiego „Pershinga".

Ograbiony P. oszacował wówczas swoje straty na 3 mld starych złotych i poskarżył się gangsterom w Pruszkowie. Ci namierzyli sprawców błyskawicznie, gdyż jeden z nich pożyczył kuzynowi wybierającemu się na dyskotekę skórzaną kurtkę „Wicka". Boleśnie zapłacili za swój skok.

Słynny świadek koronny „Masa" opowiedział dziennikarzowi „Super Expressu", jak na polecenie „Pershinga" ukarał złodziei mienia „Wicka": „Wsiedliśmy w auta, pojechaliśmy do Radomia, na miejscu ich poturbowaliśmy, a potem zawieźliśmy ich do tego biznesmena i tam spuściliśmy im potężny wpier… Wierciliśmy im kolanka. Bez wiercenia by się nie obyło, bo to były harde łobuzy".

W śledztwie potwierdził to Dariusz S. Dodał, że Kolikowski zażądał odszkodowania za straty moralne i materialne – mieli mu oddać 180 tys. dol. Dlatego zwielokrotnili liczbę napadów, choć policja deptała im po piętach. Siedmiu członków gangu wpadło w marcu 1995 r. Ósmy, prawdopodobnie przez kogoś uprzedzony, uciekł do Niemiec. Rok później karatecy stanęli przed sądem oskarżeni o 29 rozbojów i jedno zabójstwo.

Robert S. jako szef gangu został skazany na 25 lat, miał wyjść z więzienia w lipcu 2020 r., ale spadł na niego kolejny akt oskarżenia, tym razem w sprawie zabójstwa Jaroszewiczów. Dariusz S. i Marcin B. z wyrokami po 15 lat też już odsiedzieli swoje. Kiedy tylko znaleźli się na wolności, wrócili do przestępczego procederu.

W grudniu 2017 r. w Krakowie zatrzymano jednego z najbardziej brutalnych karateków – Bogusława K., na co dzień taksówkarza. To on porwał chłopca oraz biznesmena, którego zwłoki znaleziono później w Krakowie w trumnie. Zdaniem oficerów dochodzeniowych Centralnego Biura Śledczego Policji Bogusławowi K. pomagał 63-letni Dariusz S.

Znalazłem się w dołku

31 maja 2021 r. Przed warszawskim sądem zeznaje Robert S. Ma sporo notatek. Aby wejść na salę rozpraw, trzeba mieć kartę wstępu.

Oskarżony, wyraziście gestykulując, uprzedza sąd, że „dla systematycznego przekazu" chciałby opowiedzieć o swojej znajomości z pozostałymi oskarżonymi.

Rozeszła się pogłoska, że Jaroszewiczów zamordowało tajne komando byłych funkcjonariuszy SB i radzieckiego KGB.

Dariusza S. poznał w 1980 r. podczas ćwiczenia karate. Po pewnym czasie trener dał mu do prowadzenia grupę początkującą, w której byli jego przyszła żona i jej brat Marcin B., wówczas 15-letni. Z Dariuszem S. ponownie spotkał się dwa lata później, gdy powołano ich do wojska. A Marcin B został jego szwagrem.

– Po wojsku założyłem własną firmę z odzieżą skórzaną, którą sprzedawałem w Warszawie na stadionie. Był duży popyt, w ciągu godziny pozbywałem się całego towaru, co mobilizowało mnie do zwiększenia produkcji. I wtedy na horyzoncie pojawił się Dariusz S. On przez kilka lat mieszkał w Niemczech, siedział tam w więzieniu, nie wiem za co. Po powrocie do Polski handlował właśnie kurtkami skórzanymi. Trzeba wiedzieć, że Radom to było zagłębie tego rodzaju produkcji. Przed zmianą ustroju prosperowały tam duże garbarnie państwowe i po roku 1989 wiele osób z tych zakładów założyło własne firmy.

Uzgodnili z Dariuszem S. warunki współpracy. Początkowo wszystko układało się dobrze. Ale jesienią 1992 r. Robert S. zanotował pierwsze większe straty. Jego wspólnik nie sprzedał 20 kurtek; tłumaczył, że zarekwirowała je kontrola skarbowa. Sytuacja z aresztem towaru powtórzyła

eprasa.pl 8bc22f5f95

się i Robert S. nabrał pewności, że jest oszukiwany. Ale do rozliczenia nie doszło. Na początku 1993 r. Dariusz S. zasugerował mu, że prawdziwe pieniądze mogą mieć z napadów na bogatych, tylko trzeba to robić we trzech. Kompanem mógłby być Marcin B.

– Dariusz był uzbrojony – twierdzi przed sądem Robert S. – gdyż chciał nielegalnie wrócić do Niemiec i zemścić się na mężczyźnie, który zabrał mu kobietę. Pokazywał mi coś w rodzaju bagnetu, sprawdzał, czy gładko wchodzi w mięso. Miał też karabinek kbk. Chciał, abym mu uszył szelki na noszenie pistoletu pod marynarką.

Jeździli w teren ćwiczyć strzelanie i obserwować domy, które można ograbić. Dariusz S. szukał rezydencji położonych blisko torów, żeby w razie czego przejeżdżające pociągi zagłuszały hałasy wywołane napadem.

Robert S. znajdował adresy ewentualnych ofiar w pismach poświęconych tworzącej się klasie średniej. Reporterskie opisy rezydencji nowobogackich i fotoreportaże z wnętrza zawierały bardzo wiele przydatnych im informacji. Taki obiekt namierzyli m.in. pod Gdańskiem. Podczas rekonesansu nie zbliżali się zbytnio, gdyż po podwórzu biegały dwa ostre psy. Dariusz S. powiedział, że potrafi je „zneutralizować", ma opracowaną metodę otrucia.

Sędzia: – Pan nie był zdziwiony propozycją dokonywania napadów?

– Byłem, ale znalazłem się w dołku finansowym, a miałem wówczas już trójkę dzieci. Dariusz S. kusił mnie perspektywą zarobienia dużych pieniędzy. Dziś podejrzewam, że on celowo spowodował szkodę w moich futrzarskich interesach, abym porzucił dotychczasowe zajęcie. O napad w Aninie zostałem przez niego pomówiony przed prokuratorem z dwóch powodów. Po pierwsze, Dariusz S. miał do mnie pretensje, że obciążyłem go w procesie radomskim. On jest człowiekiem mściwym. Wiem, że chciał coś zrobić sędziemu, który go wtedy skazał. Ustalił już miejsce jego zamieszkania. Po drugie, przyznając się prokuratorowi do napadu w Aninie, liczył na nadzwyczajne złagodzenie kary w innej sprawie karnej.

Robert S. bez pytania charakteryzuje towarzyszy z ławy oskarżonych: – To osoby, które nie mają szacunku dla ludzkiego życia. Dariusz S. kiedyś się pochwalił, że ma na koncie kilka głów. Łączy ich coś więcej niż sprawy rozpatrywane w czasie obecnego procesu. To jest coś takiego, czego się obawiają, dlatego starają się nawzajem sobie nie zaszkodzić. Tak patrząc po ludzku, czy Marcin B. siedziałby tu dzisiaj, gdyby Dariusz S. nie zaczął składać wyjaśnień na temat napadu w Aninie? Nie siedziałby. Żyłby sobie dalej na wolności. Jeden i drugi wiedzą dokładnie, co się wydarzyło w Aninie. Wersja, którą przedstawili w sądzie, zawiera elementy zupełnie do siebie niepasujące. Chociażby pod względem czasu trwania napadu.

Sędzia: – Czy słowa Dariusza S., że „ma na koncie kilka głów", padły przy świadkach?

– Nie. On to mówił bezpośrednio do mnie.

– Czy pan w to uwierzył?

– Brałem pod uwagę taką możliwość – odpowiedział Robert S.

Oskarżony dużo mówi o innych, już osądzonych napadach. Ma się wrażenie, że chce odwrócić uwagę sędziów od zbrodni w Aninie. W kolejnej godzinie składania wyjaśnień Robert S. tłumaczy się z tego.

– Chciałem przybliżyć wysokiemu sądowi, jak wyglądało przygotowanie do napadu. Nie było tak, że jechaliśmy we trzech i dwóch nic nie robiło. Jest prawdą, że w czasie akcji głównie ja mówiłem, więc pokrzywdzeni mogli odnieść wrażenie, że dowodzę. Zwłaszcza że zostałem skazany za większą liczbę napadów niż pozostali.

Robert S. podkreśla, że w odróżnieniu od reszty oskarżonych, którym obce są ludzkie odczucia, on czasem starał się pomóc ofiarom napadu. Na przykład gdy okradana przez niego kobieta powiedziała mu o dwóch pierścionkach, które miały dla niej szczególną wartość, po jakimś czasie wrzucił je do jej skrzynki pocztowej.

Pod koniec rozprawy pada pytanie o zabieranie na napady naładowanej broni. Z wcześniejszych wyjaśnień oskarżonego wynikało, że broń miała im służyć tylko jako straszak. Nie musiała zatem być naładowana.

Robert S.: – Robiłem to na wszelki wypadek. Po pierwszym napadzie, podczas którego musiałem zastrzelić psa, obawiałem się podobnych sytuacji. Ale łącznie w czasie działalności gangu użyłem broni tylko cztery razy.

Wyjaśnieniom Roberta S. raz po raz wtóruje śmiech Marcina B.

W południe sąd jak zwykle ogłasza półgodzinną przerwę. Dla publiczności, również dziennikarzy, jest to sposobność, aby tego dnia już nie wrócić na salę rozpraw.

Wszyscy obserwatorzy przewidują, że proces będzie się toczył latami. Robert S. ma jeszcze inne zarzuty z art. 148 kk, o zabójstwo. Gdyby nawet sprawa anińska nie została wyjaśniona, wyrok dożywocia i tak wisi nad głową przynajmniej jednego z oskarżonych.

Helena Kowalik

eprasa.pl 8bc22f5f95

Jaruzelski: ostatni rozdział

Pierwszy prezydent III RP. W tę grę zaangażowane były służby i Ameryka

Robert Walenciak

19 lipca 1989 r. Zgromadzenie Narodowe wybrało Wojciecha Jaruzelskiego na prezydenta RP. W ten sposób nad reformami w Polsce i – co ważniejsze z perspektywy globalnej – nad reformami w ZSRR otwarty został parasol. Tak planowano, choć nie brakowało momentów, w których ten plan mógł wylecieć w kosmos.

Okrągły Stół: Powiem panu jak czekista czekiście

Idea, by wprowadzić do polskiej konstytucji instytucję prezydenta, nabrała treści podczas obrad Okrągłego Stołu. Był to jeden z kluczowych elementów nowego systemu władzy.

Opowiada o tym Andrzej Gdula, współpracownik gen. Jaruzelskiego. – Powiedzieliśmy, że chcemy wprowadzić urząd prezydenta. Na to Geremek zapytał: „Ale po co?". Więc tłumaczyliśmy, że taka osoba zadba o stabilność.

I już wtedy wiadomo było, że będzie to stanowisko skrojone dla Wojciecha Jaruzelskiego.

– Michnik do mnie zagadał: „Ja mówię panu jak czekista czekiście: my się w życiu na Jaruzelskiego nie zgodzimy" – opowiada Gdula. – A ja na to: „To ja panu odpowiem jak czekista czekiście: jak nie Jaruzelski, to w ogóle nie skończymy tego stołu. Jaruzelski dla nas jest kamieniem węgielnym, na którym to się opiera. On jest gwarantem i dla nas, i dla sojuszników, że to wszystko pójdzie we właściwym kierunku". Podszedł do nas Kuroń: „Weź Olka, przyjeżdżajcie do mnie do domu, ja tam będę z Geremkiem, przegadamy". Pojechaliśmy. Przedstawiliśmy argumenty krajowe, międzynarodowe. Geremek wysłuchał: „Musicie zrozumieć, że my nie możemy generała poprzeć, żeby Solidarność, która przeszła stan wojenny, mogła to zaakceptować. Na to nie ma żadnych szans. Natomiast rozumiemy, że tego wymaga racja stanu. Ale będziecie mieli większość w Sejmie. Zrobicie to jedną ręką".

Wydawało się to oczywiste. Kandydaci PZPR i tzw. stronnictw sojuszniczych mieli zagwarantowane 299 miejsc w Sejmie. To dawało w Zgromadzeniu Narodowym (460 + 100) bezpieczną większość, nawet zakładając, że cały Senat trafi w ręce opozycji.

Ale oczywiste być przestało już 4 czerwca wieczorem, gdy padła lista krajowa, a Solidarność wzięła cały niemal Senat.

Druga tura wyborów ten stan niepewności pogłębiła – mandaty z list PZPR i stronnictw sojuszniczych zaczęli brać kandydaci popierani przez Solidarność. Część z nich zaczęła deklarować, że nie poprze Jaruzelskiego. I nagle okazało się, że generał może głosowania w Zgromadzeniu Narodowym nie wygrać.

Gry generałów

Teoretycznie wszystko szło zgodnie z planem. 23 czerwca, podczas pierwszego spotkania Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego, przyjęto, że OKP nie będzie wysuwał własnego kandydata na prezydenta. Bomba wybuchła 30 czerwca. Podczas XIII Plenum KC PZPR Wojciech Jaruzelski ogłosił, że nie będzie kandydował na prezydenta i że wysuwa na to stanowisko Czesława Kiszczaka.

Jak do tego doszło? Musiało przecież zdarzyć się coś, co wpłynęło na taką decyzję. Andrzej Gdula: – Nagle przyszły pierwsze notatki, Pożoga to podpisywał, że w Solidarności rodzi się pomysł, żeby nie ten, co odpowiada za stan wojenny, ale ten, kto poprowadził tak skutecznie Okrągły Stół, był kandydatem na prezydenta. Czytałem to… I mówiłem sobie: chłopcy się bawią. Ale potem przyszła informacja, że Wałęsa publicznie powiedział, że w jego rozumieniu lepszym kandydatem na prezydenta byłby Czesław Kiszczak.

W takiej atmosferze rozpoczęło się XIII Plenum KC PZPR. I wtedy Jaruzelski wszystkich zaskoczył. – Na posiedzeniu plenarnym generał ni stąd, ni zowąd powiedział, że on rezygnuje z kandydowania na prezydenta – relacjonuje Andrzej Gdula. – Rezygnuje, ponieważ dochodzą go takie opinie, także od Wałęsy, że Czesław Kiszczak byłby lepszym prezydentem.

Wałęsa publicznie powiedział, że lepszym kandydatem na prezydenta byłby Kiszczak. I na XIII Plenum KC PZPR Jaruzelski zrezygnował z kandydowania.

– Dlaczego generał tak wszystkich zaskoczył?

– Myślę, że chciał sprawdzić sytuację. Dlaczego tak sądzę? Po plenum zbierałem się do domu i wtedy zadzwonił do mnie szef jego gabinetu: „Natychmiast do szefa!". Zjechałem, mój pokój był wyżej. I generał do mnie: „Słuchaj, wiem, że jest posiedzenie klubu OKP w Sejmie. Jedź, wyciągnij kierownictwo klubu, całe, i powiedz, że podjąłem taką decyzję, że jeśli oni uważają, oni, Wałęsa, że Kiszczak będzie lepszym kandydatem, to ja nie będę stał na drodze. Jedź, czasu nie ma". Pojechałem. Oni obradowali, więc podałem kartkę, że proszę kierownictwo o spotkanie w pilnej sprawie. Za chwilę wyszedł Geremek, po nim Kuroń i Michnik. I mówię, że generał prosił, żeby poinformować, żeby nie dowiadywali się z prasy, bo to za chwilę będzie huczało. Że jest jego decyzja, żeby zrezygnować. Że jeśli

eprasa.pl 8bc22f5f95

Wybór Wojciecha Jaruzelskiego na urząd prezydenta przez Zgromadzenie Narodowe, 19 lipca 1989 r.

wy popieracie Kiszczaka, że Wałęsa to zgłaszał… Pierwszy odezwał się Adam Michnik, w obraźliwych słowach powiedział, co o nas myśli. Jacek Kuroń powiedział to w łagodnych słowach: „Andrzej, jakaś powszechna głupawka was opanowała. Czy wy zdajecie sobie sprawę, co to jest? My tłumaczyliśmy wam, dlaczego nie możemy popierać Jaruzelskiego, ale zdajemy sobie sprawę, jaka jest sytuacja. A ty przynosisz takie informacje!”. Geremek słuchał. A potem powiedział tak: „Proszę przekazać generałowi, że OKP nigdy nie poprze Kiszczaka. To jest niemożliwe. My też nie będziemy głosowali za Jaruzelskim. Ale rozumiemy, że dla dobra państwa, dla spokoju takie rozwiązanie jest konieczne. I waszą rolą jest, żeby przekonać pozostałych członków parlamentu, żeby dokonali właściwego wyboru”.

– A pan co na to?

– Odpowiedziałem Geremkowi, że ta decyzja to dlatego, że są sygnały od Wałęsy. Na to Geremek: „Wałęsa nie ma nic do gadania. To my będziemy w parlamencie decydować. Myśmy to przedyskutowali i absolutnie na takie rozwiązanie, żeby Kiszczak kandydował, się nie zgodzimy. Po prostu nie przyjmiemy go. To musicie kalkulować”.

– Jaruzelski – rozumieją, Kiszczak – sprzeciw.

– Absolutnie! Kuroń dodał: „Andrzej, wyobraź sobie: nowe rozdanie, tyle nadziei, nowa Polska. I policmajster zostaje prezydentem! Czy wyście stracili głowy? Ja nie mam nic do Kiszczaka, jego zasługi, Okrągły Stół, są bez dyskusji. Ale mowy nie ma, żeby on!”. I jak się z nimi żegnałem, to jeszcze Geremek mnie przytrzymał: „Niech pan powie generałowi, że my jako klub konkurencyjnego kandydata nie wystawimy”.

– Powiedział pan?

– Zaraz zadzwoniłem do generała i mówię mu: „Towarzyszu generale, jestem po rozmowie. Dwie informacje najważniejsze – że oni rozumieli, że kandydatem jest gen. Jaruzelski. I nie popieraliby tego w Sejmie, w głosowaniu, ale ze zrozumieniem by się odnosili. Wiedzą, że są wymogi państwa itd. I drugie – że absolutnie nie poprą Kiszczaka”. Generał tego wysłuchał i mówi: „No dobrze, to zadzwoń do Czesława i mu powiedz”. Ja na to: „Ja mam o tym powiedzieć?”. A generał: „Tak, ty. A kto był na rozmowach? Ja czy ty? Bierz telefon i powiedz mu to”.

– I zadzwonił pan?

– Zadzwoniłem. I powiedziałem. Że rozmowa była i że takie ustalenia. Na tym zakończyliśmy. Kiszczak chyba się na mnie obraził. Nawet nie powiedział dziękuję, tylko odłożył słuchawkę.

– A Kiszczak chciał być prezydentem?

– On nawet po tej rozmowie chciał, z Cioskiem się spotkał, z Wałęsą. Namawiali Wałęsę, żeby przekonał posłów OKP do głosowania na niego.

– To było 4 lipca. Wałęsa obiecał Kiszczakowi, że jakąś grupę posłów i senatorów OKP przeciągnie.

– Ale już wtedy były inne działania. Oczywiście, gdy zaczęły się wahania gen. Jaruzelskiego, poinformowano ambasadorów ważnych państw, USA, Związku Radzieckiego, że są takie przymiarki. I wtedy dostaliśmy zwrotną informację, że George Bush w trybie pilnym prosi o wizytę. I przyjechał do Polski 11 lipca, rozmawiał z Wałęsą, no a przede wszystkim z generałem.

Jaruzelski musi to wziąć

Dziś, gdy za sukces polskiej dyplomacji uważa się to, że prezydent RP pogada 10 minut z prezydentem USA, gdzieś na korytarzu, między windą a WC, trudno pojąć, że George Bush przebywał w Polsce przez prawie trzy dni, w dniach 9-11 lipca 1989 r., w zasadzie tylko po to, by Jaruzelski został prezydentem. W pamiętnikach tak to opisuje: „Po przybyciu do Belwederu to, co miało być 10-minutowym spotkaniem przy kawie, przekształciło się w dwugodzinną dyskusję. Jaruzelski mówił o swojej niechęci kandydowania na fotel prezydenta i pragnieniu uniknięcia wewnętrznych konfliktów tak Polsce niepotrzebnych… Powiedziałem, że jego odmowa kandydowania może mimo woli doprowadzić do groźnego w skutkach braku stabilności, i nalegałem, aby przemyślał ponownie swoją decyzję. Zakrawało to na ironię, że amerykański prezydent usiłuje nakłonić przywódcę komunistycznego do ubiegania się o urząd polityczny. Byłem jednak przekonany, że doświadczenie, jakie posiadał Jaruzelski, stanowiło najlepszą nadzieję na sprawne przeprowadzenie zmian okresu przejściowego w Polsce”.

Kiszczak chciał być prezydentem. Z Cioskiem namawiali Wałęsę, żeby przekonał posłów OKP, by na niego głosowali.

FOT. STANISŁAW SAS/FORUM

eprasa.pl 8bc22f5f95

Potem, wieczorem, miała miejsce uroczysta kolacja w hotelu Europejskim. I znów, w gronie kilkudziesięciu osób, amerykański prezydent otwarcie i głośno namawiał Jaruzelskiego do kandydowania. Pokazał, za kim stoi Ameryka. W tym samym czasie do poparcia Jaruzelskiego namawiał posłów OKP ambasador USA.

Chyba możemy dość łatwo zrekonstruować myślenie Amerykanów. Wiadomo było, że zmianom w Europie sprzyja przywódca ZSRR Michaił Gorbaczow. Ale też było wiadomo, że jego pozycja w systemie władzy w ZSRR jest chwiejna. Że twardogłowi w każdej chwili mogą go odsunąć. Ta obawa została zresztą kilkanaście miesięcy później potwierdzona puczem Janajewa.

Cały proces transformacji imperium zależał zatem w wielkim stopniu od wydarzeń w Polsce. Od tego, czy wszystko będzie się odbywało płynnie, spokojnie, tak by nie dać pretekstu „obrońcom socjalizmu". W tej przemianie kluczowym elementem był Jaruzelski. Jego obecność na czele państwa wytrącała twardogłowym w Moskwie oręż z ręki, osłaniała Gorbaczowa.

Jaruzelski był tego świadom. „Bardzo dbaliśmy o to, żeby tak przeprowadzać nasze reformy, by Gorbaczow nie musiał się obawiać, że zostanie z tego powodu zaatakowany czy nawet obalony – mówił w wywiadzie dla PRZEGLĄDU. – Żeby nie było pretekstu – do czego się dopuszcza w Polsce! Dla nas było najważniejsze – po pierwsze, nie szkodzić Gorbaczowowi. Pamiętam, jak był u nas z wizytą, jeszcze jako wiceprezydent, George Bush, pamiętam rozmowy z Mitterrandem, z panią Thatcher. Wszyscy oni się dopytywali: czy się utrzyma Gorbaczow? Traktowano mnie trochę jak eksperta od Rosji. Rzeczywiście, ten kraj znam od tajgi po Kreml, od kosmodromu Bajkonur po Teatr Wielki. Starałem się więc mówić, tłumaczyć".

Jaruzelski gwarantował poza tym, że aparat władzy, resorty siłowe, MON i MSW, będą po stronie zmian. A przynajmniej nie będą przeciw.

A czy generał o tym wiedział? W książce „Rok 1989. Geremek opowiada, Żakowski pyta" Bronisław Geremek mówi o spotkaniu gen. Jaruzelskiego z klubem OKP dwa dni przed głosowaniem. Padło wtedy zdanie, „które oddawało prawdziwy stan świadomości Jaruzelskiego: »Proszę pamiętać, że tylko gen. de Gaulle mógł wyprowadzić Francję z Algierii«. To było wielkie zdanie, bo ono znaczyło, że tylko gen. Jaruzelski może wyprowadzić PZPR z peerelu".

Wszystko było policzone

Jak więc rozumieć grę Kiszczaka? Ewidentnie zależało mu na stanowisku prezydenta i o nie zabiegał. Świadczą o tym notatki wysyłane przez jego zastępcę gen. Władysława Pożogę, spotkania z Wałęsą, rozmowy. Widać było, że uruchomił wszystkie swoje kanały.

– Dlaczego Kiszczak zdecydował się na taką intrygę? – pytam Andrzeja Gdulę.

– Tego do końca nie wiem. Jeden z moich rozmówców ze strony Solidarności mówił mi tak: „Kto wie, czy to była intryga służb, czy też autorska myśl Wałęsy. Wiesz, to mogło być tak, że Wałęsa mógł sobie kombinować, że Jaruzelski rezygnuje, Kiszczaka nie przyjmiemy i wtedy kto? Tylko on zostaje".

– Jest również wersja, że po prostu Wałęsa uznał, że lepiej mieć naprzeciw słabego Kiszczaka niż silnego Jaruzelskiego. Z kolei Józef Czyrek mówił mi, że najpierw było tak, że Kiszczak uruchomił swoich ludzi, a potem Amerykanie swoich.

George Bush przebywał w Polsce od 9 do 11 lipca 1989 r., w zasadzie tylko po to, by Jaruzelski został prezydentem.

– Być może tak wszystko się zbiegło. Pani Kiszczakowa w którymś momencie poczuła się prezydentową… Kiszczak z Cioskiem rozmawiali z Wałęsą. Prosił go Kiszczak, żeby dał mu wsparcie w klubie OKP. Czyli jeszcze wtedy zabiegał. To tłumaczy w pewnym sensie następną decyzję Jaruzelskiego, który – żeby było elegancko – zaproponował Kiszczakowi, żeby był premierem.

•

Po interwencji prezydenta Stanów Zjednoczonych głosowanie w Zgromadzeniu Narodowym było formalnością.

Owszem, kilku posłów ZSL i SD zagłosowało przeciwko Jaruzelskiemu i większość, którą teoretycznie miał, okazała się mniejszością. Ale wówczas, kiedy Solidarność musiała być przeciw, do gry wszedł Kościół.

11 posłów OKP nie wzięło udziału w głosowaniu, kilku senatorów oddało głos nieważny… To obniżało wymagany do wyboru próg, było zatem pomocą dla Jaruzelskiego.

Wymagana większość przy 537 głosach ważnych wynosiła 269 głosów. Jaruzelski dostał 270.

– Mieliśmy wszystko policzone, pod kontrolą. Głosowanie było imienne, jawne. Strachu nie było – mówił mi Czyrek. – Kościół był zaangażowany. Niech pan zwróci uwagę, że w głosowaniu z grona OKP nie uczestniczyli ci posłowie i senatorowie, którzy mieli mocne poparcie w Kościele. Którzy mieli na kogo liczyć.

W ten sposób otwarty został ostatni rozdział Polski Ludowej. Albo pierwszy III RP.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Wpłaty **53 zł** prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Pocztą Polską. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, paczka w RUCH-u +6,99 zł, paczkomat InPost +11,90 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90. zł.

eprasa.pl 8bc22f5f95

Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

Dług wdzięczności

Niedawny zgon prof. Zbigniewa Pełczyńskiego przypomniał o długu wdzięczności, jaki również ja mam wobec niego. Przed wielu laty, w lipcu 1983 r., byłem beneficjentem programu Oxford Colleges Hospitality Scheme. A był to program niezwykły – Pełczyński, działając w imieniu Uniwersytetu Oksfordzkiego, sam wybierał Polaków, których chciał zaprosić. Zakwalifikowanie poprzedzały poufne rekomendacje. Władze PRL mogły delikwenta nie wypuścić, ale zwykle godziły się na te wyjazdy.

Wyprawa do Anglii nie była moim pierwszym wyjazdem na Zachód – dziewięć lat wcześniej, jeszcze w czasach Edwarda Gierka, wziąłem udział w wycieczce studenckiej do Włoch. Teraz, w czasie polskiego kryzysu, kontrast między PRL a Zachodem był jeszcze głębszy. Spostrzegłem to natychmiast po przylocie: na lotnisku Heathrow kupiłem w automacie puszkę coli i uświadomiłem sobie, że właśnie wydałem dwie trzecie miesięcznej pensji. A potem ujrzałem brytyjskie społeczeństwo: ludzi wolnych, spokojnych i wobec siebie opiekuńczych, rowerzystów, ulicznych śpiewaków oraz wolontariuszy zbierających datki na jakiś szlachetny cel. Oraz te tysiączne, nieobecne w PRL, udogodnienia dla niepełnosprawnych... A gdy jeszcze przyszło podziwiać gotyckie katedry – o ileż większe, piękniejsze i starsze od naszych… Te dwa wyjazdy – do Italii i Brytanii – ukazały mi polską peryfyjność. Oraz cywilizacyjną zapaść PRL.

Wbrew nazwie programu gościłem nie w Oksfordzie, lecz w Cambridge. Gdy jednak po przyjeździe zadzwoniłem do Pełczyńskiego, natychmiast zostałem zaproszony także do Oksfordu. I te trzy oksfordzkie dni stały się może jeszcze ważniejsze niż trzy tygodnie spędzone w Cambridge. Z Polski do brytyjskich koledżów wtedy nie przyjeżdżano – początek stanu wojennego zlikwidował dotychczasowe, też przecież szczupłe, kontakty – toteż moje pojawienie się w Oksfordzie stało się małą sensacją. Pełczyński poświęcił mi sporo czasu i pobyt w całości zorganizował. Jakże czułem się ważny: odwiedziny u Leszka Kołakowskiego, piwo w pubie z Normanem Daviesem, kolacja z Timothym Gartonem Ashem… Wieczorami wracałem do XVI-wiecznej wieży w Trinity College, gdzie mieszkałem, a tam czekała na mnie wykwintna kolacja w zabytkowym refektarzu – zawsze pustym, bo było lato.

Czy władze stanu wojennego musiały się godzić, by to profesor z Zachodu, polski emigrant, wyznaczał im stypendystów? Oraz by stypendyści ci poznawali wolny świat, by nawiązywali kontakty z antykomunistami? Wtedy nie zadawałem sobie takich pytań, choć akurat mój przypadek był zapewne jednym z dziwniejszych. Bo choć fakt koordynowania na UJ kolportażu wydawnictw drugoobiegowych mógł być długo dla SB tajemnicą, to tuż przed moim wyjazdem właśnie być nią przestał. Gdy bowiem pewnego czerwcowego dnia zgłosiłem się do mieszkania, w którym zawsze odbierałem te wydawnictwa, drzwi otworzyła nie Ania, lecz długowłosy młodzian o marzycielskim spojrzeniu. Poprosił, bym wszedł, bo Ania zaraz przyjdzie, a gdy drzwi się zamknęły, wyjął dokument i poinformował, że jest z milicji.

Tego dnia długo byłem przesłuchiwany na SB. Wypuszczono mnie, ale rozumiałem, że Cambridge jest stracone. Tymczasem po miesiącu wyjechałem – w przepisowym terminie i bez przeszkód. Oczekiwałem, że na lotnisku zostaną przetrząśnięte moje bagaże – nie zostały.

Polscy komuniści i antykomuniści potrafili nieraz działać w jednym kierunku. Gdy tylko wchodził w grę interes Polski.

Nic też się nie stało po powrocie, choć wiozłem ze sobą trochę książek w PRL zakazanych – nie rewidowano mnie. Również przy oddawaniu paszportu (wtedy paszport się oddawało) nikt o nic nie pytał. Złożyłem rutynowe oświadczenie o braku kontaktów z „ośrodkami dywersji", ale prawdziwości oświadczenia nikt nie weryfikował, choć sprawdzać byłoby co.

Gdy więc dziś wspominam, jak wiele zawdzięczam Zbigniewowi Pełczyńskiemu, to myślę, że jakąś część długu wdzięczności powinienem oddać również władzom PRL. Wtedy, jak rzekłem, nie przychodziło mi to do głowy: oglądałem świat w barwach czarno-białych i nawet to, co mówili powojenni emigranci – pamiętający czasy Stalina, więc lękający się solidarnościowego radykalizmu – niejednokrotnie wyrzucałem z pamięci. Dopiero dziś brzmią mi w uszach słowa Rowmunda Piłsudskiego, jednego z liderów Polskiego Ruchu Wolnościowego „Niepodległość i Demokracja": „Jaruzelski ochronił Polskę przed najgorszym".

Odległe od dzisiejszych wyobrażeń (i dzisiejszych standardów) są te moje wspomnienia. Lecz przecież tak właśnie było: spleceni w śmiertelnych zapasach polscy komuniści i antykomuniści potrafili nieraz działać w jednym kierunku. Gdy tylko wchodził w grę interes Polski. Gdy trzeba było ponownie nawiązywać porwane, europejskie nici.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 8bc22f5f95

Związek Polaków w rękach Tomaszewskiego

Największa organizacja społeczna Polaków na Litwie może się stać przybudówką katolicko-narodowej partii AWPL-ZChR

Tomasz Otocki

Pod koniec czerwca na szefa Związku Polaków na Litwie (ZPL), najstarszej organizacji polonijnej na Wileńszczyźnie, wybrany został lider Akcji Wyborczej Polaków na Litwie-Związku Chrześcijańskich Rodzin Waldemar Tomaszewski. Zastąpił on Michała Mackiewicza, kierującego ZPL od 2002 r. i co najmniej od kilku lat wzbudzającego kontrowersje. Choć nowego prezesa udało się wybrać już w pierwszej turze, prawie połowa delegatów na zjazd nie udzieliła mu poparcia. Nowy-stary przewodniczący już mówi, kto może należeć do ZPL, a kto powinien trzymać się z daleka. Przeciwnicy Tomaszewskiego obawiają się, że największa do tej pory organizacja społeczna Polaków na Litwie stanie się przybudówką katolicko-narodowej partii AWPL-ZChR. Niektórzy myślą nawet o wyjściu z ZPL i budowaniu własnych stowarzyszeń.

– Pani znów niedokładnie mnie cytuje – skarży się dziennikarce TVP Wilno Edycie Maksymowicz Waldemar Tomaszewski. Jest nieprzyjemny i trochę zdenerwowany. W audycji rozmawiają o zjeździe ZPL, który odbył się 26 czerwca. Dostaje się wrogom Tomaszewskiego, którzy podważają linię ideową ZPL. – Kubiak do związku chce przyjmować wszystkich: liberałów, tych wspierających LGBT, panią Dobrowolską… Tak, oczywiście, chcemy przyjąć wszystkich, ale oni muszą przyjąć nasz program, który jest narodowy i chrześcijański – mówi bez ogródek Tomaszewski. Marek Kubiak to od 2016 r. lider miejskiego wileńskiego oddziału ZPL, uchodzącego za ostoję związkowych liberałów, a Ewelina Dobrowolska, wileńska Polka, od jesieni minister sprawiedliwości, jest uważana za wroga polskich środowisk kresowych, bo wspiera osoby, które dokonały na Litwie korekty płci, i opowiada się za konwencją stambulską.

Przeciwnicy Waldemara Tomaszewskiego zarzucają mu, że popadł w religijną egzaltację.

– Jeśli ktoś promuje gender, to może sobie założyć własną organizację polonijną – zapowiada w innym programie Tomaszewski, obficie cytując Jana Pawła II i dwuwiersz: „Tylko pod krzyżem, tylko pod tym znakiem, Polska jest Polską, a Polak Polakiem". Zdaniem Polaków z Wileńszczyzny, którzy nie popierają Tomaszewskiego, prezes AWPL-ZChR już dawno popadł w religijną egzaltację. A może to po prostu sposób rozmowy z konserwatywnym elektoratem?

Inteligencji nie po drodze

Związek Polaków na Litwie powstał na fali pierestrojki w 1988 r. jako Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne Polaków na Litwie. Miał się zajmować szeroko pojętą kulturą, ale także reprezentować Polaków politycznie, przed władzami radzieckimi i litewskimi. Wśród założycieli ZPL znalazł się kwiat wileńskiej polskiej inteligencji, lecz dziś do związku przyznaje się mało który z ówczesnych twórców. Romuald Mieczkowski, poeta i publicysta, wydawca elitarnego kwartalnika „Znad Wilii", mówi PRZEGLĄDOWI: – Nasi prezesi, niestety, nie interesują się kulturą wyższą, dlatego ja od lat działam na obrzeżach ZPL.

Roman Gorecki-Mickiewicz, potomek wieszcza mieszkający w Wilnie, wyznaje: – Nie mam potrzeby przynależności do ZPL, wolę działać na rzecz pamięci o wieloetnicznym Wielkim Księstwie Litewskim, w którym żyli także Litwini, Żydzi, Białorusini.

Mimo to związek może się poszczycić osiągnięciami. Na początku lat 90. delegował do Sejmu swoich przedstawicieli. W 1994 r. Litwini wprowadzili jednak prawo zakazujące organizacjom społecznym startu w wyborach. Jako odpowiedź powstała wówczas Akcja Wyborcza Polaków na Litwie, którą od 1999 r. kieruje Waldemar Tomaszewski. Partia odnosiła sukcesy w wyborach samorządowych, sejmowych i europejskich. Z kolei ZPL od 2002 r. szefował

FOT. PAP/VALDEMAR DOVEIKO

eprasa.pl 8bc22f5f95

Michał Mackiewicz, niecieszący się zaufaniem wileńskiego „wodza", ale broniony przez niego, gdy próbowała go krytykować Warszawa.

Kandydat z ostatniej chwili

ZPL dostał się w ogień krytyki szczególnie w 2018 r., gdy polska rządowa Fundacja Pomoc Polakom na Wschodzie wykryła nieprawidłowości w rozliczeniu faktur za wydawanie „Naszej Gazety", istniejącego od końca lat 80. tygodnika związkowego. W latach 2014-2016 liczba wydawanych egzemplarzy wzrosła na papierze z 1 tys. do 4 tys., jednak realnie gazeta ukazywała się wciąż w tym samym nakładzie, co więcej, koszty jej druku w Białymstoku zmalały. – Mamy do czynienia z uzasadnionym podejrzeniem przerabiania faktur dotyczących tygodnika i poświadczania nieprawdy przez prezesa Mackiewicza – mówił mediom ówczesny wiceprezes zarządu fundacji Rafał Dzięciołowski. Skierowano zawiadomienie do prokuratury, sugerując popełnienie przez zarząd ZPL przestępstwa na szkodę fundacji i skarbu państwa, który miał w ten sposób stracić 127 tys. zł.

Mackiewicz odmówił współpracy z prokuraturą, zasłaniając się immunitetem (sprawował wtedy mandat posła na Sejm). ZPL i sprzyjające mu media, także te w Polsce, uznały działalność fundacji za atak na polskość na Kresach, Mackiewicza zaś za Polaka krzywdzonego przez złych Litwinów i rząd PiS. Mackiewicz wybronił się jeszcze na zjeździe w maju 2018 r., ale była to jego ostatnia kadencja. W międzyczasie nieprzychylnych dziennikarzy wileńskich odsyłał na *chier* (wulgarne rosyjskie określenie członka), a Polskę nazywał obcym krajem. Tego było już za wiele i większość działaczy ZPL uznała, że kompromitujący organizację Mackiewicz powinien odejść na emeryturę.

Na giełdzie nazwisk jego następców znalazły się wicemer Wilna Edyta Tamošiūnaitė, posłanka Rita Tamašunienė i radna wileńska Renata Cytacka. Ale największe szanse miał były minister komunikacji z ramienia AWPL-ZChR Jarosław Narkiewicz. Były to jednak czyste spekulacje, ponieważ listy kandydatów nie poznaliśmy aż do samych obrad. Wtedy okazało się, że na prezesa kandydować będzie lider AWPL-ZChR, jednocześnie będący szefem wileńskiego oddziału rejonowego ZPL. – Narkiewicz w ostatniej chwili przestraszył się, że nie zdobędzie większości, dlatego do rywalizacji stanąć musiał sam wódz – mówi Dariusz Żybort, lekarz i społecznik, członek miejskiego oddziału ZPL.

Ostatecznie na Tomaszewskiego zagłosowało 215 delegatów, a na konkurencję z Wilna, czyli Krystynę Zimińską (wicedyrektor Domu Polskiego w Wilnie) i Renatę Cytacką, odpowiednio 53 i 24. Głosowanie było jawne. „Tomaszewski wybrany zdecydowaną większością 74% głosów", pisały kresowe portale, pomijając niewygodny fakt, że kilkudziesięciu delegatów wspierających Narkiewicza w ogóle nie użyło kart do głosowania. – Gdyby nie jawność wyborów, na pewno doszłoby do drugiej tury i niewykluczone, że Tomaszewski nie uzyskałby większości głosów – twierdzi osoba związana z obecną władzą w Warszawie.

Powrót do wartości?

Dlaczego Tomaszewski, który od 22 lat rządzi żelazną ręką AWPL-ZChR i jako polityk przez długi czas odnosił sukcesy, miałby nie zdobyć stanowiska szefa ZPL? Co najmniej od paru lat polska partia jest w kryzysie. Po dobrych momentach, takich jak wejście w 2012 r. do gabinetu sformowanego przez Algirdasa Butkevičiusa, a w 2019 r. do rządu Sauliusa Skvernelisa, przyszły porażki. Słabe wyniki w Wilnie, gdzie od partii od lat ucieka polska inteligencja, upadek rosyjskiego koalicjanta AWPL-ZChR w Kłajpedzie, wreszcie nieprzekroczenie przez partię bariery 5% w wyborach do Sejmu jesienią 2020 r. Tomaszewski do tej pory nie wytłumaczył się z tych niepowodzeń. Teraz bierze przewodnictwo organizacji społecznej, głosząc, że tak naprawdę ZPL i AWPL-ZChR są jednością, sztucznie rozdzieloną przez Litwinów.

Czego można się spodziewać po nowym prezesie? – Na pewno dokręcenia śruby miejskiemu oddziałowi ZPL, a więc tym Polakom, którzy chcieli otwierać związek na wszystkich, bez względu na światopogląd – mówi PRZEGLĄDOWI Aleksander Radczenko, wieloletni krytyk Tomaszewskiego. Kierujący miejskim oddziałem ZPL Marek Kubiak podkreśla, że najważniejsza dla niego jest praca społeczna, chwali się jej efektami. Od 2016 r. liczba członków miejskiego oddziału powiększyła się o 300 osób. Nie każdy prezes rejonowego oddziału może tak powiedzieć. Generalnie ZPL, który jeszcze parę lat temu liczył 11 tys. członków, obecnie ma ich zaledwie 8 tys.

Może receptą na kryzys ma być powrót do wartości chrześcijańskich? – ZPL zawsze określał się w ten sposób, ale nie rozumiem, dlaczego wyklucza się osoby wspierające LGBT – mówi Katarzyna Bogdziewicz, wileńska prawniczka, doradczyni minister Eweliny Dobrowolskiej. W jaki sposób oddzielić zresztą „prawdziwych katolików" od „nieprawdziwych"? – Moja szefowa wspiera od lat osoby transpłciowe i homoseksualistów, ale brała ślub kościelny. No to w końcu jest chrześcijanką czy nie? – śmieje się Bogdziewicz. Dariusz Żybort zastanawia się pół żartem, pół serio, czy będzie mógł leczyć osoby LGBT. Jednak tak naprawdę nie do śmiechu mu po wyborze Tomaszewskiego. – Początkowo zastanawiałem się, czy nie opuścić ZPL, ale zmieniłem zdanie.

> Tomaszewski: Jeśli ktoś promuje gender, to może sobie założyć własną organizację polonijną.

Żybort nie wyklucza powołania w Wilnie osobnej organizacji dla Polaków, którzy nie akceptują Tomaszewskiego. Czy taki lider może być atrakcyjny dla wileńskiej młodzieży, której coraz bardziej nie po drodze z bogoojczyźnianym stylem i radzieckim sznytem działaczy ZPL i AWPL-ZChR? Zbigniew Balcewicz, sygnatariusz aktu niepodległości Litwy z 1990 r. i wieloletni działacz ZPL, pisze do mnie: „Uważam, że tak kontrowersyjna osoba, jaką jest Tomaszewski, może się okazać nie zbawcą ZPL, lecz grabarzem największej polskiej organizacji na Litwie". Czyżby starszy o 20 lat od lidera AWPL-ZChR były poseł na Sejm Litwy lepiej rozumiał młodzież niż władze związkowe i partyjne? ■

eprasa.pl 8bc22f5f95

Łukasz Grzesiczak

Premier z dredami zamiast miliardera?

W Czechach do wyborów do sejmu zostało mniej niż sto dni, a kwestia zwycięzcy jest nadal otwarta

Na niespełna trzy miesiące przed wyborami wielu Czechów widzi w Ivanie Bartošu, charyzmatycznym liderze Partii Piratów, przyszłego szefa rządu. Jednak oddanie władzy przez obecnego premiera Andreja Babiša nie jest wcale przesądzone. Zależy nie tylko od wyniku pojedynku Piratów i partii ANO, na czele której stoi premier miliarder, ale także od wyborczego poparcia dla potencjalnych koalicjantów Babiša – balansujących na krawędzi progu wyborczego socjaldemokratów i komunistów, którzy po cichu wspierają rząd.

Wyrównany pojedynek

Jeszcze przed wakacjami nad Czechami zawisł scenariusz przedterminowych wyborów do sejmu. 3 czerwca parlamentarzyści już trzeci raz w tej kadencji głosowali w sprawie wotum nieufności dla rządu Andreja Babiša. Podczas przeszło 12-godzinnej debaty opozycja oskarżała premiera o nieudolną walkę z COVID-19. I tym razem dysponujący 92 szablami w 200-osobowym parlamencie mniejszościowy gabinet, który tworzą ANO i socjaldemokraci, ocalił głowę. Wszystko za sprawą komunistów, którzy nie wzięli udziału w głosowaniu i w ten sposób kolejny raz poparli rząd, nie będąc oficjalnie członkiem koalicji rządzącej. Za odwołaniem Babiša zagłosowało 89 posłów, do upadku rządu zabrakło 12 głosów. – Rząd nie ma naszego zaufania, ale prawicowym partiom z ODS, TOP 09, STAN, chadekami i Piratami na czele nie ufamy jeszcze bardziej. Dlatego nie będziemy uczestniczyć w tym bezużytecznym teatrze – powiedział lider czeskich komunistów z KSČM, Vojtěch Filip.

Ostatnie sondaże mówią, że o zwycięstwo w październikowych wyborach walczyć będą ANO oraz koalicja Piratów i STAN. Po piętach depcze im SPOLU, czyli potencjalny przyszły koalicjant Piratów. W opublikowanym 24 czerwca sondażu CVVM największym poparciem cieszy się partia ANO, na którą chce głosować 24,5% wyborców. Na koalicję Piratów i STAN oddać głos chce 22,5%, dalej jest SPOLU z poparciem 19,5%. W parlamencie znalazłyby się jeszcze SPD Tomia Okamury z 9,5% oraz komuniści i socjaldemokraci – obie partie według tego sondażu cieszą się poparciem 7,5% Czechów.

Wcześniejszy sondaż Data Collect z 16 czerwca, przeprowadzony dla Telewizji Czeskiej, daje zwycięstwo koalicji Piratów i STAN, która zdobyłaby 25,5% głosów. Na ANO chce głosować 20,5% wyborców, na SPOLU – 19,5%. SPD Tomia Okamury cieszy się poparciem 10,5%, komuniści – 5,5%, a socjaldemokraci balansują na progu z 5% poparcia.

W obu sondażach pod progiem wyborczym znajdują się ruch obywatelski byłego policjanta i celnika Roberta Šlachty Přísaha (Przysięga), stawiającego sobie za główny cel walkę z korupcją, oraz eurosceptyczny ruch Trikolora (Trójkolorowi). Ten drugi został założony przez Václava Klausa młodszego, syna byłego prezydenta Václava Klausa (który od lat słynie z antyunijnych poglądów, a obecnie jest idolem czeskich koronasceptyków). Kilka miesięcy temu jednak Václav Klaus młodszy niespodziewanie ogłosił, że wycofuje się z polityki z powodów rodzinnych.

> Politycy STAN chcą, by w wyborach mogli głosować 16-latkowie.

Babiš i czeskie portfele

Andrej Babiš rządzi Czechami od 2014 r. Początkowo był wicepremierem i ministrem finansów, w 2017 r. zasiadł na fotelu premiera. Jego ANO (to skrót od Akcja Niezadowolonych Obywateli) powstało w 2012 r. jako ugrupowanie, które na sztandarach miało walkę z korupcją.

Urodzony w Bratysławie Babiš to jedna z najbogatszych osób w Czechach. Jest twórcą Agrofertu, potentata w branży rolno-spożywczej, który pełnymi garściami czerpie unijne dotacje, narażając Babiša na zarzut korupcji. Komisja Europejska wzywała premiera do usunięcia konfliktu interesów. Niewiele ponad miesiąc temu czeska policja postawiła Babišowi zarzuty wyłudzenia unijnej dotacji w wysokości 2 mln euro na ośrodek konferencyjno-rekreacyjny Bocianie Gniazdo (Čapí hnízdo).

Choć w 2019 r. w mających niewiele ponad 10 mln mieszkańców Czechach przeciwko Andrejowi Babišowi w Pradze protestowało nawet 300 tys. osób, polityk i jego partia nadal mają szansę na zwycięstwo w najbliższych wyborach. Podczas sejmowej dyskusji nad odwołaniem jego rządu premier zachęcał, by Czesi po prostu zajrzeli do swoich portfeli. – W 2009 r. średnia emerytura wynosiła 10 045 koron czeskich miesięcznie. Przyszły ODS i TOP 09, a efekt był taki, że na koniec 2013 r. średnia emerytura wynosiła 10 962 korony – wyliczał Babiš. Przypomniał, że gdy on został premierem w 2017 r., średnia emerytura wynosiła 11 745 koron, a w marcu 2021 r. było to już 15 351 koron. Zaznaczył również, że każda osoba powyżej 85. roku życia dostała dodatkowo tysiąc koron. W grudniu 2020 r. każdy czeski senior otrzymał jednorazowo 5 tys. koron z powodu pandemii COVID-19. W roku 2022 średnia podwyżka czeskich emerytur wyniesie 758 koron. Babiš chwalił się także zwiększeniem pensji nauczycieli, policjantów, strażaków czy pielęgniarek.

eprasa.pl 8bc22f5f95

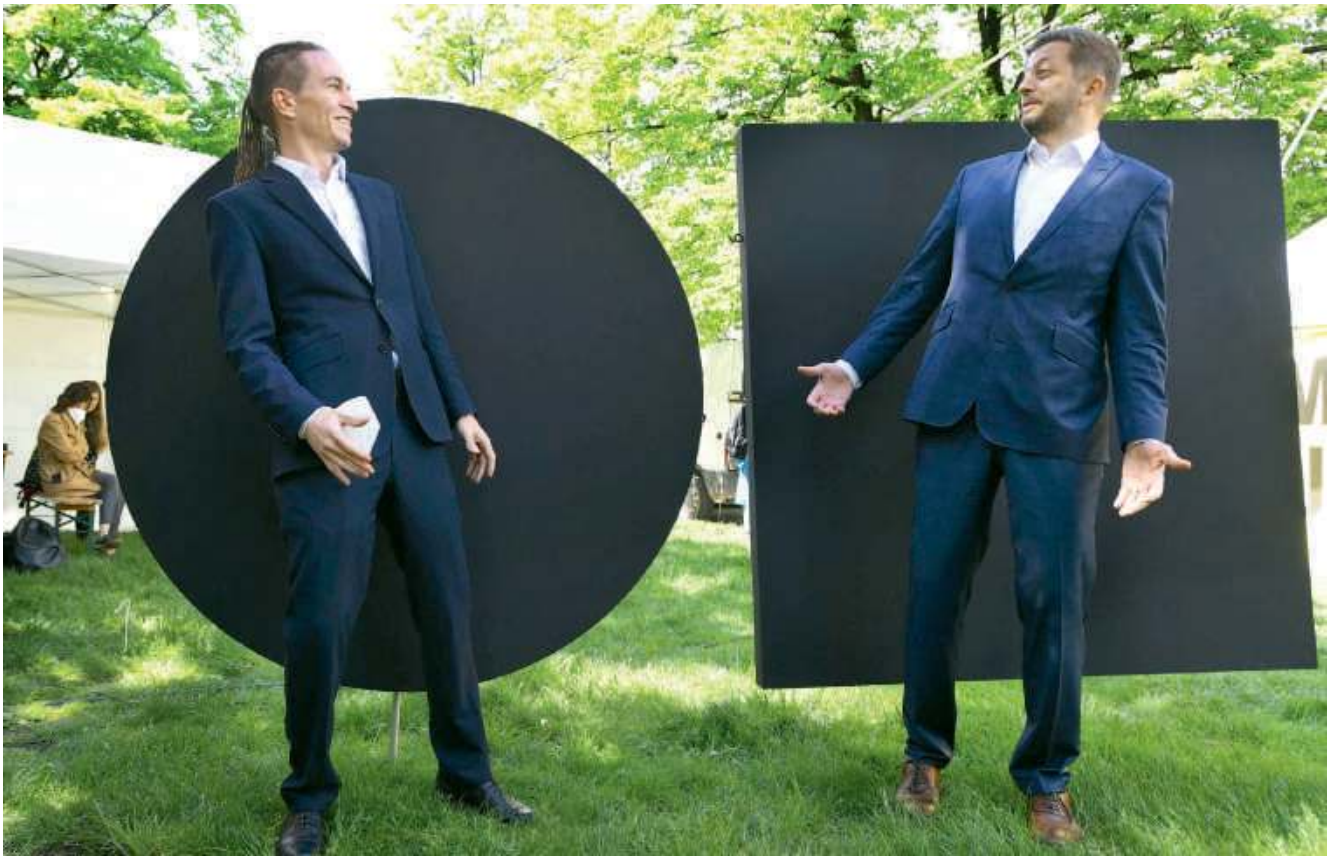

W najnowszych sondażach koalicja Piratów Ivana Bartoša i STAN Víta Rakušana jest na pierwszym albo drugim miejscu.

Zwiększenie emerytury o 10% średniej pensji to jedna ze zrealizowanych obietnic rządu Andreja Babiša. Czeski serwis fact-checkingowy Demagog.cz zweryfikował stan 50 najważniejszych obietnic, które Babiš złożył, rozpoczynając pełnienie funkcji premiera. Osiem zostało spełnionych (np. zwiększenie dotacji na wymianę pieców), 23 są w trakcie realizacji (w tym obietnica 110 km nowych autostrad do końca 2021 r.). Natomiast cztery obietnice zostały złamane (np. nowe prawo o odpadach, którego celem miała być mniejsza ilość śmieci trafiających na wysypiska do końca 2018 r.), a 15 pozostaje niezrealizowanych (choćby ochrona dłużników poprzez ustalenie niezbędnej do codziennego życia kwoty niepodlegającej egzekucji komorniczej).

Walka o seniorów

STAN, czyli Starostové a nezávislí (Burmistrzowie i Niezależni), to założony w 2004 r. ruch polityczny, który miał skupiać samorządowców. Dziś uchodząca za polityczne centrum partia Víta Rakušana ma najwięcej szabel w senacie. W wyborach do sejmu w 2017 r. zdobyła 5,18%. Tym razem postanowiła połączyć siły w koalicji z Piratami, liberalną i progresywną partią założoną w 2009 r., na której czele stoi Ivan Bartoš. W sejmie Piraci znaleźli się dopiero w 2017 r., kiedy ich kandydaci zdobyli poparcie 10,79%, co sprawiło, że są w izbie trzecią siłą. Polityk Piratów Zdeněk Hřib od 2018 r. jest włodarzem Pragi. W 2020 r. wspólny kandydat Piratów i STAN Josef Suchánek został marszałkiem województwa ołomunieckiego. Teraz koalicja ma większe apetyty.

Radek Bartoníček z serwisu Aktuálně.cz zwraca uwagę, że walka najbardziej zacięta toczy się o głosy seniorów. To w przejęciu tego elektoratu, najczęściej popierającego premiera Babiša, tkwi szansa koalicji Piratów i STAN. Ivan Bartoš próbuje zdobyć głosy seniorów podczas bezpośrednich spotkań. Skrócił dredy, choć oficjalnie twierdzi, że to z powodu upału i jesienią znowu odrosną. Radek Bartoníček zauważa, że o ile dredy wzbudzają zainteresowanie i sympatię podczas spotkań z seniorami w Pradze, o tyle wyborcom na wsi jednak przeszkadzają.

Do osób, dla których progresywna agenda Piratów i STAN jest zbyt nowoczesna, swoją propozycję kieruje SPOLU (Razem – Demokracja Obywatelska). To prawdopodobny koalicjant Piratów i STAN, o ile wynik obu ugrupowań pozwoli im zdobyć większość po październikowych wyborach, a prezydent Miloš Zeman – który raczej sprzyjał Babišowi – powierzy liderowi któregoś z tych ugrupowań misję stworzenia rządu. SPOLU to koalicja sił liberalno-konserwatywnych i prawicowych, na którą złożyły się ODS, KDU-ČSL i TOP 09. Zapowiada ona zmniejszenie liczby urzędników o 13%, zwiększenie wydatków na obronność do 2% PKB do końca 2025 r. oraz reformę edukacyjną. Liderka SPOLU, a od 2019 r. przewodnicząca partii TOP 09, Markéta Pekarová Adamová, jest zwolenniczką ułatwienia Polkom przeprowadzania legalnego w Czechach zabiegu aborcji. – Bezpieczna aborcja jest zawsze lepszym rozwiązaniem niż ryzykowny zabieg przeprowadzony w podziemiu – uważa.

Tematem kampanii wyborczej na chwilę stała się również Polska. 30 czerwca ok. 20 czeskich artystów protestowało w siedzibie Galerii

FOT. PAP/CTK

eprasa.pl 8bc22f5f95

Narodowej w Pradze przeciwko działaniom Alicji Knast, która od początku 2021 r. jest dyrektorką tej prestiżowej instytucji. Zdaniem protestujących nową dyrekcję Galerii Narodowej charakteryzuje „brak motywacji i niedostatek inspiracji". „Do dzisiejszego protestu kilku artystów wizualnych nie miałem pojęcia, że szefową Galerii Narodowej jest Polka. Lubię Polaków, to naród dumny, który nas uwielbia, ale nadal jestem przekonany, że taką instytucją, w dodatku z przymiotnikiem narodowa w nazwie, powinien kierować Czech", napisał na Twitterze Jan Skopeček, poseł z ramienia ODS. Jego wpis wywołał polemikę, ostatecznie został skasowany, bo – jak tłumaczył Skopeček – źle go zrozumiano.

Dredy kandydata na premiera wzbudzają sympatię seniorów w Pradze, ale wyborcom na wsi przeszkadzają.

Na łasce socjaldemokratów i komunistów

Andrej Babiš, nie chcąc oddać władzy, musi liczyć na dobry wynik socjaldemokratów i komunistów. Tymczasem ostatnie sondaże nie są dla tych partii łaskawe. Kampanię wyborczą socjaldemokratów ma uratować Lubomír Zaorálek, dramaturg i polityk, obecny minister kultury, który w przeszłości pełnił także funkcję ministra spraw zagranicznych. Nowy szef sztabu wyborczego uważa, że dotychczasowe kampanijne działania socjaldemokratów były niemrawe. Chce także sprawić, by materiały wyborcze partii były bardziej zrozumiałe. Na szali jest głowa przewodniczącego i obecnego wicepremiera Jana Hamáčka, który zapowiedział, że jeśli jego partia nie przekroczy progu wyborczego, odejdzie z polityki.

Dla Andreja Babiša ważny będzie także wynik czeskich komunistów, którzy dziś popierają rząd, nie będąc jego członkiem. Partia kierowana przez wicemarszałka sejmu Vojtěcha Filipa ma w programie wyjście Czech z NATO oraz polepszenie relacji z Rosją i Chinami. Filip zasłynął kiedyś wypowiedzią, że to nie Rosjanie, ale Ukraińcy są odpowiedzialni za inwazję wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację w 1968 r.

Według sondaży czwartą siłą polityczną w Czechach jest ksenofobiczna i antyeuropejska SPD, na czele której stoi pół Japończyk, pół Czech Tomio Okamura (dziś wicemarszałek sejmu). To ugrupowanie otwarcie sprzeciwiające się obecności Czech w UE ma na sztandarach postulat referendum w sprawie czexitu. Czy te postulaty pozostaną na marginesie czeskiej polityki, przekonamy się po drugim weekendzie października.

8 i 9 października Czesi wybiorą 200 posłów. W przeciwieństwie do Polski koniec kadencji sejmu nie determinuje nowych wyborów do senatu, w którym zasiada 81 polityków. Czesi co dwa lata zmieniają jedną trzecią składu tej izby, ostatnie wybory odbyły się w 2020 r., kolejne zaplanowano na rok 2022. Być może będą mogły wziąć w nich udział osoby, które nie ukończyły 18 lat. Politycy STAN chcą, by w wyborach mogli głosować 16-latkowie. – Wierzę, że obywatele powyżej 15. roku życia są wystarczająco zaawansowani intelektualnie, aby móc w ten sposób uczestniczyć w decydowaniu o sprawach publicznych – powiedział Vít Rakušan. Polityk zwrócił uwagę, że podobne rozwiązania funkcjonują w Austrii czy Estonii.

Jednak w październiku do urn pójdą tylko osoby, które ukończyły już 18 lat. Głosowanie potrwa 14 godzin. W piątek lokale wyborcze będą otwarte od godz. 14 do 22, w sobotę można zagłosować między godz. 8 a 14. Wyniki mają być znane w sobotę wieczorem. Większość Czechów do urn pójdzie z kartami wyborczymi, które wcześniej zostaną im dostarczone do domów. Jeśli ich zapomną, mogą je pobrać także w miejscu głosowania. W lokalu wyborczym otrzymają specjalną kopertę, do której włożą kartę wyborczą ugrupowania, na które chcą oddać głos. Tylko głos oddany w kopercie będzie ważny. Zaznaczyć będzie można do czterech kandydatów na jednej liście wyborczej, w ten sposób oddając głos na listę i wybrane osoby. Ci, którzy nie są w stanie dotrzeć do lokalu wyborczego, mogą skorzystać z wizyty mobilnej urny. Dla przebywających w kwarantannie przygotowano m.in. możliwość głosowania z samochodu.

Łukasz Grzesiczak
l.grzesiczak@tygodnikprzeglad.pl

7 lipca wręczono nagrody w konkursie „Kultura w pandemii, pandemia w kulturze" zorganizowanym przez Stowarzyszenie Autorów ZAiKS, Towarzystwo Dziennikarskie i Fundację Collegium Civitas. Jury w składzie: Ryszard Bańkowicz (przewodniczący), Rafał Skąpski, Elżbieta Sawicka, Cezary Łazarewicz i Jacek Żakowski przyznało następujące nagrody i wyróżnienia:

Publicystyka

I nagroda – 15 tys. zł – Liliana Fabisińska za tekst „Łowcy stypendiów"

II nagroda – 8 tys. zł – Jacek Marczyński za tekst „Biedniejsi w samotności, bogatsi w sieci"

II nagroda – 8 tys. zł – Agnieszka Rodowicz za tekst bez tytułu

Wyróżnienia – po 2 tys. zł – Magdalena Gruszczyńska za „Biblioteczny kalejdoskop", Jacek Świdziński za „Optymizm pesymisty" i Barbara Bednarz za „Z tęsknoty za..."

Reportaż

I nagroda – 15 tys. zł – Dorota Sokołowska za tekst „Oda do schodów"

II nagroda – 8 tys. zł – Anna Arno za tekst „W pobliżu źródła"

II nagroda – 8 tys. zł – Ignacy Dutkiewicz za tekst „Kultura w domu zachodzącego słońca"

Wyróżnienia – po 2 tys. zł – Natalia Feluś za „Matki-artystki w pandemii", Alicja Magdalena Omilianowicz za tekst bez tytułu, Rafał Bryll za „Rok udomowionego reżysera"

eprasa.pl 8bc22f5f95

Oko w oko

Tomasz Jastrun

Ugruntowanie cnót niewieścich

Patrzę na mgr Julię Przyłębską, jak nieporadnie poprawia na głowie czarną sędziowską czapeczkę, patrzę na Piotrowicza, który zdaje się karykaturą wyciętą ostrymi nożyczkami z jakiegoś szmatławca – co za upadek, to takie upiory decydują, czy Polska będzie w Europie. Jeśli TK wyda orzeczenie zgodne z intencją premiera, że istnieje prymat polskiej konstytucji nad europejską, to żegnaj, Europo, ze swoją kulturą, z pieniędzmi, z otwartymi granicami.

•

Zamach na TVN. Ta telewizja jest jak odtrutka na jad kiełbasiany, którym zatruwa nas PiS. A pisowcy świetnie o tym wiedzą. Życzą nam śmierci duchowej.

•

Paweł Skrzydlewski, doradca ministra Czarnka, przekonuje, że „tylko dzięki cnotom społecznym możemy uzyskać człowieka dojrzałego, czyli takiego, który umie spełniać dobro". A z kolei tego podstawą jest „zdrowa rodzina, oparta na monogamicznym, nierozerwalnym związku mężczyzny i kobiety". I w tym celu potrzebujemy „właściwego wychowania kobiet, a mianowicie ugruntowania dziewcząt do cnót niewieścich". Tymczasem w kulturze obserwujemy „bardzo niebezpieczne zjawiska moralne i religijne", a także „zepsucie duchowe kobiety. To zaś z kolei owocuje próżnością i egotyzmem. Jeśli takie postawy się upowszechnią, to jednocześnie zabija się rodzinę, zamyka się na płodność", przekonuje dr Skrzydlewski. A co proponują minister Czarnek i jego doradcy w sprawie onanizmu, który, jak wiadomo, wysusza mózg i demoralizuje młodych? Wystarczy rozejrzeć się wokół, rośnie nowe pokolenie dziewcząt, które zdaje się mieć wszystko oprócz pożądanych „cnót niewieścich", za to ma sporo ludzkich po prostu. Widzę właśnie takie trzy nastolatki, co drugie słowo to kurwa, a nawet jeszcze gorzej. Jak wyplenić wulgarny język z ust dziewczęcych? A grzeszne, lubieżne myśli? Przez cnotliwą edukację szkolną? A może przez modlitwę?

•

Przemawiając do tysięcy wiernych w Częstochowie, o. Rydzyk zasugerował, że istnieje międzynarodowy spisek, który ma na celu odciągnięcie ludzi od Kościoła. „Tak robili komuniści, pamiętacie, w Związku Radzieckim czy gdzie indziej. Czy to nie jest plan podobny? Na pozór, że pandemia. Przecież do sklepów idą. Nawet na mecze już chodzą. Kochani, pomyślcie. Przyprowadźcie wszystkich do kościoła", zwrócił się do wiernych ojciec dyrektor. Jedyny w swoim rodzaju, niezastąpiony kapłan.

•

Kilka dobrych i słonecznych dni w Zakopanem, na Zakopiańskim Festiwalu Literackim. Jestem od paru lat w jury konkursu na najlepszą książkę o Zakopanem. Wybraliśmy w tym roku pozycję „Berbeka. Życie w cieniu Broad Peaku". Na placu Niepodległości wygłosiłem laudację, mówiłem na granicy burzy, a gdy kończyłem, zagrzmiało i lunął deszcz. Jak przyjemne i zdrowe są szczere pochwały.

Po raz pierwszy od wielu lat wyjechałem z żoną, bez dzieci. Dzieci to tyleż wielkie szczęście, ile wielkie nieszczęście. To stres codzienny, który często niszczy związki, o czym na ogół głośno się nie mówi, bo wstyd.

Elegancki hotel, śniadania w maseczkach, z przynajmniej jedną plastikową rękawiczką na dłoni. Jaskrawy idiotyzm, bo wszędzie poza hotelem tłoczą się i przewalają niezamaskowane tłumy. Kawiarnia na ostatnim piętrze z dużym tarasem, pięknie urządzona i pusta, wspaniały, niepokalany widok na góry. Siedzimy długo i oddychamy nim głęboko. Pożegnalna kolacja, też w hotelu, a ja niegrzecznie co chwila wychodzę rzucać jednym okiem na finałowy mecz mistrzostw Europy w piłce nożnej. Nie miałem faworyta, więc ze swoją sympatią oscylowałem między jedną a drugą drużyną, co było nieporęczne. Jednoznacznie tylko żałowałem zawodników obu drużyn, którzy nie strzelali karnych.

•

Kraków w deszczu; kiedyś nie uznawałem parasoli, a teraz używam, przestałem być nieprzemakalny. Mijam hotel Francuski, tu kiedyś na chodniku przypadkiem spotkałem poetę Adama Zagajewskiego, już nigdy nigdzie go nie spotkam. W pociągu otwieram poniedziałkowe wydanie „Gazety Wyborczej". I od razu uderzenie między oczy. Pożegnanie Leona Neugera. Nie tak dawno rozmawiałem z nim właśnie o śmierci Zagajewskiego, przyjaźnili się. Leon to kolega jeszcze z moich czasów sztokholmskich, tam wykładał na slawistyce. Wiele zrobił dla przyswojenia w Polsce twórczości poety noblisty Tomasa Tranströmera. To mój ulubiony współczesny poeta. Poznałem go też osobiście dzięki Leonowi. Tranströmer też już nie żyje. Neuger kilka lat temu wrócił na stałe do Polski. Lubiłem go, błyszczał inteligencją i poczuciem humoru. Opowiadał mi z bolesną ironią, że po ostatnim pobycie w szpitalu był tak słaby, że gdy upadł na podłogę, a mieszkał sam, to nie mógł wstać, zadzwonił więc po straż pożarną. Wyważyli drzwi.

•

Rozchwianie się zęba trzonowego przenosi mnie do wspomnień z dzieciństwa, gdy chwianie się zębów było optymistyczne. Teraz jest w tym smutek utraty i przemijania.

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 8bc22f5f95

Biden chce zmodernizować linie kolejowe w całych Stanach, dokładając do tego znaczący rozwój połączeń dużych prędkości.

Plac budowy Ameryka

Joe Biden zastał kraj przestarzały, chce zostawić – przebudowany i ekologiczny

Mateusz Mazzini

Polityka inwestycji publicznych prowadzona w latach 30. przez Franklina D. Roosevelta ma niemal od zawsze osobne miejsce w amerykańskiej mitologii państwowej. Dzieci w szkołach uczą się o niej nie tylko w kontekście stymulacji gospodarki, która po latach kryzysu czołgała się po dnie, radzenia sobie z galopującą inflacją i gigantycznym bezrobociem. Oryginalny Nowy Ład to przede wszystkim symbol pozytywnie rozumianego zaangażowania państwa w życie codzienne obywateli, wzięcia odpowiedzialności za ich los. Budowle, które powstały w jego ramach, dziś są nie tyle wciąż używanymi obiektami infrastrukturalnymi, ile pomnikami amerykańskiego patriotyzmu. Stawiający je ludzie zyskali w ten sposób nie tylko zatrudnienie, pieniądze i możliwość utrzymania rodzin. Roosevelt, zwalczając bezrobocie federalnymi inwestycjami, przywrócił im godność – sprawił, że na nowo poczuli się przydatni społeczeństwu. A on sam udowodnił, że rząd w Waszyngtonie może skutecznie podjąć się cywilizacyjnej niemal misji odmiany oblicza całego kraju – nawet tak wielkiego i zróżnicowanego jak Stany Zjednoczone.

W ciągu niemal pełnego stulecia, które upłynęło już od tych czasów, prezydent budowniczy miał paru naśladowców, choć żaden z nich nie zbliżył się rozmachem do osiągnięć przedwojnia. Dużo częściej triumfowali zwolennicy wycofania się rządu federalnego z szeroko zakrojonych polityk, redukujący go do roli sponsora, który pieniądze rozdawał, nie pytając, kto na co je wydaje. Strategia ta, zwana ograniczonym rządem (ang. *limited government*), rozkwitła za prezydentury Richarda Nixona, do perfekcji doprowadził ją Ronald Reagan, a kontynuował potem klan Bushów. Za ich rządów władze federalne nie budowały, nie uczyły, nie reformowały. A republikańscy prezydenci utwierdzali swoich wyborców w przekonaniu, że jeśli Waszyngton chce się mieszać w życie Amerykanów, zawsze będzie to dla nich oznaczać zmianę na gorsze.

Porażka Obamy

Ograniczanie aktywności federalnej (nierzadko podtrzymywane również przez demokratów, chociażby Billa Clintona) miało zarówno uzasadnienie ideologiczne, jak i dobrą prasę przez większość ostatnich dekad. Aż przyszły, zupełnie jak w latach 30., wyzwania, z którymi władze stanowe już nie mogą radzić sobie same. Katastrofa klimatyczna, masowe migracje, negatywne skutki globalizacji, wreszcie – pandemia koronawirusa. Znów okazało się, że rząd federalny, pozostający największym pracodawcą w Stanach Zjednoczonych (według Brookings Institution łącznie daje on zatrudnienie 9 mln osób, czyli 6% wszystkich pracujących mieszkańców USA), jest jedyną instytucją zdolną jeśli nie zapewnić lepszą przyszłość, to chociaż dać ludziom szansę o nią zawalczyć.

Pierwszy próbował to zrobić Barack Obama, ale, co brzmi paradoksalnie, problemem jego ośmioletniej prezydentury był zbyt mało poważny kryzys. O zmianach klimatycznych mówiło się wtedy dużo, ale w tonie ostrzegawczym, a nie alarmistycznym czy apokaliptycznym. Podobnie z migracją, która falowała, ale wciąż wydawała się zjawiskiem tyleż regularnym, co niegroźnym, znormalizowanym przez media i codzienną politykę. Obama próbował wszystkim tym problemom zaradzić na wczesnym etapie, ale zabrakło mu zaplecza politycznego – trwałej większości w Kongresie – i skutecznej strategii amortyzacji skutków reform. Krótko mówiąc, nawet jeśli odnosił sukcesy, nie przekładały się one na społeczne poparcie dla działań federalnych. Tak było np. z zamykaniem kopalń i tworzeniem miejsc pracy przy instalacjach fotowoltaicznych i farmach solarnych. Paradoks ten wspominają prawie wszyscy współpracownicy Obamy, od doradcy ds. polityki zagranicznej Bena Rhodesa

Na przebudowę infrastruktury Biden chce wydać w ciągu pięciu lat 1,2 tryliona dolarów.

FOT. REUTERS/FORUM

eprasa.pl 8bc22f5f95

do byłego szefa komunikacji Białego Domu Davida Axelroda: przy fotowoltaice zatrudniono znacznie więcej osób, niż zwolniono przez zamknięcie kopalń. Problem jedynie w tym, że działo się to w różnych częściach kraju. Nowe miejsca pracy powstawały w i tak popierającej Obamę Kalifornii, a znikały w coraz bliższych republikanom stanach tzw. Pasa Rdzy na północnym wschodzie. W efekcie z ambitnych planów niewiele wyszło – poza pogłębieniem społecznej i politycznej polaryzacji kraju.

Rewolucja na szynach

Joe Biden robi wszystko, by jego prezydentura miała inny finał. Choć krajem rządzi nieco ponad pół roku, czasami zachowuje się, jakby nie miał już więcej czasu. Od pierwszych dni w Białym Domu przy każdej okazji podkreśla, że działać trzeba od razu, i to z rozmachem. W przeciwnym razie Ameryki nie da się już odratować – a zrobić to może wyłącznie rząd federalny. Podobnie jak Roosevelt dziewięć dekad wcześniej obecny prezydent USA wokół swoich planów inwestycyjnych też tworzy osobną narrację. Tym razem opartą nie tylko na patriotyzmie, wezwaniu do wspólnego wysiłku, ale także nawołującą do przywrócenia Ameryce roli przewodnika wolnego świata. To z USA ma pójść przykład zielonej transformacji energetycznej, za którym podążą inni chcący ratować naszą planetę.

Koszt? Na początek 1,2 tryliona dolarów wydanych w ciągu pięciu lat. Po pierwsze – kolej. Biden chce zmodernizować linie kolejowe w całych Stanach, dokładając do tego znaczący rozwój połączeń wysokich prędkości. W tej chwili bilans USA jest pod tym względem co najmniej wstydliwy, nieporównywalny z Europą, nie mówiąc już o Japonii – w całym kraju jest tylko 56 km trakcji, po której pociągi mogą jechać z prędkością wyższą niż 250 km/godz. Japońskie trasy z tymi samymi parametrami są 54 razy dłuższe. Stojący obecnie na czele Departamentu Transportu były rywal Bidena w prawyborach prezydenckich Partii Demokratycznej Pete Buttigieg zapowiedział już, że chce przekształcić USA w globalnego lidera superszybkich połączeń kolejowych. Nie wyznaczył przy tym jednak horyzontu czasowego, co w tego typu deklaracjach jest elementem kluczowym. Ale podobnie jak jego szef Buttigieg będzie się śpieszył, bo demokratyczna przewaga w Kongresie jest chybotliwa i może się rozpaść przy kolejnych wyborach za półtora roku. Na ekspresową kolej rząd federalny daje na razie 80 mld dol. Równolegle musi usprawnić zwykłe połączenia, których operator – Amtrak – co roku przynosi straty, a większość jego pociągów przyjeżdża do celu spóźniona.

E-mobilna Ameryka

Zmiany dotyczyć będą również, a może przede wszystkim, pojazdów na czterech kołach. Dążąc do osiągnięcia statusu gospodarki zeroemisyjnej, Ameryka musi się przerzucić na samochody elektryczne.

W USA jest tylko 56 km trakcji, po której pociągi mogą jechać z prędkością wyższą niż 250 km/godz.

I tutaj rząd federalny też chce odegrać główną rolę, mimo że to dla niego kompletnie obcy teren – do tej pory działania władz ograniczały się do ulg podatkowych i dopłat do zakupu aut hybrydowych. Teraz Biden, w mocno rooseveltowskim stylu, zamierza wejść do gry, budując pół miliona ładowarek samochodów elektrycznych we wszystkich 50 stanach. Na e-mobilność, także dzięki środkom federalnym, przejść mają z czasem wszystkie pojazdy publiczne, z komunikacją miejską i autobusami szkolnymi na czele. Po nich, za cenę 25 mld dol., nowe oblicze zyskają amerykańskie lotniska – tu celem będzie przede wszystkim ich gruntowna renowacja, czasem przebudowa. Tak, by cała otaczająca je infrastruktura, z drogami dojazdowymi, pasami startowymi czy transportem łączącym je z centrami miast stała się nowocześniejsza, mniej awaryjna i bardziej odporna na coraz cieplejszy i pełen ekstremalnych zjawisk pogodowych klimat.

Pod inwestycje infrastrukturalne podciągnięte zostaną też gruntowna reforma amerykańskiej sieci energetycznej, rozwój komercyjnego transportu rzecznego i morskiego, modernizacja sieci wodociągowych, ale także elementy znacznie bardziej zaawansowane technologicznie, choć niekoniecznie kojarzone z federalnymi inwestycjami – np. infrastruktura internetowa. Lista dziedzin, w których Biden chce zostawić swój ślad jako budowniczy, lub przynajmniej architekt, ma według oficjalnych dokumentów aż 16 podpunktów.

Jak zawsze w takich przypadkach nasuwa się pytanie, kto za to zapłaci. I tutaj odpowiedź jest złożona z kilkunastu elementów, ale najważniejsze to uszczelnienie ordynacji podatkowej, sprzedaż rezerw ropy, przychody z aukcji pasm 5G. Skutki? Nie tylko zatrudnienie, duma narodowa i czyste powietrze, ale również poprawa sytuacji gospodarczej kraju. Według obliczeń zespołu badaczy z Wharton Business School na Uniwersytecie Pensylwanii inwestycje Bidena zredukują amerykański dług o 0,9% do 2050 r., m.in. dzięki dużym wydatkom na starcie i mniejszej potrzebie wydawania w przyszłości. Zwiększą też zyski prywatnych firm, które dzięki lepszej infrastrukturze będą po prostu wydajniejsze.

Joe Biden wysypuje więc nad Ameryką wielki wór pieniędzy, zamieniając ją w gigantyczny plac budowy. Oby zdążył: zacząć, zanim straci kontrolę nad Kongresem, i skończyć, zanim dla wszystkich na tej planecie, nie tylko dla jego własnych wyborców, będzie już za późno.

m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

W najnowszym numerze tygodnika „NIE”: Z czego poseł Suski zdaje sobie sprawę, a z czego nie.

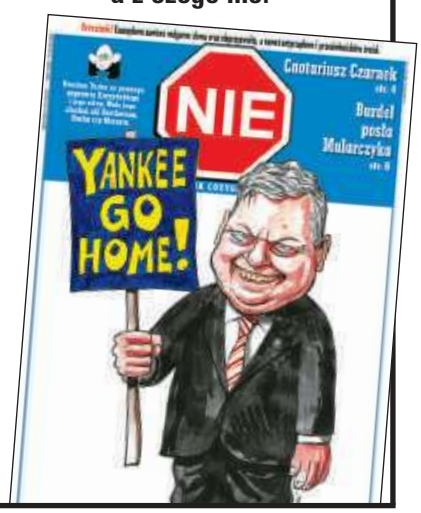

eprasa.pl 8bc22f5f95

Meksykańska rzeźnia w Genui

Tak rozprawiono się z antyglobalizmem

Agnieszka Zakrzewicz
Korespondencja z Włoch

Dlaczego 20 lat po wydarzeniach na szczycie G8 w Genui należy o nich przypomnieć? Z dwóch powodów. Po pierwsze, było to najpoważniejsze zawieszenie demokracji w kraju zachodnioeuropejskim od czasów II wojny światowej. Po drugie, w Genui umarła – lub raczej została zabita – inna polityka, tworzona oddolnie przez ruchy społeczne, stowarzyszenia, związki, kolektywy, grupy, czyli przez ludzi, którzy wierzyli, że „inny świat jest możliwy". Dziś, po tych 20 latach, nawet tacy ekonomiści jak Carlo Cottarelli, były dyrektor wykonawczy Międzynarodowego Funduszu Walutowego, przyznają, że „antyglobaliści widzieli znacznie dalej, podczas gdy ci, którzy kierowali wówczas ekonomią i finansami, byli tylko częściowo świadomi rozmiarów zachodzących zmian".

Co się wydarzyło 20 lat temu?

87 spalonych samochodów, 41 zdewastowanych sklepów, 34 banki, 16 stacji benzynowych. Kostka brukowa wyrwana doszczętnie, podpalone śmietniki, inne zniszczone auta. Przynajmniej 100 mld lirów strat materialnych. Jedna ofiara śmiertelna… To bilans trzydniowej wojny miejskiej podczas spotkania G8, które odbywało się w Genui od 19 do 21 lipca 2001 r.

Tamten szczyt ośmiu najbardziej uprzemysłowionych krajów świata był międzynarodowym debiutem Silvia Berlusconiego, który zaledwie kilka miesięcy wcześniej został premierem Włoch po raz drugi. Do słonecznej Italii przybyli wtedy: George W. Bush – świeżo upieczony prezydent Stanów Zjednoczonych, Władimir Putin – równie świeży prezydent Rosji, Jun'ichirō Koizumi – debiutujący premier Japonii, oraz prezydent Francji Jacques Chirac, premier Kanady Jean Chrétien, kanclerz Republiki Federalnej Niemiec Gerhard Schröder i premier Wielkiej Brytanii Tony Blair. Nadmorskie miasto zostało zmilitaryzowane, a jego serce przemieniono w niedostępną twierdzę, nazwaną czerwoną strefą. Mogli w niej przebywać tylko wybrani: delegacje rządowe i akredytowani dziennikarze. Gospodarz Berlusconi zadbał o każdy szczegół. Na cytrynowych drzewkach zdobiących dziedziniec genueńskiego Pałacu Dożów dowiązano na żyłkach dodatkowe cytryny, czerwoną strefę ogrodzono zaś metalową kratą, aby zabezpieczyć ją przed kontestatorami neoliberalnej globalizacji.

Według organizatorów Genoa Social Forum, kierowanego przez Vittoria Agnoletta, do miasta przybyło wtedy prawie 200 tys. osób z całego świata: stowarzyszenia, ruchy społeczne, związki zawodowe, organizacje pozarządowe, organizacje katolickie, lewicowcy, antyglobaliści, alterglobaliści, pacyfiści, anarchiści, autonomiści, transnacjonaliści, antyimperialiści, trzecioświatowcy, feministki, ekolodzy i zaangażowani księża, tacy jak Luigi Ciotti, oraz anarchiści z czarnego bloku (*black bloc*). Cała galaktyka różnorodna ideowo i niejednolita organizacyjnie, która powstała po manifestacjach w Seattle w 1999 r. przeciwko Światowej Organizacji Handlu i zaczęła cementować się na Światowym Forum Społecznym w Porto Alegre w Brazylii, gdzie między 25 a 30 stycznia 2001 r. odbył się pierwszy szczyt w opozycji do Światowego Forum Ekonomicznego w Davos w Szwajcarii. Również antyglobaliści przywieźli do Genui w plecakach cytryny, traktowane jako antidotum na gaz łzawiący. Nieśli banery: „Inny świat jest możliwy" oraz „Wy G8, My 6 miliardów ludzi".

Korpus policyjno-wojskowy, zamiast zaatakować czarny blok, całą agresję wyładował na pacyfistach w białych kombinezonach.

Do pierwszych poważnych zajść doszło w piątek 20 lipca. Licząca ok. 400 osób grupa ekstremistów ubranych na czarno, w kominiarkach, maskach przeciwgazowych czy hełmach, z pałkami, zaatakowała kordon utworzony przez karabinierów w pobliżu stacji Brignole, rzucając

Przez godzinę bili nas bez przerwy

„Zawieźli mnie do Bolzaneto. Zostałem ciężko pobity już wcześniej, kiedy robiłem zdjęcia ludziom z black blocu. Przywieziono mnie w suce razem z 20 innymi osobami. Ręce ciasno związane plastikową taśmą. Wrzucono nas do suki jak worki, potem zaczęły się pałowanie i obelgi. Policjanci śpiewali, okładając nas na oślep: »raz, dwa, trzy, viva Pinochet, cztery pięć – Żydom śmierć, sześć siedem – czarnuchom też…«. Czułem, że mam złamaną nogę i widziałem sceny odrażające: policjanci ciągnęli za włosy jakąś Szwedkę, gasili papierosy na rękach innej dziewczyny z Francji. Jakiś chłopak posikał się ze strachu lub dlatego, że nie mógł już wytrzymać. Najgorsze wydarzyło się, gdy weszła policja więzienna. Nie widziałem nigdy takiej przemocy. Założyli czarne rękawice z poduszkami i przez godzinę bili nas bez przerwy, każdego z osobna, na wyrywki. Ciągle myślę o chłopaku, który odbił się od ściany, pozostawiając na niej strużkę krwi. Wreszcie około godz. 4 rano wywieziono nas do więzienia w Alessandrii", opowiadał 20 lat temu Alfonso De Munno, 26-letni fotoreporter z Rzymu, który został zatrzymany podczas protestów antyglobalistycznych na ulicach Genui.

eprasa.pl 8bc22f5f95

Karabinierzy bardzo brutalnie zaatakowali legalnie demonstrujących antyglobalistów.

koktajle Mołotowa oraz kamienie i szybko uciekając. Policja odpowiedziała gazem i pałowaniem tłumu pokojowych demonstrantów. Przez wiele godzin grupy anarchistów stosujące technikę czarnego bloku poruszały się bezkarnie między czerwoną strefą a peryferiami Genui, mieszając się z tłumem pokojowych manifestantów, prowokując policję i dewastując doszczętnie miasto. Tuż przed godz. 16 doszło do ataku karabinierów w rynsztunku bojowym na pacyfistyczny, legalny marsz Białych Kombinezonów na ulicy Tolemaide. Karabinierzy zaatakowali gazem łzawiącym i bezlitośnie bili bezbronnych manifestantów oraz dziennikarzy i fotoreporterów. Jak wynika z późniejszych ustaleń włoskich mediów, korpus policyjno-wojskowy liczący niemal 300 ludzi, wspierany przez pojazdy opancerzone i furgonetki, najprawdopodobniej pomylił drogę i zamiast zaatakować czarny blok, całą agresję wyładował na pacyfistach w białych kombinezonach, których część, zamknięta w kotle, zaczęła się bronić.

Śmierć Carla Giulianiego

W tych okolicznościach na pobliskim placu Gaetana Alimondy około godz. 17.20 zginął 23-letni Carlo Giuliani. Po szarży na legalną demonstrację część karabinierów zaczęła się wycofywać, ubezpieczana z tyłu przez dwa samochody. Jedna z furgonetek z trzema karabinierami (kierowca Filippo Cavataio, Mario Placanica i Dario Raffone) zaklinowała się koło śmietnika. Wtedy zaatakowali ją manifestanci, rzucając kamieniami i gaśnicą. Młody karabinier Mario Placanica wyciągnął pistolet i strzelił. Pocisk trafił Giulianiego w policzek. Chłopak zginął na miejscu. Wycofujący się pojazd policyjny przejechał po leżącym ciele dwa razy. Tożsamość ofiary ujawniono dopiero późnym wieczorem, gdy świat obiegły już zdjęcia zrobione przez jednego z fotoreporterów Agencji Reutera.

Również kolejnego dnia, w sobotę 21 lipca, miały miejsce zamieszki. Grupy black blocu i chuligani niszczący symbole kapitalistycznego, zglobalizowanego systemu znowu mieszali się z pokojowymi demonstrantami, działając na ich szkodę. Policja pozwalała im dewastować miasto bezkarnie przez kilka godzin, po południu natomiast znowu zaatakowała pokojową manifestację, gazując i pałując ludzi, którzy szli z podniesionymi rękami. Nie szczędziła też ciosów przedstawicielom prasy z identyfikatorami, członkom służby medycznej, a nawet lewicowym parlamentarzystom. Pochód, w którym według organizatorów szło ponad 200 tys. osób, został rozbity na dwie części i próbował się rozproszyć. Sytuacja stała się bardzo niebezpieczna, gdyż nie było odwrotu. Mogło dojść do masakry. Policja ścigała bezbronnych manifestantów w bocznych ulicach, bijąc brutalnie również starszych i rannych. Kilkaset osób odniosło rany. Kilkadziesiąt aresztowano – jak później się okazało, także bezpodstawnie i bezprawnie.

W rękach karabinierów

Wieczorem 21 lipca, między godz. 22 a północą, do zespołu szkół Diaz, które były centrum koordynacyjnym Genoa Social Forum oraz siedzibą niezależnych mediów Indimedia i gdzie nocowali aktywiści z różnych krajów mający opuścić Genuę następnego dnia, wtargnęły oddziały bojowe policji, wspierane przez bataliony karabinierów. Mundurowi i agenci w cywilu na oślep bili i pałowali ludzi śpiących w śpiworach. Zniszczyli cały sprzęt komputerowy i fotograficzny, zarekwirowali dyski z materiałami GSF. Doszło do prawdziwej jatki. Policja wkroczyła do szkoły, twierdząc, że właśnie tu podjechała ciężarówka, z której podczas manifestacji wyciągnięto broń użytą przez *black bloc*: metalowe pręty, kije, koktajle Mołotowa, i że właśnie stąd rzucano kamieniami w patrol, który przed wieczorem przejeżdżał pod budynkiem. Bezpośrednim powodem rozpoczęcia akcji miało być zaatakowanie nożem przez jednego z aktywistów policjanta mającego rozpocząć przeszukanie.

Policja wniosła do szkoły dwa koktajle Mołotowa, które miały być dowodem, że w budynku nocowali członkowie czarnego bloku.

eprasa.pl 8bc22f5f95

Aresztowano 93 osoby, a 61 rannych trafiło do szpitala, z czego trzech w stanie ciężkim i jeden w śpiączce. Pierwszą osobą, która została pobita i odniosła najcięższe obrażenia, był angielski dziennikarz Mark Covell – policja dorwała go jeszcze przed bramą Diaz.

Policjanci wynieśli dowody przestępstwa antyglobalistów, świadczące o tym, że w Diaz czarny blok miał kwaterę główną: dwie butelki koktajlu Mołotowa, nóż, kilka kijów, kominiarki, chustki. Pokazano je nazajutrz na konferencji prasowej, na której oświadczenie złożył również jeden z funkcjonariuszy, Massimo Nucera, pokazując dziurę w mundurze i kamizelce ochronnej po domniemanym ataku nożem.

Zatrzymanych przewieziono do tymczasowego aresztu Bolzaneto. Odebrano im dokumenty i portfele, zdjęto odciski palców, a następnie przesłuchiwano, używając metod uwłaczających godności ludzkiej i kwalifikujących się jako tortura. Bito pałkami i rękawicami, tak aby nie pozostawiać śladów do obdukcji, ubliżano, pluto w twarz, zmuszano do stania godzinami pod ścianą z rękami podniesionymi do góry. Nie pozwalano wyjść do ubikacji, grożono gwałtem, gaszono papierosy na rękach, zastraszano, przymuszono poza tym do podpisania zeznań w języku włoskim oraz oświadczeń, że rezygnują z kontaktu z placówkami dyplomatycznymi własnych krajów. Przeciwko zatrzymanym wniesiono oskarżenia o dewastacje, akty wandalizmu, atak na policjantów, stawianie oporu podczas aresztowania. Z Bolzaneto przewieziono ich później do regularnych więzień. Ten sam los spotkał ludzi zatrzymanych podczas manifestacji. Po kilku dniach, kiedy zaczęły się pojawiać filmy i zdjęcia, a cała prasa zagraniczna pisała o tym, co stało się na G8, a później w Diaz i Bolzaneto, sprawę zaczęto wyjaśniać.

W czasie demonstracji i ataku policji kilkaset osób zostało rannych.

20 lat później

Co wiemy dziś o tym, co naprawdę się wydarzyło? Wciąż nie wszystko. Jak zakończyły się dochodzenia i procesy? Dość zaskakująco.

Decyzja o przeprowadzeniu akcji w szkole Diaz zapadła na dwóch spotkaniach w genueńskim komisariacie. W pierwszym wzięli udział: zastępca szefa policji Ansoino Andreassi, prefekt Arnaldo La Barbera, komisarz policji Genui Francesco Colucci, szef Centralnej Służby Operacyjnej Policji Francesco Gratteri, dyrektor DIGOS (Wydziału Dochodzeń Ogólnych i Operacji Specjalnych) w Genui Spartaco Mortola, szef genueńskiego oddziału policji prewencyjnej Nando Dominici, dyrektor UCIGOS (Centralnego Biura Dochodzeń Ogólnych i Operacji Specjalnych) Giovanni Luperi, kierownik DIGOS z Bolonii Lorenzo Murgolo, a w następnym zastępca komisarza Genui Massimiliano Di Bernardini i zastępca szefa centralnych służb operacyjnych Gilberto Caldarozzi, który zgłosił rzekomy atak na patrol pod szkołą Diaz, stanowiący pretekst interwencji. Sprzeciw wobec akcji wyrazili jedynie szef policji Andreassi i dyrektor DIGOS Mortola, który jednak miał niewiele do powiedzenia. O operacji poinformowany został telefonicznie ówczesny komendant policji Gianni De Gennaro.

Funkcjonariusz Massimo Nucera, który złożył fałszywe zeznania, że został pchnięty nożem, tak naprawdę zrobił to sam.

Wiadomo, że policja wniosła do Diaz i ukryła dwa koktajle Mołotowa, znalezione wcześniej na ulicach Genui. To one miały być niezbitym dowodem, że w budynku nocowali członkowie czarnego bloku. Podrzucono też pręty i kije, znalezione na pobliskiej budowie. Plastikową torebkę z butelkami benzyny wysocy rangą oficerowie oraz ich szefowie przekazywali sobie z rąk do rąk, co nagrano na amatorskim filmie nakręconym z budynku naprzeciw szkoły; film stał się później dowodem w procesie. Funkcjonariusz Massimo Nucera, który złożył oświadczenie na konferencji prasowej, a później fałszywe zeznania, że został pchnięty nożem, tak naprawdę zrobił to sam. Brutalne pobicie dziennikarza Marka Covella już przed szkołą Diaz świadczyło o tym, że policjanci z VII rzymskiego eksperymentalnego batalionu policji prewencyjnej oraz inni agenci wtargnęli do środka z zamiarem agresji, w poczuciu całkowitej bezkarności i przyzwolenia najwyższych szczebli.

Proces w sprawie wydarzeń ze szkoły Diaz zakończył się dopiero w 2012 r. W pierwszej instancji w 2008 r. najwyższe władze policji zostały uniewinnione. Dopiero dwa lata później w procesie drugiego stopnia skazano 25 z 27 oskarżonych, w tym dowódców policji

FOT. AFP/EAST NEWS (2)

eprasa.pl 8bc22f5f95

odpowiedzialnych za akcję, m.in. Francesca Gratteriego, Giovanniego Luperiego, Gilberta Caldarozziego oraz Vincenza Canteriniego – szefa rzymskiego oddziału policji prewencyjnej, i Michelangela Fourniera – dowódcę VII eksperymentalnego batalionu, utworzonego specjalnie do działań na G8. Fournier podczas procesu zeznał, że to, co działo się w Diaz, było „meksykańską rzeźnią". Oskarżonych skazano na kary nieprzekraczające pięciu lat pozbawienia wolności. Niektóre z zarzucanych im przestępstw w trakcie długiego procesu przedawniły się. Dodatkowo ustawa wprowadzona w 2006 r. gwarantowała wszystkim skazanym funkcjonariuszom obniżenie wyroku o trzy lata. W międzyczasie wielu dowódców, którzy podjęli decyzję o akcji w Diaz, zrobiło karierę. W 2020 r. włoskie media i opinię publiczną zbulwersował fakt, że funkcjonariusze Pietro Troiani i Salvatore Gava, którzy wnieśli do Diaz dwa koktajle Mołotowa, a później złożyli fałszywe zeznania, doczekali się awansu za całokształt pracy i wzorowe postępowanie.

Żaden z funkcjonariuszy biorących bezpośredni udział w „meksykańskiej rzeźni" nie został zidentyfikowany i ukarany. Zarówno 60 skarg złożonych przez ofiary zmasakrowane w Diaz, jak i 200 skarg wniesionych przez manifestantów pobitych na ulicach Genui zostało oddalonych z powodu niemożności zidentyfikowania odpowiedzialnych za te czyny ze względu na jednolite hełmy i czerwone chusty, którymi prawie wszyscy zakrywali twarz, oraz brak identyfikatorów.

Tortur nie było w kodeksie

Dziś wiemy, że areszt przejściowy w Bolzaneto został uruchomiony już 17 lipca 2001 r., z przeznaczeniem, aby wyłapać i zamknąć w nim członków czarnego bloku. Nie udało się to. Zeznając przed sądem w 2007 r., zastępca szefa genueńskiej policji Ansoino Andreassi powiedział, że już od spotkania na komisariacie było jasne, że operacja w Diaz powinna mieć na celu nie tylko przeszukanie, ale i masowe aresztowania: „Istnieje niepisana zasada, zgodnie z którą, jeśli dochodzi do przemocy lub nieporządku, którym nie można było zapobiec, muszą one zostać zrekompensowane pewną liczbą aresztowań". Również szef rzymskiego oddziału policji prewencyjnej Vincenzo Canterini był zdania, że do masakry w Diaz dopuszczono, aby odkupić złe wrażenie, jakie policja zrobiła podczas dwóch dni manifestacji w Genui. Do Diaz wpuszczono funkcjonariuszy ze wszystkich oddziałów, którzy zirytowani i przytłoczeni dwudniowymi starciami, wyładowali się poprzez masakrę bezbronnych demonstrantów, podżegani przez mężczyzn po cywilnemu, choć w policyjnych kamizelkach, i z zakrytymi twarzami, których nikt nigdy nie rozpoznał.

Żaden z funkcjonariuszy biorących bezpośredni udział w „meksykańskiej rzeźni" nie został zidentyfikowany i ukarany.

Procesy dotyczące aktów przemocy w Bolzaneto zakończyły się w 2013 r. Wyrok Sądu Kasacyjnego, podkreślający wagę faktów, które doprowadziły do poważnego zawieszenia praworządności, uniewinnił cztery osoby i skazał siedem. Maksymalna kara wynosiła trzy lata i dwa miesiące. Otrzymał ją zastępca szefa bezpieczeństwa publicznego Luigi Pigozzi, który rozerwał palce ręki jednemu z więźniów. Inni funkcjonariusze policji więziennej i lekarka Sonia Sciandra dostali po roku więzienia. Kary prawie całkowicie zostały objęte amnestią, ze względu na ustawę z 2006 r. Sąd Kasacyjny obniżył wysokość odszkodowania cywilnego przyznanego w drugiej instancji i opiewającego łącznie na 10 mln euro, co dodatkowo utrudniło ponad 155 ofiarom otrzymanie zadośćuczynienia. Ponieważ proces trwał bardzo długo, a we włoskim kodeksie karnym nie było przestępstwa tortury, oskarżenia w stosunku do 37 funkcjonariuszy uległy przedawnieniu.

W związku z tym, że kodeks karny nie przewidywał przestępstwa tortury, do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu apelację złożył Arnaldo Cestaro, 62-letni mężczyzna, który w budynku Diaz nocował przypadkiem i został brutalnie pobity podczas nalotu na szkołę. Miał złamane ramię, nogę i dziesięć żeber. Trybunał w 2015 r. skazał Włochy na wypłacenie Cestaremu odszkodowania w wysokości 45 tys. euro, uznając niektóre akty przemocy policji w Diaz za tortury. W uzasadnieniu wyroku stwierdzono, że fakt, iż prawo włoskie nie uwzględnia przestępstwa tortury, prowadzi do niechybnego przedawnienia wielu wykroczeń, które powinny być tak traktowane. Dwa lata później trybunał strasburski skazał Włochy na wypłacenie podobnych odszkodowań 29 ofiarom pobitym w areszcie Bolzaneto.

Przestępstwo tortury, wprowadzone już w 1987 r. przez Europejską konwencję o zapobieganiu torturom oraz nieludzkiemu lub poniżającemu traktowaniu albo karaniu, zostało przyjęte we Włoszech dopiero 5 lipca 2017 r.

Amnesty International uznała, że wyroki dotyczące wydarzeń na szczycie G8 w Genui „nie odzwierciedlają powagi stwierdzonych przestępstw i dotyczą bardzo małej liczby osób, które uczestniczyły w aktach przemocy i działaniach przestępczych, mających na celu ukrycie popełnionych przestępstw".

Agnieszka Zakrzewicz

eprasa.pl 8bc22f5f95

Wymiatanie spod dywanu

Kościół Anglii z 40 tys. skarg w sprawie molestowania złożonych w ciągu 30 lat tylko 13 uznał za warte dalszej uwagi

Zuzanna Muszyńska

W wieczór poprzedzający bierzmowanie Sue Cox została zgwałcona po raz pierwszy. Miała wtedy dziesięć lat. Przyjechała do klasztoru na letni obóz połączony z nauką katechizmu. Trzy lata później ten sam ksiądz zgwałcił Sue ponownie w jej własnej sypialni. Macocha poleciła dziewczynce modlić się za oprawcę i ofiarować cierpienie w jakiejś intencji. Sue usłyszała, że ksiądz ma „święte dłonie".

Dziś Sue mówi, że jest ateistką. Swoją historię zdołała opowiedzieć po ponad 40 latach. Jako nastolatka okaleczała się, ukrywając blizny pod ubraniami. Uciekła z domu, kiedy miała 17 lat. Weszła w związek przemocowy, zaczęła nadużywać alkoholu. W wieku 29 lat, będąc matką sześciorga dzieci, odstawiła używki i rozpoczęła bolesną drogę powrotu do normalności. Sue zeznawała przed niezależną komisją ds. przemocy seksualnej wobec dzieci w Anglii i Walii (IICSA).

Mark Fabbro, Chris Daly, Sue Cox, Margaret Kennedy i Peter Saunders przeżyli molestowanie przez katolickich księży. W 2010 r., przed przyjazdem do Wielkiej Brytanii papieża Benedykta XVI, wystąpili na konferencji prasowej.

Gruba kreska

Przesłuchania 725 świadków, analiza prawie 2,5 mln stron dokumentacji, publikacja 14 raportów – tak wygląda dotychczasowy bilans prac komisji. Bada ona liczne skargi na osobistości publiczne, w tym duchownych i polityków. Skargi te dotyczą wykorzystywania nieletnich w szkołach, domach dziecka, kościołach oraz instytucjach służby zdrowia. IICSA została powołana w lipcu 2014 r. przez Theresę May, ówczesną minister spraw wewnętrznych, po tym jak po śmierci Jimmy'ego Savile'a w 2011 r. setki osób zgłosiły się, twierdząc, że znany prezenter telewizji BBC molestował je seksualnie. Z żądaniem powołania komisji państwowej wystąpiła ponadpartyjna grupa posłów, postulując zbadanie dawnych przypadków pedofilii w różnych grupach społecznych i „odcięcie się od tamtych wydarzeń raz na zawsze grubą kreską". Sprawą Savile'a zajmowała się wcześniej, od października 2012 r., Metropolitan Police, która w wyniku operacji Yewtree wykryła siatkę pedofilską działającą w mediach od 40 lat. Udowodniono, że Savile molestował 450 osób, w tym 328 dzieci.

Pierwszą przewodniczącą IICSA została baronessa Elizabeth Butler-Sloss, która zajmowała się wcześniej przestępstwami o charakterze instytucjonalnym. Ustąpiła z funkcji po sześciu dniach, gdy ujawniono, że jej brat był prokuratorem generalnym w okresie, kiedy doszło do niektórych nadużyć. Zarzucono jej również, że we wcześniejszym śledztwie, dotyczącym Kościoła Anglii, usiłowała pomniejszyć winy bp. Petera Balla. Na następczynię Butler-Sloss wyznaczono Fionę Woolf. Ona z kolei wycofała się po kilku miesiącach, kiedy wyszło na jaw, że trzykrotnie gościła na obiedzie lorda Leona Brittana, ministra spraw wewnętrznych z lat 80., za którego kadencji zaginęły dokumenty obciążające pedofila wywodzącego się z prominentnych kręgów.

Trzecia przewodnicząca komisji, nowozelandzka sędzia Lowell Patria Goddard, wybrana została jako osoba niemająca związków z brytyjskim establishmentem. Wraz z jej nominacją Theresa May przyznała komisji dodatkowe prerogatywy, np. prawo do przesłuchiwania świadków pod przysięgą oraz dostęp do tajnych dokumentów. Obecnie IICSA przewodzi prof. Alexis Jay, która przewiduje publikację ostatniego, podsumowującego badania raportu na 2022 r.

W dotychczasowych raportach opisano m.in. nadużycia w szkołach

eprasa.pl 8bc22f5f95

dla dzieci z niepełnosprawnościami oraz szkołach muzycznych. Tu pojawił się wątek polski. Ryszard Bakst, światowej sławy pianista, po wydarzeniach marcowych wyemigrował do Wielkiej Brytanii, gdzie kontynuował działalność pedagogiczną w Royal Manchester College of Music, a później w Royal Northern College of Music (1969-1999). Ta druga szkoła ufundowała Ryszard Bakst Memorial Prize, nagrodę dla najzdolniejszych uczniów. W 2013 r. zmieniono jej nazwę na RNCM Prize for Chopin, po tym jak kilka kobiet oskarżyło nieżyjącego pianistę o molestowanie seksualne podczas lekcji.

Najobszerniejsze z 15 śledztw wszczętych przez komisję dotyczy siatki pedofilskiej w hrabstwie East Sussex, zorganizowanej przez bp. Balla.

Książę i biskup

Peter Ball, nieżyjący od 2017 r. biskup Lewes i Gloucester, zapisał się na kartach historii jako niemalże nietykalny sprawca przestępstw pedofilskich. Kultywując bliskie znajomości z księciem Karolem, premier Margaret Thatcher, dyrektorami szkół prywatnych i innymi członkami brytyjskiego establishmentu, przez wiele lat unikał odpowiedzialności za swoje czyny.

Bracia Peter i Michael Ball założyli w 1960 r. niewielką wspólnotę zakonną. Kupili starą stodołę w hrabstwie Somerset, w której zamieszkali wraz z pięcioma innymi mnichami. W tym gronie narodziło się przekonanie, że Kościół anglikański słabnie. Ball zarządzał wspólnotą twardą ręką – modły nago w lodowatej kaplicy, ścisłe posty, kary cielesne, samobiczowania. W 1980 r., już jako biskup, wprowadził do akcji nieletnich. Do East Sussex, gdzie sprawował funkcję, zaczęła zjeżdżać młodzież na Rok dla Chrystusa. W obozach brały udział osoby obojga płci, ale do rezydencji biskupiej wpuszczano wyłącznie chłopców. Biskup uchodził za niemalże świętego, obdarzonego wyjątkowym darem obcowania z młodzieżą. Do wspólnoty opartej na władzy absolutnej, manipulacjach i karach cielesnych wciągnął kleryków z diecezji Chichester.

Już w 1969 r. pojawiły się oskarżenia o molestowanie nieletnich. Jednak dopiero w 1993 r. Ball trafił pod obserwację policji. Przyznał się do zarzucanych mu czynów, unikając procesu sądowego. Po dwóch latach wywalczył sobie prawo powrotu do wypełniania części obowiązków sakralnych. Sprawa biskupa powróciła na wokandę w 2015 r. Udowodniono mu przestępstwa seksualne wobec 16 chłopców oraz mężczyzn; za każdego odsiedział miesiąc w więzieniu – połowę z 32-miesięcznego wyroku. Sprawa Balla pogrążyła lorda Careya, arcybiskupa Canterbury, którego oskarżono o tuszowanie pedofilii i zmuszono do rezygnacji z funkcji. 12 księży z diecezji Chichester skazano łącznie na 68 i pół roku więzienia. Zeznający w ich sprawie biskup Chichester John Hind i biskup Lewes Wallace Benn mówili m.in. o „normalizacji karygodnych zachowań", dzięki której siatka pedofilska mogła funkcjonować przez dziesięciolecia.

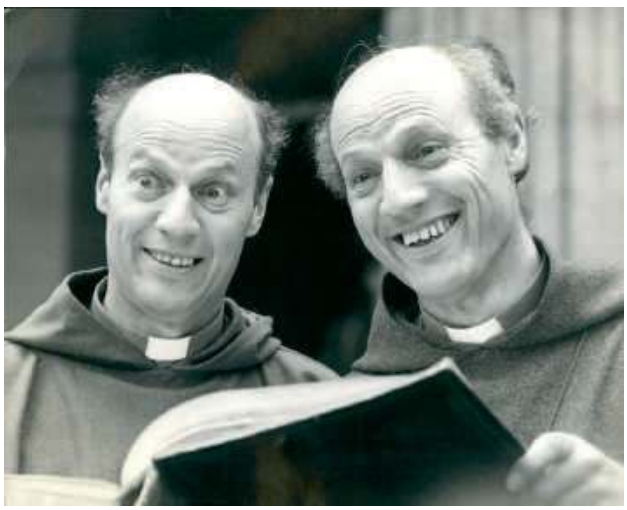

Bracia Peter (z prawej) i Michael Ball założyli w 1960 r. niewielką wspólnotę zakonną. Później zostali biskupami.

Śledczy zatrzymali się o krok od oskarżenia rodziny królewskiej o rozłożenie nad biskupem parasola ochronnego. Książę Karol tak pisał do Balla w lutym 1995 r., dwa lata po wydaniu przez policję ostrzeżenia: „Chciałbym móc zrobić dla Ciebie więcej. Niewyobrażalne krzywdy, jakich doświadczasz, i sposób, w jaki jesteś traktowany, powodują u mnie silny sprzeciw". Karol zlecił zakup domu w Kornwalii dla emerytowanego biskupa i jego brata. Zadbano, by bliskie sąsiedztwo umożliwiało częste kontakty panów. Od początku znajomości z rodziną królewską Ball bywał zapraszany do rezydencji księcia, gdzie udzielał komunii. Książę Karol przyznał się też do ofiarowywania braciom Ball niewielkich sum pieniędzy.

Śledczy zatrzymali się o krok od oskarżenia rodziny królewskiej o rozłożenie nad bp. Peterem Ballem parasola ochronnego.

Prawnicy nie zgodzili się, by książę zeznawał osobiście przed komisją śledczą w sprawie Balla. Karol napisał list, w którym przekonywał, że przez długi czas zwodzono go w kwestii charakteru działalności biskupa. Wyparł się wywierania jakiegokolwiek wpływu na kogokolwiek, by pomóc przyjacielowi. Komisja mogła się zapoznać z fragmentami korespondencji biskupa i księcia. Wynikało z nich, że Karol ubolewał nad tchórzostwem arcybiskupa Canterbury, który obiecał przywrócić Balla do przynajmniej niektórych funkcji kościelnych. Arcybiskup miał się bać nagonki mediów.

Krokodyle łzy nie wystarczą

IICSA stawia zarzuty, na które Kościół musi odpowiedzieć. Według raportu opublikowanego pod koniec zeszłego roku zaledwie co piąta skarga skierowana do Kościoła rzymskokatolickiego doprowadziła do postępowania. Komisja piętnuje postawę prymasa Vincenta Nicholsa i jego współudział w tuszowaniu przestępstw. Nichols powinien był wkrótce po opublikowaniu raportu IICSA przejść na emeryturę, pozostał jednak na stanowisku zgodnie z wolą Watykanu.

Przedmiotem raportu o Kościele rzymskokatolickim w Anglii i Walii są przypadki seksualnego

FOT. REUTERS/FORUM (2)

eprasa.pl 8bc22f5f95

wykorzystywania dzieci w latach 1970-2015. Według ustaleń komisji Kościół otrzymał w tym okresie 900 zgłoszeń dotyczących 3 tys. przypadków. W wyniku wszczęcia 177 postępowań skazano 133 osoby. Raport jednoznacznie określa działania Kościoła jako zamiatanie pod dywan, co więcej, zarzuca mu „zdradę swojej misji moralnej". 162-stronicowy dokument ujawnia wstrząsające szczegóły gwałtów na nieletnich. Jego antybohaterowie to np. ksiądz molestujący 17-latkę na wózku inwalidzkim, ksiądz molestujący dziecko kilkaset razy i zmuszający je po każdym akcie przemocy do spowiedzi, młody kleryk dopuszczający się gwałtu na chłopcu w jego własnym domu. I wielu, wielu innych. W zeznaniach ofiar powraca motyw zażenowania sytuacją, w której namiestnik Boga robi „takie rzeczy". Ofiary cierpią na depresję, podejmują wielokrotne próby samobójcze, sięgają po używki, rozpadają się ich związki małżeńskie.

Prymas Nichols zaakceptował ustalenia raportu, obiecał zrobić wszystko, co możliwe, aby na nie odpowiednio zareagować. Jego słowa nie wzbudziły jednak zaufania ofiar. Do hierarchów Kościoła wystosowano list otwarty, w którym ocaleńcy żądają czegoś więcej niż „krokodyle łzy".

W maju 2021 r. ogłoszono, że stanowisko przewodniczącego nowo powstałej agencji ochrony norm katolickich (CSSA) obejmie Nazir Afzal, muzułmanin, który, działając z ramienia Koronnej Służby Prokuratorskiej (CPS), doprowadził do skazania członków gangu handlarzy ludźmi z Rochdale. Afzal zajmował się też sprawą Stuarta Halla, prezentera BBC, którego w 2014 r. skazano za przestępstwa seksualne wobec dzieci. CSSA będzie się zajmować nadzorowaniem profesjonalnych standardów dotyczących bezpieczeństwa dzieci. O wyborze Afzala pozytywnie wypowiedzieli się poszkodowani, oczekując „sejsmicznej zmiany w podejściu Kościoła do ochrony ofiar i ocalonych i współpracy z nimi". Afzal, znany jako żarliwy obrońca interesów ofiar, powinien im taką ochronę zagwarantować.

Dobro odzyskuje moc

Równolegle z pracami IICSA toczą się śledztwa policyjne. Wynika z nich, że w latach 70. i 80. XX w. miała miejsce wręcz epidemia pedofilii. Tysiące sprawców, m.in. nauczycieli, kapłanów, opiekunów dzieci i młodzieży, uniknęło odpowiedzialności za krzywdy wyrządzane podopiecznym. Policja uważa, że doprowadzenie do wyroku skazującego w co trzeciej sprawie to dowód, iż nikt nie marnuje czasu ani pieniędzy. To odpowiedź na zarzuty Borisa Johnsona, który jeszcze jako minister spraw zagranicznych nazwał śledztwa dotyczące dawnych przypadków molestowania wyrzucaniem pieniędzy w błoto. Komisarz ds. ofiar w Anglii i Walii powiedziała: – Jeśli teraz postąpimy słusznie, jest nadzieja, że już nigdy nie zajdzie potrzeba powoływania takiej komisji jak IICSA.

Dwa lata wcześniej IICSA opublikowała raport dotyczący Kościoła Anglii i Walii. Kościół Anglii z 40 tys. skarg złożonych w ciągu 30 lat tylko 13 uznał za warte dalszej uwagi. Dla porównania – w mniej licznym Kościele metodystów dalsze kroki podjęto w 900 sprawach. Komisja zarzuciła władzom wyświęcanie duchownych, którzy mieli na koncie przestępstwa seksualne wobec dzieci, oraz próby chronienia winnych księży. Przykładowo nieżyjący już ks. Robert Waddington, mimo poważnych zarzutów, nadal był dziekanem katedry w Manchesterze. Oskarżenia wobec niego arcybiskup Yorku skomentował jako „po prostu niewiarygodne". Wikariusza Iana Hughesa z Merseyside, którego w 2014 r. skazano za posiadanie 800 nieprzyzwoitych zdjęć dzieci, chronił kolega, dowodząc, że Hughes został wmanewrowany w oglądanie pornografii dziecięcej.

Abp Justin Welby podczas przesłuchań zwracał uwagę, że w rozmowach z kandydatami na biskupów, które prowadzi Królewska Komisja Nominacyjna, zadawane jest tylko jedno pytanie dotyczące ochrony praw dzieci. Przyznał, że Przepisy dyscyplinarne ds. duchowieństwa (CDM) są niedoskonałe. Welby opowiedział się też przeciwko nadużywaniu teologii przebaczenia. – Jeśli ktoś molestował i wyznaje swoją winę lub jeśli został zdemaskowany, już nigdy nie można zaufać takiej osobie – stwierdził. – Wyznanie winy może być szczere, ale nie można narażać wiernych na dalsze ryzyko – dodał. Tak się stało w przypadku ks. Timothy'ego Storeya, który po okazaniu skruchy za swoje czyny powrócił do pracy z dziećmi. Obecnie odsiaduje wyrok 15 lat więzienia za przestępstwa wobec nieletnich.

Arcybiskup Canterbury Justin Welby i arcybiskup Yorku John Sentamu wystosowali list pasterski, w którym napisali, że „przepraszam" nie wystarczy, trzeba pokazać działaniem, iż wyciągane są wnioski z przeszłości. Odpowiedziała im Janet Fife, molestowana w dzieciństwie kapłanka Kościoła Anglii. „W drugim tygodniu przesłuchań uświadomiłam sobie – napisała – że w końcu ludzie władzy są pociągani do odpowiedzialności, a na światło dzienne wychodzi coraz więcej zgnilizny. Będę z Wami szczera, Johnie i Justinie, jest we mnie pewna radość, kiedy widzę biskupów wijących się pod ostrzałem pytań zadawanych przez dwie dużo od nich młodsze kobiety. Role się odwróciły – dobro odzyskało moc".

Zuzanna Muszyńska

Stanowisko przewodniczącego nowo powstałej agencji ochrony norm katolickich obejmie muzułmanin Nazir Afzal.

W latach 1970-2015 Kościół rzymskokatolicki otrzymał 900 zgłoszeń dotyczących 3 tys. przypadków. Wszczęto 177 postępowań, skazano 133 osoby.

eprasa.pl 8bc22f5f95

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Nieładnie

Wałęsam się po księgarniach i udając, że przeglądam nowe tytuły, wącham książki. Zapach farby drukarskiej przenosi mnie do lat błogiego dzieciństwa – bardzo wcześnie nauczyłem się czytać, a rodzice nie skąpili mi lektur, nigdy później nie wzbudzałem takiego zachwytu. Ale prawdziwą magdalenką jest mi farba olejna, włóczę się po wystawach, szukając świeżych obrazów, na których jeszcze zachowałyby się resztki zapachu materiałów malarskich – ojciec wszakże wywijał nie tylko nahajem, nie demonizujmy, machał nade wszystko pędzlem, oprócz gruntowania cech męskich zajmowało go także gruntowanie płócien. Chełpił się tym, że potrafi namalować wszystko, póki matka nie nakazała mu sportretować mnie w wieku szczenięcym – wielokrotnie ponawiane sesje nie przyniosły skutku. Ojciec twierdził, że nie potrafię usiedzieć w miejscu, czemu akurat łatwo dać wiarę, bo pozowanie nie należy do ulubionych zabaw kilkulatka, poza tym ojcowskie spojrzenie napawało mnie trwogą – w rzeczy samej, czułem ból, kiedy wbijał we mnie wzrok. Dziś czuję, że sedno tego fiaska tkwiło być może gdzie indziej: byłem dla ojca nieprzedstawialny. Żeby mnie namalować, był zmuszony przyjrzeć mi się z uwagą, to on się wiercił, przekrzywiał głowę, mrużył oczy, przestawiał lampy albo w ciągu dnia mnie z krzesłem przestawiał, żeby rozświetlić postać. Na nic te wysiłki: obraz nie zgadzał się z wyobrażeniem, ojciec był gotów mnie formować, ale odwzorować nie zdołał. Szkice do portretu miały wadę zasadniczą – nie byłem do siebie podobny, co nie uszło uwagi matki, kontrolującej postępy prac; ojcu trudno było podważyć tę krytykę, więc zaniechał kontynuacji. Portret niedokończony się nie zachował, zamalował mnie ze złością, wcisnął ten nieobraz gdzieś między inne, potem być może naniósł na to jakiś landszaft, posadził na mnie drzewa, postawił skały i polukrował mokrym fałatowskim śniegiem. Już się nie przechwalał, że umie wszystko namalować, wybierał inne definicje swojego mistrzostwa – np. twierdził, że amatorom farba ścieka po płótnie, a jemu nie.

Przypomniałem to sobie na wystawie Wilhelma Sasnala w Polin, gdzie poszliśmy z Żoną schować się przed upałem. Ojcu by się nie spodobało: nie dość, że landszafty ponure, to jeszcze wszędzie zacieki, ładnie to tak? „Ładnie" już było, na samym starcie, potem Sasnal zobaczył „Shoah" Lanzmanna, przeczytał „Mausa" Spiegelmana, „Sąsiadów" Grossa i rozejrzał się wokół z uwagą, odkrywając, że żyje na cmentarzysku. Pejzaż stracił niewinność, sam artysta mówi wprost, że polski pejzaż został skażony. Sasnal patrzy na Polskę oczyma ofiar jako na miejsce przeklęte, mapę Zagłady, tak też ustawia spojrzenie widza: sterta kapuścianych głów wygląda jak stos czaszek, długie budynki chlewni do złudzenia przypominają baraki lagru, nawet statystyczny wykres zagęszczenia ludności wygląda jak plamy krwi. Kiedy w ramach kadru wyznaczonych przez okna wagonu artysta spotyka wzrok chłopa wypalającego trawy, nie sposób odeprzeć myśli, że tak samo przyglądał się inny chłop innemu wagonowi przed 80 laty.

Nie tylko krajobraz, lecz i sam język utracił niewinność: wagon, stos, barak, komin – to pojęcia podstawowe, po Holokauście zostały przygniecione znaczeniami. Sasnal inteligentnie przesuwa pola semantyczne, można by rzec, że zmyślnie parafrazuje Brechta – u niego rozmowa o drzewach nie jest zbrodnią, bo jest rozmową o Zbrodni. Jak na obrazie złamanego drzewa, uszkodzonym w transporcie, do którego Sasnal dokleił sznur. Wszystko jest śladem, niemym świadectwem zła. Artysta unika nietaktu reprezentacji, a zatem i banalizacji Shoah – bo Zagłada jest u niego obecna poza ramami obrazu, poza kadrem, w przestrzeni domysłu. Portret Hitlera jest tu możliwy, bo został zamalowany i dodatkowo przekreślony ukośnie listwą. Także ikony polskości zostają tu poddane malarskiej dekonstrukcji, niepokojąco zniekształcone, jak bocian pozbawiony dziobu i nóg, jak „przemalowane" płótna klasyka – portret konny z Michałowskiego – co prawda, koń jest biały, ale jeździec jakiś trupio-niewyraźny, jak sarmata w stanie rozkładu. Polacy uczcili 80. rocznicę mordu w Jedwabnem, dumnie prężąc transparenty z hasłami potępiającymi „kłamstwo jedwabieńskie", władze ją zignorowały. „Taki pejzaż" jest wystawą o kiedyś niewypowiedzianej, wypartej, a dziś zacieranej i wymazywanej winie. Bardzo bolesna lekcja historii, weźcie na nią swoje dzieci, bo Czarnek szkół tam na pewno nie wyśle.

Sasnal patrzy na Polskę oczyma ofiar jako na miejsce przeklęte, mapę Zagłady.

w.kuczok@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 8bc22f5f95

Beksiński. Kolekcja z miłości

Nie chcę już być marszandem, który bez skrupułów wpuszcza na rynek to, co zyskało na wartości

Rozmawia Bronisław Tumiłowicz

Jest pan największym i najważniejszym prywatnym kolekcjonerem obrazów Zdzisława Beksińskiego. Ile dzieł mógł namalować ten artysta?

– Mnóstwo. Nie będziemy liczyć rysunków, fotografii, rzeźb. Beksiński zaczął malować w 1967 r. Początkowo tworzył ok. 40 obrazów rocznie, później ta liczba spadła do ok. 25 na rok, a wreszcie do 20. Zginął w 2005 r. Kiedy więc to wszystko dodamy latami, wyjdzie nam ponad 1 tys. Pracował wyjątkowo szybko. Szybciej niż inni i choć jego obrazy są bardzo wypracowane, nasycone kolorystycznie i perfekcyjne technicznie, powstawały błyskawicznie, czasem w ciągu kilku dni, gdy inni malarze potrzebują miesięcy.

Przez pańskie ręce przeszło pewnie ok. 200 obrazów. Jak powstawała kolekcja? W drugiej połowie lat 80. i pierwszej połowie 90. Beksiński przekazywał panu wszystko, co tworzył, na bieżąco. Sprzedawał tylko panu?

– Niektóre sprzedawał również poza mną. Co do mnie, to jednocześnie odkupywałem obrazy od kolekcjonerów. Kiedy związałem się z Beksińskim, poprosiłem go o adresy osób, którym sprzedał już swoje obrazy. Potem napisałem do tych ludzi i kilka osób zgodziło się odsprzedać to, co nabyły. Była wśród tych osób znana dziennikarka i podróżniczka Elżbieta Dzikowska, jakiś obraz kupiłem na aukcji, udało mi się sprowadzić trzy czy cztery obrazy od kolekcjonera ze Strasburga itd. Gdy miałem kłopoty finansowe, musiałem coś z tego sprzedać. Ale później, gdy sytuacja się poprawiła, ponownie odkupywałem to, co uprzednio sprzedałem. Na przykład żona irańskiego bankiera, uciekiniera do Francji, po śmierci męża była zmuszona pozbyć się obrazu, który kiedyś kupiła w mojej galerii. Zapłaciłem tyle, ile ona wcześniej.

Kolekcja rosła.

– Początkowo nie miałem sprecyzowanej koncepcji działania. Czy mam być kolekcjonerem, czy marszandem – o co mi właściwie chodzi? Szybko się zorientowałem, że czy chcę sprzedawać, czy tylko kolekcjonować prace Beksińskiego, żeby go rozsławić, muszę mieć galerię i choć część obrazów sprzedawać. Ale szło mi to z trudem. W którymś momencie stałem się niemal bankrutem, bo długo nikt nie chciał niczego kupić w mojej galerii.

Teraz jesteśmy w zupełnie innym punkcie pańskiego kolekcjonerstwa. Wiemy, że za 1 mln dol. sprzedał pan Japończykom 56 obrazów, a resztę próbuje pan umieścić w różnych muzeach w Polsce. Są podpisane długoletnie umowy.

– W Nowohuckim Centrum Kultury jest część kolekcji licząca 50 obrazów, umieszczona tam na 10 lat, tak jak 100 rysunków i 100 zdjęć artystycznych. W Galerii Miejskiej w Częstochowie już od 15 lat umieszczona jest część kolekcji – obecnie 12 obrazów i 30 prac na papierze. A teraz podpisałem na trzy lata umowę z Muzeum Archidiecezjalnym w Warszawie, że tu znajdzie się trzecia część naszej kolekcji, to znaczy 25 prac. Nie chcę już wyprzedawać Beksińskiego, nie chcę już być marszandem, który bez skrupułów wpuszcza na rynek to, co zyskało na wartości. Przywiązałem się do tych obrazów i zawsze bolało mnie serce, gdy się ich pozbywałem. Jestem obecnie posiadaczem ponad 100 obrazów mistrza, których nie wypuszczę z rąk. Ale co zrobić z taką liczbą prac?

W związku z tym postanowił pan swoje zbiory umieścić w Polsce.

– Jestem Polakiem, a obrazy Beksińskiego najsilniej oddziałują na rodaków. Przypomnę, że największa w świecie kolekcja jego prac, kilkaset obiektów, jest w Muzeum Historycznym w Sanoku, gdzie malarz się urodził. Początkowo sprzedawał do Sanoka swoje dzieła, a później darowywał tej instytucji. Moja idea, by świat zachwycił się polskim malarzem, w zasadzie spaliła na panewce. Było wiele prób, najpierw w wynajętej galerii w Paryżu, potem w mojej własnej galerii, którą wybudowałem niedaleko Centrum Pompidou. Galeria już nie istnieje, a inne starania przyniosły gorycz. Zresztą nawet w Warszawie próby znalezienia jakiejś publicznej, państwowej instytucji do przyjęcia takiego depozytu nie powiodły się. Pozytywną odpowiedź uzyskałem dopiero od instytucji kościelnej, dlatego tu właśnie zapraszam warszawiaków. Ale moim głównym celem jest nadal zbudowanie autonomicznego muzeum Zdzisława Beksińskiego w Warszawie.

Największa w świecie kolekcja prac Beksińskiego jest w Sanoku, gdzie malarz się urodził.

Piotr Dmochowski – emerytowany adwokat przy sądzie apelacyjnym w Paryżu i były profesor prawa na Uniwersytecie Paryż X. Od 1983 r. zajmuje się upowszechnianiem sztuki Beksińskiego na świecie. Opublikował dwa monograficzne albumy jego prac. Napisał również książkę „Zmagania o Beksińskiego", w której opowiada o próbach spopularyzowania sztuki artysty we Francji, oraz „Zapiski z przednia apokalipsy" o takich samych próbach w Polsce.

eprasa.pl 8bc22f5f95

PIOTR DMOCHOWSKI

– kolekcjoner dzieł sztuki

Prace, które kiedyś pojechały do Japonii, wracają do nas.

– Agra-Art z 56 obrazów, które posiadali Japończycy, sprzedała już ponad 20, a z pozostałych 30 zorganizowała wystawę w swojej warszawskiej siedzibie. Japońscy nabywcy ponoć zbankrutowali, a kolekcja trafiła do tajemniczej pani Ingrid z Hongkongu. To ona skontaktowała się z Agra-Art, by je sprzedać w Polsce. Beksiński jest znany w różnych kręgach. Pewien generał NATO z Belgii kupił sześć obrazów. Odkupiłem od niego jeden. Prócz Francji i Belgii sporo prac znalazło się w Ameryce i w Niemczech.

Beksiński to już jest ktoś?

– Na jego renomę, ale też na popularność, wpłynęło kilka czynników: straszna śmierć, dalej książka Magdaleny Grzebałkowskiej i film fabularny w reżyserii Jana P. Matuszyńskiego. Wreszcie moje działania popularyzatorskie, wydane przeze mnie albumy, publikacja listów, jakie z Beksińskim wymieniłem, i internetowa galeria, Wirtualne Muzeum Zdzisława Beksińskiego – to wszystko poskutkowało. W wirtualnym muzeum znajduje się wiele zdjęć jego obrazów, które ludzie mogą wykorzystać w celu wykonania dobrych skanów.

Na stronie DmochowskiGallery.net jest wyznanie: „Nie ma wieczoru, bym kładąc się spać, nie marzył o wystawieniu Beksińskiemu wspaniałego muzeum (…), które nazwałbym Pałacem Zdzisława Beksińskiego. (…) Mieliby tam swoje sale również inni wielcy twórcy (…) Odd Nerdrum, Michel Henricot, José Hernandez, Franciszek Starowieyski czy Svetlin Rusev".

– To są nazwiska moich ulubionych twórców. Ich sztuka, wywodząca się z klasycznego malarstwa figuratywnego, poruszająca mroczne, ostateczne tematy, odpowiada mojemu gustowi i temperamentowi. W kolekcji swego czasu miałem też innych polskich artystów, np. Józefa Walczaka, Henryka Cześnika. Duże wrażenie robi na mnie malarstwo Bułgara Svetlina Ruseva, którego prace kilka razy wystawiałem w swojej galerii. Do dziś zachowałem pięć jego obrazów. Zachwyt zawsze budziły we mnie fantastyczne dzieła Francuza Michela Henricota i Hiszpana José Hernandeza, u których odnalazłem echo tej atmosfery, którą tak kocham w obrazach Beksińskiego. Co do Norwega Odda Nerdruma – na kupno jego prac na razie mnie nie stać.

Jaką sumą należałoby rozporządzać?

– Jeden obraz osiągnął na aukcji ponad 300 tys. euro. Należałoby sprzedać kilka obrazów Beksińskiego, by zarobić na jednego Nerdruma. Ale tego nie zrobię. Liczę na to, że może ktoś będzie sprzedawał na aukcji dzieło w cenie umiarkowanej. Zdarzają się takie sytuacje. Pamiętam, że kiedyś można było okazyjnie nabyć Beksińskiego na aukcji charytatywnej za... 3 tys. zł. Natomiast aby zbudować w dobrym punkcie Warszawy gmach muzeum według projektu np. Franka Gehry'ego, trzeba by dysponować milionami euro.

Czy swoją kolekcję traktuje pan jako lokatę kapitału?

– Widzę to zupełnie inaczej. Teraz myślę o przyszłości. Nie mamy z żoną naturalnych spadkobierców, więc po naszym odejściu kolekcja stanie się własnością fundacji, nad założeniem której już teraz pracuję. Fundacja będzie miała na celu opiekowanie się obrazami Beksińskiego i staranie, by powstało jego muzeum w Warszawie. Obrazy innych autorów sprzedałem. Nie mam dziś żadnego Starowieyskiego, choć wcześniej posiadałem sporo jego prac. Co ciekawe, za życia obu artystów płótna Starowieyskiego i Beksińskiego osiągały podobne ceny. Dziś Beksiński jest o wiele droższy, bo o promocję Starowieyskiego w świecie nikt nie zabiega. Tworząc kolekcję, starałem się kupować te obrazy, na które było mnie stać i które mi się podobały. Nie kupowałem nigdy z nadzieją, że na nich zarobię, bo kiedyś zdrożeją.

Nie przewiduje pan, że obrazy Beksińskiego staną się własnością np. Muzeum Narodowego?

– Na razie nie. Po śmierci mojej i żony właścicielem kolekcji stanie się fundacja. W oczekiwaniu na stworzenie w Warszawie odrębnego muzeum będzie ona proponować długie depozyty prac mistrza w różnych miejscach. Dodam, że postać Beksińskiego w Polsce nieustannie zyskuje prestiż. W warszawskim centrum Koneser jest duża wystawa jego prac – ponad 90 obrazów z kolekcji Sanoka i prywatnych właścicieli. Ja w tej akcji nie biorę udziału, ale cieszy mnie zainteresowanie społeczne moim ulubionym artystą. Mam przekonanie, że to w pewnej skromnej części także moja zasługa.

b.tumilowicz@tygodnikprzeglad.pl

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 8bc22f5f95

Każda najpiękniejsza kobieta świata

Vademecum relacji damsko-męskich **Jerzego Pilcha**

Witold Bereś

„Mężczyźnie zawsze myli się miłość z pożądaniem, taka jest ekonomia jego mózgu. Na przykład męskie oko zbudowane jest w ten sposób, że za kobietami na ulicy musi się on oglądnąć. To nie jest kwestia jego słabej czy silnej woli, lecz zdeterminowanie anatomiczną konstrukcją. Nie ma na to rady. Przypuszczam, że praojcu Adamowi też to się mieszało. Aczkolwiek nie miał zbytniego wyboru, bo w okolicy była tylko jedna kobieta. I może dlatego utwierdził się w przekonaniu, że żywione do niej uczucie jest miłością, choć w rzeczywistości było to jedynie pożądanie. […]

Prawdziwa miłość jest trudna, produkuje tysiące problemów, zakochanie jest czystą estetyką. Trudno byłoby zakochać się w brzydkiej kobiecie, ale brzydką kobietę można intensywnie kochać. W zakochaniu zawsze bierze udział część osoby, nie ogarnia się jej całościowo. Można być zakochanym w rozmowach z kobietą albo w jej fantastycznie długich nogach".

Spróbujmy, posiłkując się Pilchową twórczością, jego wypowiedziami, ale i rozmowami z nim, ułożyć minivademecum relacji męsko-damskich, pamiętając o żartobliwej przestrodze regularnie kierowanej przez pisarza do zapoznawanych kobiet: „Rzuć go – ale pamiętaj: ja ci niczego nie obiecuję".

I dodajmy – nie wszystko zostanie tu spisane.

•

1.

Wielokrotnie stawiano męskie pytanie, w kulturze, literaturze i dniu codziennym: co najpiękniejszego jest w kobiecie? Rozmaicie próbowano opisać katalog męskich zapotrzebowań, ale co do jednego się niemal wszyscy zgadzali i zgadzają: każdy widzi co innego.

Jerzy Pilch miał kilka wyrazistych, ale i pięknych opisów/określeń, które można docenić, choć w wieku XXI mogą one w oczach poprawnych politycznie trącić czystym seksizmem.

Po pierwsze – od zawsze zachwycał się kobietami chodzącymi w czółenkach na płaskim obcasie. Mogłoby być to zaskakujące, bo klasyka literatury erotycznej (OK, nie najwyższych lotów) wymaga kobiet na wysokich obcasach. Pilch jednak szedł krok dalej, dlatego że dla niego ubiór zawsze był obietnicą tego, co będzie później.

Jak Pilchu kobiety poznawał? Można zaryzykować, że najczęściej na spotkaniach autorskich.

Mawiał: – Najważniejsze jest, jak ona sięga po książkę na górnej półce i musi wspiąć się na palce. Wtedy napina łydki. Ideałem byłoby, jeśli one w kostce są szczupłe i dobrze sklepione w kłębie, bo wtedy widzisz, jak się przesuwa całe jej ciało pod spódnicą i wraz z napięciem łydek i mięśni dwugłowych ud napinają się pośladki. I resztę już widzisz.

Uwielbiał też kobiety w okularach z powodów podobnych. Wyobrażał sobie, że gdy zaczyna się taką okularnicę całować, to nigdy od razu nie zdejmuje się tych okularów, bo wiadomo, że to będzie ta ostatnia rzecz, którą z niej się ściągnie. Więc znowu, nawet w fazie wstępnej podboju, wyobraźnia, wyobraźnia, wyobraźnia…

Jeszcze jedna rzecz – nie był pasjonatem kobiecych biustów. A to dlatego – mawiał cynicznie – że kobiety z mniejszymi piersiami bardziej się starają. I napisał o tym znakomity esejofelieton, który po jakichś mocnych cięciach trafił do „Hustlera". I jeszcze dodawał, że naga kobieta od tyłu jest najbardziej seksowna, przypomina najwspanialsze instrumenty muzyczne i nie trzeba niczego więcej poza biodrami i pośladkami przechodzącymi w łagodną linię wiolonczeli pleców. (…)

2.

Jak Pilchu kobiety poznawał? Ano wszelako, ale można zaryzykować, że najczęściej na spotkaniach autorskich. Fanki przychodziły z wypiekami na licach, bo wcześniej zaczytały się w jego książce (książkach). Czy wpadały w zachwyt na widok mężczyzny, czy zakochiwały się w wizerunku pisarza? Niewielki trop takiej

FOT. BARTOSZ KRUPA/EAST NEWS

eprasa.pl 8bc22f5f95

sytuacji znajdujemy w wywiadzie, którego i on, i jego była dziewczyna udzielają „Twojemu Stylowi".

Oto Ewelina Pietrowiak opowiada dziennikarce, jak to przed laty zaczytała się w księgarni w książce Jerzego. I już chcieli zamykać, a ona broniła się przed wyjściem, bo musiała doczytać „Bezpowrotnie utraconą leworęczność". Pietrowiak elegancko tłumaczy, że wtedy zakochała się w człowieku – dobrym, skromnym, mądrym i przenikliwym.

Ten rozdźwięk pomiędzy sarkazmem Pilcha i emocjami jego kobiety życia, owszem – minionej kobiety, minionego życia, jest uderzająca w tej rozmowie, choć oczywiście prawdziwe jest to, że ona tłumaczy, jak jego alkoholowy problem przerastał ją, dwudziestoparolatkę. I musiała go zostawić.

A kiedy dziennikarka pyta Pilcha, czy jeśli teraz jest taki samotny, to czy ma szanse, żeby znaleźć kobietę na całe życie, Pilchu jest jak zwykle gorzko-sarkastyczny: „W wieku 64 lat sformułowanie »na całe życie« jest nieco idealistyczne. Moja matka do ojca, pół roku przed jego śmiercią, mówiła tak: – Naucz się na całe życie, że ten nóż kładzie się w ten sposób. Niedługo będę miał siedemdziesiątkę na karku i jak na pewnym ruskim filmie, będę szukał kobiety na cmentarzach, wdowy płaczącej nad grobem".

3.

Jak z kobietami rozmawiać, aby rozmowa była skuteczna?

Sztuka takiej rozmowy nie polega oczywiście na tym, że każde pytanie adresowane do niej sprowadzałoby się do tego, czy ona aby już wie, jaki ten mężczyzna jest niezwykły. I czy ewentualnie seks natychmiast? I nie taka, żeby tak doskonale zagrać zasłuchanego, iżby ona uwierzyła, że się jej naprawdę słucha.

Nie: prawdziwa rozmowa ma być taka, aby ją zrozumieć naprawdę.

– Taka, żebyś ty jej naprawdę słuchał – powtarzał po wielokroć Jerzy. – Dogłębnie, uważnie, przewidująco. A wszystko po to, aby jak najwięcej elementów wykorzystać w celu tym, co zawsze – ale w tym wypadku jednak okupionym prawdą. (…)

•

Ale bywały też gaduły jednak dużo prostsze, z chwytami może i chytrymi, ale dużo mniej wyrafinowanymi.

Rok 2001. Film „Wtorek" w reżyserii Witka Adamka. Adamek, zaprzyjaźniony z Pilchem od czasu „Spisu cudzołożnic", tu obsadził go w roli Jerzego, właściciela fabryki krasnali ogrodowych. Produkcja ta, aczkolwiek w pełni profesjonalna (w roli głównej Paweł Kukiz) miała jednak ciekawy, powiedzieć można – szaleńczy rys. Otóż scenariusz był tylko szkicem, a Pilchu nie tylko nie miał swego tekstu, ale namówiono go na improwizację na planie. I scena jest taka oto: Jerzy Od Krasnali poucza dwóch młodzianów, na czym polega miłość. Wywód, swoją drogą, znakomity i jakżeż luterski.

„Kłopoty z kobietami, panowie, to są kłopoty, które nigdy nie mijają. A w waszym wypadku zwłaszcza nie miną. Widać to gołym okiem. Widzę to w błysku i intuicji, że popełnialiście te same błędy, które ja popełniałem. Nie widziałem nigdy kobiety w kobiecie. Szedłem do knajpy i gapiłem się na kelnerkę, zamiast widzieć w niej kobietę albo nawet abstrakcję kobiety. Jechałem pociągiem i nie dbałem o to, gdzie dojadę, tylko szukałem przedziału, żeby dosiąść się gdzie do jakiej interesującej niewiasty. Nie widzieliście w kobiecie Pana Boga, a w Piśmie jest powiedziane: Gdzie dwoje się zejdzie, tam jestem między nimi. Kto to mówi, panowie? Pan Bóg to mówi".

Aż tu nagle wchodzi w kadr nadobna, młoda niewiasta, którą (jak się okaże) filmowy bohater kiedyś rwał. Dialog, który Pilchu na tę okazję wymyślił *ad hoc*, a zatem nie tylko z głowy, ale zapewne i z doświadczeń, leci jakoś tak:

„Ona: Jurek?

Jerzy: Agnieszka? Cześć.

Ona: Jurku, czy ty pamiętasz?

Jerzy: Ja nie tylko pamiętam, ja cały czas myślę o tym przecież.

Ona: Pamiętasz, kiedy się spotkaliśmy?

Jerzy: Myśmy się spotkali… W autobusie żeśmy się spotkali. Siedziałaś, czytałaś książkę. Ja wstałem, podszedłem do ciebie i zapytałem: – Przepraszam, co pani czyta?

Ona: A pamiętasz, co ci wtedy odpowiedziałam?

Jerzy: Kunderę. Powiedziałaś, że czytasz Kunderę.

Ona: Ale ty, Jurku, nie wiedziałeś wtedy, że Kundera to jest nazwisko autora.

Jerzy: Wiedziałem. Wiedziałem, tylko cię okłamałem wtedy. Bo wiesz, chciałem jak najprędzej być z tobą i chciałem, żebyś miała przewagę intelektualną nade mną.

Ona: Naprawdę?

Jerzy: Ale już więcej cię nie okłamię, bo teraz wiem, że ty masz nade mną przewagę pod każdym względem i chcę być z tobą po prostu".

I dwie uwagi dodatkowe Pilcha na temat chwytów formalnych przy rozmowach.

Wariant A: – Zaproponować seks, wiedząc, że nic z tego nie będzie? Ale sława pozostanie – żartował.

Wariant B: – Nigdy nie przechodzimy od razu na „ty", bo czekamy na chwilę, gdy będziemy mogli wypić bruderszaft z całowaniem.

•

Oczywiście nawet w kwestiach zawodowych (wywiad itp.) wolał się spotykać z kobietami, z kobietami rozmawiać. Wielokrotnie podkreślał, że – wyłączywszy przyjaciół – takie rozmowy są lepsze, ciekawsze. „Jak się rozmawia z kobietą, to jest się zmuszonym do większej uwagi, do pewnego rodzaju elegancji, do większej delikatności. Te kategorie nie wpływają źle na rozmowę, one pomagają. Kiedy rozmawiam z facetem, łatwiej mi przychodzi zakląć. Oczywiście to nie oznacza, że nie zdarza mi się użyć grubego słowa w rozmowie z kobietą, ale bardziej się miarkuję. A miarkować to często znaczy myśleć".

4.

Faza kolejna już po rozpoznaniu, poznaniu i rozmawianiu to pozycja wyjściowa, częściej zwana przez Pilcha pozycją pierwszą.

„Znaleźć miejsce na zajęcie pozycji pierwszej, a następnie zająć pozycję pierwszą – oto jest w seksie kwestia fundamentalna. Fundamentalna przez to, że początkowa, bez tego nie ma żadnych dalszych ciągów,

Do zapoznawanych kobiet kierował żartobliwą przestrogę: „Rzuć go – ale pamiętaj: ja ci niczego nie obiecuję".

eprasa.pl 8bc22f5f95

a nawet jak są, to chaotyczne i nieharmonijne. Chaos zaś i brak harmonii są zagładą seksu. Słowem, chodzi o to, żeby usiąść we właściwym miejscu. Pozycja pierwsza jest zawsze pozycją siedzącą – kombinowanie, że niby razem podchodzimy do okna i pod tym oknem albo w drodze powrotnej ją obejmę; albo… zupełna katastrofa, jaką jest czatowanie na jej powrót z łazienki i wtedy romantyczny skok na plecy – takie kombinowanie jest klęskowe przez to, że skazuje na krótkotrwałość. Ile z nią będziesz stał pod tym oknem? […]

W moim najgłębszym przekonaniu dobrze usiąść obok kobiety to jest sedno sztuki miłosnej. Kto prostotę tego kunsztu pojmie – wiele się nauczył".

I dodawał, ze swoim inteligentnym szyderstwem, żartobliwy, quasi-naukowy przypis: „[…] używam tego terminu w sensie klasycznie filozoficznym. […] Pozycja pierwsza jest analogią do Arystotelesowskiej – *prote philosophia* – filozofii pierwszej. Rzecz jasna, wyćwiczyć się w pojmowaniu: zajmowaniu pozycji pierwszej można i bez wiedzy o Arystotelesie – ale wtedy smak cielesnego obcowania jest wątlejszy". (…)

Nawet w kwestiach zawodowych (wywiad itp.) Pilch wolał się spotykać z kobietami. Podkreślał, że takie rozmowy są lepsze, ciekawsze.

•

Słowem: nie traćmy czasu, szybki atak i seks na pierwszej randce. Chyba że się nie da… A, to wtedy rozsnuwamy opowieść wrażliwą, pełną empatii i filozofii spotkania. Ale też nie za długo. Bo czasami widać, że nic z tego nie będzie, więc nie traćmy czasu i idźmy dalej.

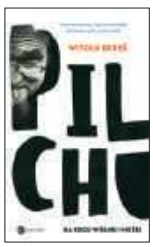

Pani X wspomina, że choć kilka razy Pilchu podchodził przy niej do pozycji pierwszej, to jednak nigdy, przenigdy nie pomyślała, że Jerzy jest pociągający erotycznie. I sarkastycznie komentuje jego (nasz, męski) świat:

– Nawet przez sekundę mi nie przyszło do głowy, że można go objąć, przytulić, jakieś erotyczne podteksty. Nie był w moim typie może. Obiektywnie rzecz biorąc, przystojny, postawny, fantastycznie dowcipny, wrażliwy, Bóg wie co jeszcze. Ale absolutnie byłam przy nim bezpieczna. Może dlatego mnie to tak wszystko dziwiło z tymi jego gadkami, że zawsze trzeba wyjść na to boisko i próbować, a potem się okaże.

Śmiechu warte. Jasne, oczywiście. Wyjść i próbować. Przecież wszyscy na to czekają. Świat by się zawalił, jakbyście nie próbowali. (…)

Fragmenty książki Witolda Beresia *Pilchu. Na rogu Wiślnej i Hożej*, Wielka Litera, Warszawa 2021

eprasa.pl 8bc22f5f95

FESTIWAL

27. MIĘDZYNARODOWY PLENEROWY FESTIWAL JAZZ NA STARÓWCE
Andrzej Jagodziński Trio – Bach

Album „Chopin", nagrany w 1993 r. i obsypany laurami, w tym Fryderykiem, stał się dla tria Andrzeja Jagodzińskiego kamieniem milowym na drodze do sławy. Kolejny krążek, „Chopin Once More" z 1999 r., został nagrodzony Złotą Płytą. Tym razem znakomitego pianistę, akordeonistę, kompozytora i aranżera zainspirowała twórczość Jana Sebastiana Bacha. W odróżnieniu od muzyki Chopina, w której złożone harmonie i wysmakowane melodie były podstawą do improwizacji, w przypadku Bacha dla Jagodzińskiego oraz kontrabasisty Adama Cegielskiego i perkusisty Czesława „Małego" Bartkowskiego inspiracją jest wielogłosowość z nieskończonymi możliwościami przenikania i wpływania na siebie poszczególnych głosów.

WARSZAWA, RYNEK STAREGO MIASTA, 24 LIPCA, GODZ. 19 *(ap)*

KURTYNA W GÓRĘ

JĄDRO WYOBRAŹNI

Jeśli jesteście znudzeni standardowymi adaptacjami powieści w teatrze, zobaczcie „Jądro ciemności" według Conrada w reżyserii Pawła Łysaka. Zostaniecie zabrani w podróż w dorzecze Konga, choć nie ruszycie się z fotela. Brzęczenie komarów, szum wody czy świst wiatru będą imitować aktorzy na waszych oczach. Ale możecie się poddać własnej wyobraźni i zamknąć oczy, bo zostaniecie wyposażeni w profesjonalne słuchawki. Będzie to więc rodzaj słuchowiska radiowego z dyskretnym ukazaniem kulis produkcji. W końcu zaś powiedzą wam, że Conrad niczego nie wyjaśnia. A dla odprężenia odbędziecie wakacyjny kurs obrony przed atakiem rekina.

Bronisław Tumiłowicz

„Jądro ciemności" na podstawie opowiadania Josepha Conrada, reżyseria Paweł Łysak, Teatr Powszechny w Warszawie, premiera 18 czerwca 2021

NA EKRANACH

PO ZŁOTO. HISTORIA WŁADYSŁAWA KOZAKIEWICZA

reż. Ksawery Szczepanik, prod. Polska, w kinach od 23 lipca

Z czym kojarzy się wam Władysław Kozakiewicz? Z wybitnymi osiągnięciami sportowymi potwierdzonymi tytułami mistrza Polski, Europy i świata, czy z gestem, który wykonał na letnich igrzyskach olimpijskich w Moskwie w 1980 r., gdy wygwizdywała go radziecka publiczność? Ksawerego Szczepanika interesują blaski i cienie sławy, więc stara się dociec przede wszystkim, co działo się po tym, jak Kozakiewicz został bohaterem narodowym i mówili o nim wszyscy. To wątek interesujący, bo skupiony na zderzeniu dwóch wersji tej samej historii. Z jednej strony, mamy tyczkarza przekonanego, że śmiałość, na którą się zdobył, wpłynęła negatywnie na jego życie i karierę, z drugiej – ludzi, którzy pamiętają, na jak dobrym poziomie żył po powrocie z Moskwy. Sprzężenie sportu i polityki jest w tym filmie najciekawsze. Zwłaszcza w kontekście reżyserowania przez władzę olimpijskiej publiczności, która gwizdami, buczeniem i krzykami miała przyczynić się do tego, że igrzyska wygra Rosjanin.

Artur Zaborski

BYLIŚMY

KERMES SOPRANOWY SHOW

Rewelacyjna Simone Kermes uświetniła galę zakończenia 30. Festiwalu Mozartowskiego. Jej występ był perfekcyjnie zaplanowany, pokazywał wszystkie walory głosowe, aktorskie i promocyjne tej osobowości artystycznej. Przy tym ogromny temperament i talent do nawiązywania kontaktu z publicznością pozwoliły oczarować widzów o rozmaitym przygotowaniu muzycznym. Sopranistka z wyjątkową swobodą stworzyła prawdziwy *show* łączący muzykę Mozarta, Haendla, Bernsteina, a nawet przebój Marleny Dietrich. Mozart byłby dumny z takiej gwiazdy i z pewnością przybyłby do Warszawskiej Opery Kameralnej.

Franciszek Jacik

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 8bc22f5f95

Rozmawia Bartosz Rumieńczyk

Europa bez klatek

Do 2023 r. Komisja Europejska przygotuje przepisy zakazujące hodowli klatkowej zwierząt

Historia dzieje się na naszych oczach. Komisja Europejska poparła zakaz hodowli klatkowej zwierząt.

– Owszem, jest to wydarzenie historyczne, i to pod różnymi względami. To szósta w historii Unii Europejskiej inicjatywa obywatelska, która zaszła tak daleko, a pierwsza, która doczekała się pozytywnej odpowiedzi Komisji Europejskiej, w dodatku pierwsza inicjatywa na rzecz zwierząt hodowlanych. Dziś KE jasno powiedziała: chcemy zakończyć epokę klatkową, chcemy wycofać się – stopniowo, co ważne – z hodowli klatkowej zwierząt na terenie Unii i zrobimy w tym kierunku wszystko, co należy zrobić. Bardzo jasny komunikat.

Komisja Europejska ma do 2023 r. przedłożyć konkretny projekt prawny, który będzie zmierzał do całkowitego zakazu klatek. Ale zacznijmy od początku: dlaczego w ogóle powinniśmy klatek w hodowli zakazywać?

– Bo to najokrutniejsza forma hodowli zwierząt. Klatka jest symbolem zniewolenia każdej czującej istoty. A te zwierzęta hodowlane są zniewalane wyłącznie na potrzeby naszych talerzy.

Mówimy tu o 300 mln zwierząt w całej Unii Europejskiej.

– A ok. 43 mln w Polsce – to tak, jakby każdy Polak i każda Polka, włączając w to dzieci, mieli w domu, np. pod łóżkiem, zwierzę w klatce, a niektórzy nawet po kilka.

Najwięcej w Polsce w klatkach jest kur niosek, bo aż 40 mln. W jakich warunkach żyją i składają jaja?

– Nioski są zamykane w klatkach po 20-80 sztuk, każda ma do dyspozycji powierzchnię mniej więcej kartki papieru A4. Klatki stoją w wielkich hangarach, gdzie może być nawet po 100 tys. ptaków. To w niczym nie przypomina tradycyjnych kurników. W Europie już ponad połowa hodowanych kur jest poza klatkami, choć to wciąż chów ściółkowy, a jeszcze nie wolny wybieg. W klatkach z kolei najwięcej jest królików, szczególnie na południu Europy, ale nie tylko, bo i w Polsce hodowanych jest ok. 1 mln królików.

Wiemy, w jakich warunkach żyją?

– Przeprowadziliśmy w tej sprawie śledztwo, warunki niczym się nie różnią od tych na południu kontynentu. Na królika, podobnie jak na kurę, przypada powierzchnia formatu A4, a przecież jest to zwierzę większe. Tak jak kura nie ma szans na pełne rozprostowanie skrzydeł, tak królik nie może podskoczyć czy stanąć na tylnych łapach ani nawet się wyciągnąć. Jest trzymany w ciasnej, małej klatce, zupełnie surowej. Nagminne są okaleczenia, zwierzęta wyszarpują sobie futro ze stresu, to problemy obserwowane, gdy mamy do czynienia z hodowlą zwierząt w dużym ścisku. Bardzo przygnębiające miejsca.

Zakaz klatek może odmienić ich los.

– I to jest kolejny przełom, bo w Unii na razie nie ma żadnych regulacji odnośnie do hodowania królików, żadnych wymogów minimalnych. Decyzja Komisji Europejskiej oznacza więc też, że pojawią się – po raz pierwszy – przepisy dotyczące hodowli tych zwierząt.

Tak jak w przypadku innych zwierząt, np. gęsi i kaczek.

– W Polsce mamy zakaz hodowli gęsi i kaczek na *foie gras*, ale w innych krajach ta hodowla jest bardzo rozwinięta. Ujednolicenie przepisów może doprowadzić do końca tego okrutnego procederu, jakim jest przetrzymywanie trzy-, sześciomiesięcznych kaczek i gęsi w klatkach i wtłaczanie im do przełyku niemal 2 kg karmy dziennie, co doprowadza do stłuszczenia wątroby, z której produkuje się pasztet, przysmak kuchni francuskiej.

Widmo zniknięcia *foie gras* zapewne zrodzi protesty.

– Liczymy się z protestami, całe południe Europy hoduje króliki, ponad 100 mln, głównie we Francji, Włoszech i Hiszpanii, w Polsce mamy miliony niosek w klatkach, ale trzeba też pamiętać o tym, co podkreślał wielokrotnie komisarz

Klatka jest symbolem zniewolenia każdej czującej istoty. A zwierzęta hodowlane są zniewalane wyłącznie na potrzeby naszych talerzy.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 8bc22f5f95

MAŁGORZATA SZADKOWSKA

– prezes polskiego oddziału organizacji Compassion in World Farming, która stoi za inicjatywą Koniec Epoki Klatkowej

Janusz Wojciechowski, a dziś mówi komisarz Stella Kyriakides: potrzebne są okres przejściowy i wsparcie finansowe. Komisja Europejska zobowiązała się więc, że nie zostawi hodowców samym sobie. Fundusze unijne powinny zostać wykorzystane na transformację w kierunku Europy bezklatkowej i to jest coś, co postulowaliśmy od samego początku, bo fundusze unijne powinny być pożytkowane na poprawę losu zwierząt.

Zresztą na razie nie widać wielkich protestów – hodowcy wydają się pogodzeni z koniecznością zmian, wielu gigantów z branży popiera zakaz, np. Ferrero, Nestlé, Mondelēz International (właściciel marek Prince Polo, Milka czy Delicje Szampańskie), Unilever (m.in. lody Algida i majonez Hellman's). Zakaz klatek poparli również europarlamentarzyści podczas wysłuchania trzy miesiące temu.

Wysłuchania, które, dodajmy, przebiegło w spokojnej atmosferze i było wyjątkowo merytoryczne, co docenili zarówno entuzjaści zakazu, jak i sceptycy. Czy sam zakaz klatek oznacza, że cała Unia pójdzie w stronę chowu na wolnym wybiegu?

– Wolne wybiegi i produkcja ekologiczna, jeśli chodzi o dobrostan zwierząt, to najlepsze rozwiązania, ale mamy także rozwiązania pośrednie, np. chów ściółkowy, choć akurat my go nie rekomendujemy. Jako fundacja jesteśmy ekspertami od dobrostanu zwierząt i zawsze rekomendujemy hodowcom wybiegi otwarte i brak ograniczeń dla zwierząt, by np. świnie mogły rodzić w jak najbardziej naturalnych dla siebie warunkach, by mogły budować gniazdo i by prosięta mogły spędzać swoje pierwsze tygodnie z matkami, a nie w klatce i oddzielane prętami, jak to jest obecnie.

Hodowcy, z którymi rozmawiałem, mówią z kolei, że zamknięta hodowla jest bezpieczna dla zwierząt, bo odseparowuje je od zagrożeń z zewnątrz, np. hałasów, drapieżników, wirusów, i tym samym nie naraża ich na straty. Czy hodowca będzie czerpał jakikolwiek zysk z przestawienia się na chów bezklatkowy?

– Z dostępnych analiz ekonomicznych wynika, że systemy wolnowybiegowe są najbardziej dochodowe, ponieważ produkty z takich hodowli są obłożone wyższą marżą niż z produkcji przemysłowej. Jeśli chodzi zaś o wirusy, ale i o inne patogeny, to szybciej przenoszą się one w dużym ścisku, a przecież tak wygląda chów klatkowy. W hodowlach ekologicznych nie podaje się prewencyjnie antybiotyków, a wiemy, że w przemysłowej ma to miejsce, właśnie po to, by zapobiegać rozprzestrzenianiu się wirusów, co nie zawsze jest skuteczne, jak widzimy dziś w przypadku ptasiej grypy w Polsce.

> Na królika, podobnie jak na kurę, przypada powierzchnia formatu A4.

Mniej więcej pół roku temu wydano raport oceniający efekty wprowadzenia zakazu hodowli klatkowej, z uwzględnieniem spadku popytu na produkty pochodzenia odzwierzęcego, zgodnie z obowiązującym obecnie trendem. We wszystkich trzech rozważanych scenariuszach eksperci wykazali, że taka transformacja będzie korzystna i dla zwierząt, i dla środowiska (tu pod uwagę brano aspekt klimatyczny), i dla ludzi.

Szacuje się też, że w dłuższej perspektywie zarobki hodowców wzrosną, choć oczywiście potrzeba na to i czasu, i pieniędzy. Będą konieczne i inwestycje, i nauka nowego rodzaju hodowli, ale wszyscy na tym skorzystają, także hodowcy. ■

POLSKI CZERWONY KRZYŻ
WWW.BADZBEZPIECZNY.PCK.PL
RAZEM W WALCE Z KORONAWIRUSEM!
POMÓŻ NAM POMAGAĆ, WPŁAĆ NA KONTO PCK
16 1160 2202 0000 0002 7718 3060
Z DOPISKIEM KORONAWIRUS

eprasa.pl 8bc22f5f95

Śladami hiszpańskiej muchy

Czym zdesperowanych panów kuszą drogerie

Anna Brzeska

Pamiętacie państwo ów słynny afrodyzjak, który miał rzucać oziębłe kobiety w ramiona panów, a panom cudownie dodawać męskości? Okazuje się, że w sieci wciąż pełno kryjących się pod tą nazwą ofert sprzedaży „miłosnych eliksirów", obiecujących „niesamowitą chęć pożądania" i wielokrotne orgazmy.

Mało kto jednak wie, że sprzedaż i stosowanie w produktach leczniczych oraz suplementach diety kantarydyny (wydzielana przez pewien gatunek chrząszczy, jest głównym składnikiem hiszpańskiej muchy), działającej drażniąco na zakończenia nerwowe i śluzówki układu moczowo-płciowego, są od dawna zabronione ze względu na jej toksyczność i prozapalność. Obecnie sprzedawane krople zawierają już więc wyłącznie popularny w suplementach aminokwas zwany argininą, w dodatku zwykle w nieznanej dawce, witaminę C oraz konserwanty. Nie dajmy się oszukać.

Tabletka tabletce nierówna

Bardziej obiecująco wygląda to, co znajdziemy w aptekach i drogeriach, których półki uginają się od nowszych zdobyczy medycyny dla panów. Czy jednak osoby cierpiące na realne zaburzenia wzwodu mogą mieć nadzieję, że bez recepty rozwiążą swoje problemy?

Wszystko zależy od tego, jaki preparat wybierzemy i jaka jest przyczyna dysfunkcji. Najważniejsze, że wśród preparatów sprzedawanych bez recepty od kilku lat można znaleźć przebadane i skuteczne produkty lecznicze zawierające sildenafil, czyli tę samą substancję, którą zastosowano w viagrze. Leki różni jedynie dawka – produkty dostępne od ręki zawierają zwykle 25 lub 50 mg sildenafilu, viagra zaś może zawierać nawet 100 mg substancji czynnej. Najwyższa dawka jest oczywiście najskuteczniejsza, jednak u wielu pacjentów już 25 mg przyniesie pożądany efekt. Raczej pozytywną opinię o dostępności bez recepty produktów z sildenafilem i jego pochodnymi ma seksuolog, dr n. med. Stanisław Dulko*.

– W wielu przypadkach jest to korzystne, ponieważ mężczyźni często podejmują sami decyzję o przyjmowaniu tego leku. Przyczyny mogą być różne. Po pierwsze, nie wszędzie znajdą dobrego specjalistę – tłumaczy dr Dulko. – Po drugie, wielu mężczyzn wciąż uważa, że taka wizyta jest uszczerbkiem dla ich męskości. Niestety, w naszym społeczeństwie wciąż funkcjonuje wiele uprzedzeń i legend na temat wizyt u seksuologa i niektórym nie pomaga fakt, że w ostatnich latach znacznie polepszył się dostęp do specjalistów, szczególnie dzięki wizytom online. Produkty lecznicze zawierające sildenafil dostępne bez recepty to szansa dla osób, które do lekarza i tak nie pójdą.

Przeciwwskazaniem do stosowania sildenafilu są m.in. choroba niedokrwienna serca, nadciśnienie tętnicze i przebyty niedawno zawał serca lub udar.

Mimo tej możliwości lekarz nie ukrywa, że wizyta u seksuologa jest lepszym wyborem: – W wielu przypadkach problemy z erekcją wynikają z prostego ewolucyjnego mechanizmu. Wygląda to tak: z jakiegoś powodu komuś pewnego razu nie wyszło. Może za mało zjadł, może był zmęczony, może za dużo wypił. Ale za każdym kolejnym razem pamięta, że w tym ważnym, delikatnym obszarze poniósł porażkę. Jego mózg w sytuacjach intymnych odbiera

eprasa.pl 8bc22f5f95

więc informację o zagrożeniu. To uruchamia u niego mechanizm walki i ucieczki, ciało zaczyna zwiększać dostawy krwi przede wszystkim do mięśni nóg i rąk. Nasi przodkowie nie mieli przecież F-16 ani UZI, tylko mięśnie. W sytuacji zagrożenia krew jest więc zabierana z mózgu, z przewodu pokarmowego i oczywiście z członka. Ten w czasie spoczynku zawiera 35-50 ml krwi, ale do pełnej erekcji potrzebuje od 150 do 250 ml krwi, którą musi skądś wziąć. Dlatego zawsze powtarzam pacjentom, że trzeba w sobie budować taką postawę, że seks to radość, przyjemność i nagroda – musi zatem być poprzedzony drobnymi gestami, SMS-ami, upominkami, spojrzeniami, kwiatami, tworzeniem nastroju przez muzykę czy wzajemnymi masażami. Tak, aby nawet w stresie i przemęczeniu móc zrzucić z siebie ten niepokój, a nie czuć się zagrożonym jak u surowej pani profesor na egzaminie.

Wizyta u seksuologa jest też wskazana z innego względu. – Z ulotki czy reklamy nie zawsze dowiemy się, jak te leki przyjmować, a obietnice szybkiego działania mogą być wyłącznie chwytem marketingowym – wyjaśnia specjalista. – Zwykle tego typu leki muszą być przyjęte co najmniej dwie godziny przed zdarzeniem intymnym, a pacjenci często tego nie przestrzegają, bo na opakowaniu przeczytali, że może to być pół godziny czy godzina. Poza tym nie każdy wie, że między posiłkiem a aktywnością seksualną powinna nastąpić co najmniej dwugodzinna przerwa. Jeśli zatem ktoś planuje stosunek na godz. 21, powinien zjeść niezbyt obfity posiłek około godz. 17, a o 19 przyjąć tabletkę. Są też takie leki, które należy przyjąć cztery-pięć godzin wcześniej, np. cialis, ponieważ największe stężenie substancji czynnej we krwi wystąpi właśnie po tym czasie. Mamy także na rynku tabletki do przyjmowania pod język, działające już po 15-30 minutach, wchłaniane przez błonę śluzową jamy ustnej, dzięki czemu przyjmowanie ich jest niezależne od picia czy jedzenia. Takiego działania nie będą miały jednak żadne produkty wchłaniane z żołądka.

I jeszcze jedno – przeciwwskazaniem do stosowania sildenafilu są m.in. choroba niedokrwienna serca, nadciśnienie tętnicze oraz przebyty niedawno zawał serca lub udar. Wizyta u lekarza pozwoli rozwiać wątpliwości co do bezpieczeństwa stosowania u danej osoby.

Arginina – naciąganie naiwnych?

Nie wszystkie pigułki dostępne w drogeriach zawierają jednak sildenafil lub jego pochodne. Wiele innych to już nie leki, lecz suplementy, które jako substancję czynną zawierają zwykle argininę. Naukowcy z różnych ośrodków badali ją pod kątem działania w zaburzeniach erekcji o łagodnym i średnim natężeniu. Niestety, choć kilka badań wykazało pewną skuteczność argininy, inne jej nie potwierdziły.

– Jeśli tego typu preparaty mają być porównywane do sildenafilu i jego pochodnych, muszą przejść tę samą, zgodną ze standardami procedurę badań klinicznych co sildenafil – mówi dr Dulko. – Niestety, przeprowadzenie badań klinicznych III fazy wymaga ogromnych pieniędzy. Sceptycznie podchodzę więc do możliwości przeprowadzenia badań nad argininą, jeśli miałaby konkurować z sildenafilem, środkiem skutecznym, mającym już wieloletnią tradycję i sprawdzonym na milionach pacjentów. Niewielu producentów stać na takie badania, ale bez ich przeprowadzenia zalecenie przyjmowania tego typu suplementów może być ryzykowne, gdyż nie wiemy, jak na odpowiednio wysoką, skuteczną dawkę argininy będzie reagował organizm w wieloletniej perspektywie.

No właśnie – dawka. Dotychczasowe badania wykazywały najczęściej, że arginina może być skuteczna dopiero przy dawkach kilkugramowych. Większość dostępnych na rynku suplementów oferuje tabletki z dawką nieprzekraczającą kilkuset miligramów.

Ziółka, żeń-szenie i inne korzenie

W sieci i aptekach bez trudu znajdziemy również suplementy zawierające rozmaite wyciągi z roślin typu żeń-szeń, korzeń maca czy miłorząb japoński. Czy mogą być skuteczne?

Dr Dulko: – Przede wszystkim mogą dać efekt placebo, czyli sugestię, że wszystko się uda. Zawarte w nich składniki witaminowe, elektrolity itp. też mogą być użyteczne, ale bardziej profilaktycznie czy ogólnie prozdrowotnie. Warto być świadomym, że w realnych zaburzeniach erekcji, mogących wynikać z procesów chorobowych – takich jak nadciśnienie, cukrzyca, miażdżyca czy zaburzenia psychiczne, na które nakłada się jeszcze działanie leków, zwłaszcza przeciwlękowych, poprawiających nastrój czy przeciwdepresyjnych – stosowanie tego typu suplementów może dać efekt odwrotny do zamierzonego. Jeśli bowiem ktoś usłyszał w reklamie lub od znajomych o ich rzekomo wspaniałym działaniu, a jemu nie pomogły, może wpaść w panikę, pomyśleć sobie: muszę być poważnie chory, skoro koledze pomogło, a mnie nie. Tego typu specyfiki to broń obosieczna. Oczywiście jeśli są oficjalnie dopuszczone do sprzedaży jako suplementy, można je przyjmować, jednak należy mieć na uwadze, że niekoniecznie jest to preparat, który rozwiąże nasze problemy.

Jak podkreśla dr Dulko, to stres jest jedną z głównych przyczyn zaburzeń erekcji u osób poniżej 45 roku życia. Na drugim miejscu seksuolog wymienia przemęczenie, a następnie kłopoty ze snem, depresję, nadciśnienie czy stan zagrożenia cukrzycą II typu. – Na szczęście mamy rozwinięte poradnictwo seksuologiczne i całą paletę różnego rodzaju skutecznych preparatów, choćby słynną viagrę, czyli sildenafil, plus dziesiątki jego odmian. Dlatego do suplementów należy mieć dystans, nie przeceniać ich, aby przy braku spodziewanego działania nie utwierdzić się w przekonaniu o swojej niesprawności.

Suplementy diety zawierają aminokwas zwany argininą, zwykle w nieznanej dawce, witaminę C oraz konserwanty.

* Dr n. med. Stanisław Dulko przyjmuje pacjentów w Klinice PsychoMedic oraz Poradni Zdrowia Psychicznego EDUCATIO w Warszawie.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 8bc22f5f95

Chińska recepta na zdrowie

Podstawą kuchni Pięciu Przemian jest dobra intencja, która ma towarzyszyć przygotowywaniu posiłków

Rozmawia Paula Leśniewska

Czym jest kuchnia Pięciu Przemian?

– Kuchnia Pięciu Przemian to gotowanie energetyczne i intencjonalne. W medycynie chińskiej, z której ten sposób przyrządzania jedzenia się wywodzi, uważa się, że energia wywiera wpływ na materię. Dlatego nasz stan emocjonalny podczas pichcenia jest arcyważny. Chińczycy mówili kiedyś, że kucharz nie może być w złym nastroju, bo potruje ludzi. Podstawą kuchni Pięciu Przemian jest dobra intencja, która ma towarzyszyć przygotowywaniu posiłków, a obok niej smaki, a także kolory pożywienia.

Smaki i kolory to „przemiany"?

– Tak, ale to tylko część każdej z przemian. Przemiany, inaczej żywioły, ruchy, elementy – różnie jest to nazywane – wywodzą się z obserwacji przyrody, pór roku. Jeden element przemienia się w drugi, stąd ta nazwa. Kolejno mamy Przemianę Drzewa, Ognia, Ziemi, Metalu i Wody, a potem znów Drzewa, ponieważ to niekończący się ruch. Kuchnia Pięciu Przemian polega na naśladowaniu tego cyklu. Do każdej przemiany przyporządkowany jest konkretny smak. Liczy się nawet maleńka szczypta. Smaki dodajemy do potraw po kolei. Drzewo to kwaśny, Ogień – gorzki, Ziemia – słodki, Metal – ostry, Woda – słony. Uwaga – nie zawsze są to dosłownie smaki, które odczuwamy na języku. Patrzymy na nie głównie pod względem działania w organizmie, dlatego jeden produkt może mieć więcej niż jeden smak. Na początku przypisanie smaku do przemiany może sprawiać trudności, dlatego uczę, by zaczynać z tabelkami Pięciu Przemian lub z gotowymi przepisami. Są dostępne np. w moich książkach i w internecie.

Niekiedy nie wiadomo, czy cebula jest ostra, czy słodka. Do jakiej przemiany pasuje?

MONIKA BIBLIS
– autorka książek i edukatorka gotowania według Pięciu Przemian

– Surowa cebula jest ostra. Ale już cebula gotowana czy zeszklona na patelni przejdzie w smak słodki. I jeśli chcemy ją dodać do gotowej potrawy, to właśnie w smaku słodkim (Ziemi). Z doniesień moich kursantów i czytelników wiem, że zapamiętanie smaków produktów zajmuje średnio trzy-cztery miesiące, jeśli gotuje się dzień w dzień. Zmiany trzeba wprowadzać krok po kroku, powoli i bez fanatyzmu. Fanatyzm bardzo zakłóca zdrowie. Wystarczy, że będziemy żyć w 80% „idealnie", a 20% zostawimy sobie luźne. Spokój i radość jedzenia to ważne elementy dobrego trawienia i przyswajania składników odżywczych.

Jak wygląda przygotowanie potrawy według kuchni Pięciu Przemian?

– Jak już mówiłam, posługujemy się smakami w kolejności. Pokażę to na przykładzie jajecznicy z pomidorem i szczypiorkiem, czyli czymś, co jest na czasie i co robi się szybko. Najpierw sparz i obierz ze skórki pomidora, pokrój tyle, ile potrzebujesz. Skrój szczypiorek. I teraz: na rozgrzaną patelnię wrzuć kawałek sklarowanego lub zwykłego masła i jajka (Przemiana Ziemi). Potem dodaj szczypiorek, pieprz do smaku (Przemiana Metalu), sól (Przemiana Wody), kawałki pomidora (Przemiana Drzewa), ciut kurkumy (Przemiana Ognia). Mieszaj do uzyskania pożądanej konsystencji – i gotowe.

Co daje taka, a nie inna kolejność dodawania składników?

– Przede wszystkim równowagę energetyczną i bogaty smak potraw. Powiem więcej: potrawy gotowane w ten sposób dłużej zachowują świeżość.

Słyszałam, że gotowanie według Pięciu Przemian to leczniczy sposób żywienia. Komu może pomóc?

– To zależy od składników, jakich używamy. Jeśli są naturalne, dobre jakościowo i dopasowane do osoby, to jak najbardziej staje się to sposobem na lecznicze żywienie. Pomóc może każdemu, oczywiście w różnym stopniu. Przy poważnych schorzeniach dieta to punkt wyjścia, ale równie ważne są np. zalecane zioła i zabiegi oraz leki medycyny konwencjonalnej.

> Chińczycy mówili kiedyś, że kucharz nie może być w złym nastroju, bo potruje ludzi.

Zna pani jakieś przykłady?

– Ja gotowaniem według Pięciu Przemian wyleczyłam córkę z ciężkiej atopii skórnej, na którą zachorowała jako niemowlę. To był trudny czas weryfikacji mojej wiedzy i udało się. Dlatego napisałam pierwszą, a potem kolejne książki, by pokazać ten sposób gotowania innym. Dawno temu jedna z moich klientek zaszła w upragnioną ciążę, po tym jak kilka miesięcy intensywnie gotowała według Pięciu Przemian. Wcześniej żywiła się sałatkami, jogurtami, piła dużo wody mineralnej, czyli używała głównie produktów zimnych i surowych. Moje przepisy wprowadziły

eprasa.pl 8bc22f5f95

do organizmu ciepło, pobudziły energię, krążenie i lepsze trawienie, co według jej stanowczej deklaracji pomogło zajść w ciążę.

Czy gotowanie w ten sposób jest czasochłonne?

– To zależy. Jeśli chcemy otrzymać potrawę mocno leczniczą, np. *congee*, to gotujemy ją długo – cztery godziny. Podobnie jest z zupami mocy. Widziałam chińskie receptury bulionu z kurczaka dla kobiet po porodzie, który gotuje się powoli przez kilka dni. Na co dzień jednak gotujemy normalnie, przy czym zimą dłużej, a latem krócej. Wynika to z tego, co się dzieje w przyrodzie. Zimą jest zimno (dominuje *Yin*), więc należy dłużej gotować, aby uzyskać jak najwięcej ciepła wewnętrznego i odporności na chłód. W dietetyce chińskiej im coś dłużej gotowane, tym ma więcej *Qi* (energii) i *Yang* (ciepła). Dlatego rosoły i długo gotowane potrawy są wskazane zimą. Natomiast latem naturalnie dominuje *Yang* (ciepło), dlatego, by zachować równowagę, gotujemy krótko oraz spożywamy małe ilości sezonowych produktów na surowo (jeśli ktoś dobrze trawi surowiznę). Wiosną i jesienią dopasowujemy długość gotowania do temperatury za oknem, bo z tym bywa różnie. Tak robiły nasze babcie, warto tam szukać korzeni dobrej, sezonowej kuchni. Czasochłonność zależy też od składników. Dłużej trwa obróbka mięsa niż warzyw.

Jaka żywność jest ochładzająca, a jaka ocieplająca?

– Chłodne są owoce, pomidory, sałaty, nabiał, większość warzyw strączkowych. Ogrzewają: mięso, cebula, czosnek, część zbóż. Są też produkty neutralne termicznie, np. jajka, ziemniaki, marchew, ryby, większość zbóż, oleje. Oczywiście można sterować tą termiką i czynić pewne produkty bardziej ocieplającymi, np. przez prażenie, lub ochładzającymi – przez ukiszenie. Są także produkty skrajne: gorące (mocno *Yang*) i oziębiające (mocno *Yin*), które spożywamy rzadko lub jako dodatki. Na przykład kawa, wysokoprocentowe alkohole, wędzone kiełbasy, bardzo ostre przyprawy, takie jak imbir, pieprz cayenne, ale też cynamon, mocno rozgrzewają, natomiast mrożonki, lody, owoce południowe, lodowate napoje, mięta – silnie ochładzają. Na co dzień skupiamy się na neutralności, dodając produkty ciepłe i/lub chłodne, by budować równowagę. Ważne jest zrównoważone odżywianie.

Drzewo to kwaśny,
Ogień – gorzki,
Ziemia – słodki,
Metal – ostry,
Woda – słony.

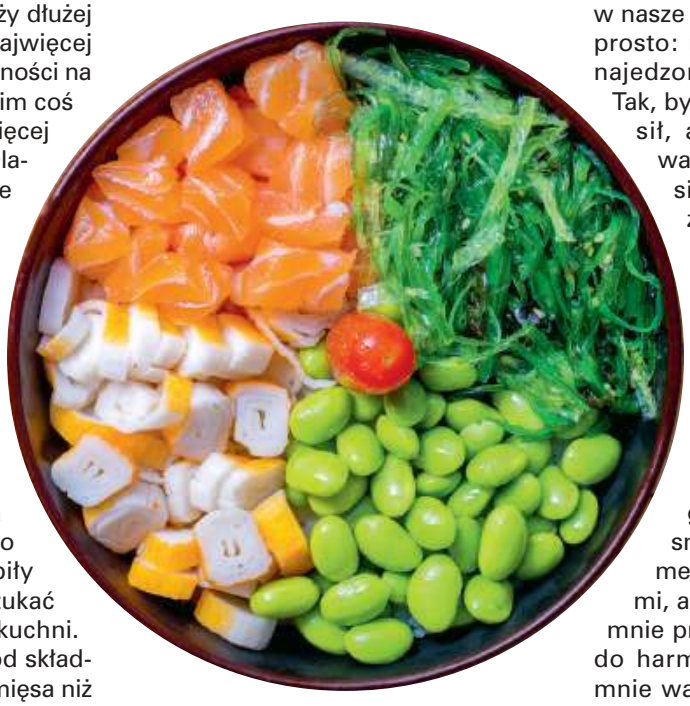

To znaczy?

– Zrównoważone żywienie opiera się przede wszystkim na pełnych ziarnach, warzywach, zieleninach, dobrych olejach, a cennym uzupełnieniem są jajka, ryby, orzechy, nasiona, owoce, dobrej jakości mięso, nabiał (polecany kozi) oraz zioła i przyprawy.

Jak powinien wyglądać harmonogram posiłków w ciągu dnia?

– Zalecane są trzy posiłki, ponieważ potrzebny jest czas na trawienie. Jeśli jednak mamy bardzo szybki metabolizm, będziemy potrzebować zapewne czterech, a może i pięciu posiłków. Śniadanie powinno być najbardziej sycące, obiad również, ale kolacja ma już być lekka, najlepiej warzywna (polecam zupy!). Dobrze, gdy posiłki odbywają się w regularnym rytmie: śniadanie do godz. 9 (a najpóźniej do 11), obiad do 15, kolacja do 18. W cyklu dobowym organizmu każdy narząd ma swoje dwugodzinne minimum i maksimum. Przykładowo żołądek ma największą moc pomiędzy godz. 7 a 9, a najmniejszą już od 19, stąd stosunkowo wczesne śniadania i kolacje.

Dla mnie chyba za wczesne.

– Przyzwyczajenia żywieniowe można zmieniać i regulować. Ilość i częstotliwość posiłków tak naprawdę zależy od zdrowia, możliwości trawiennych, wieku i płci. Polecam jedzenie intuicyjne i wsłuchiwanie się w nasze ciało. Co do porcji, powiem prosto: najlepiej wstawać od stołu najedzonym, a nie przejedzonym. Tak, by czuć energię i odświeżenie sił, a nie senność. I ostatnia ważna rzecz – niech pory posiłków wyznacza głód. Jeśli zrezygnujemy z podjadania pomiędzy posiłkami, głód pojawi się naturalnie.

Gotuje pani w ten sposób dla zdrowia?

– Nie tylko dla zdrowia. Zaczęłam gotować według Pięciu Przemian ok. 27 lat temu. To sprawdzona, logiczna metoda, dlatego ją stosuję. Do tego pełnia smaków! Wcześniej eksperymentowałam z innymi kuchniami, ale dopiero ta najmocniej do mnie przemówiła i pokazała drogę do harmonii psychofizycznej. Dla mnie ważna jest zabawa smakami, prostota, radość i pasja. Efektem tej pasji jest 10 książek, wiele lat organizowanych warsztatów gotowania i filozofii Pięciu Przemian; ostatnie dwa lata to edukowanie online z podstaw medycyny chińskiej. Prowadzę kursy, webinary i bezpłatne akcje na Facebooku, gdzie jestem najbardziej aktywna. Mam też bloga, kanał na YouTubie, Instagram, piszę artykuły. Uwielbiam przekazywać swoją wiedzę. Mam w planie kolejne kursy, e-booki i wydarzenia edukacyjne. Najbliższy kurs online to Łatwe Planowanie Jadłospisu, następny będzie cykliczny jesienny kurs oczyszczający. Detoksy wiosenne i jesienne mają ogromną rzeszę zwolenników, więc serdecznie zapraszam wszystkich zainteresowanych!

p.lesniewska@tygodnikprzeglad.pl

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 8bc22f5f95

To Suwalszczyzna wita

W krainie wielkich i małych jezior i kultury pogranicza

Barbara Jagas

Michał jak wielu młodych ludzi nie znalazł pracy na Suwalszczyźnie. Dlatego postanowił założyć własny biznes i zająć się turystyką. A ponieważ jest po leśnictwie, udało mu się połączyć jedno z drugim – czyli własne zainteresowania z możliwościami, które daje ta kraina, bo mieszka nad Czarną Hańczą. Nie obyło się bez pomocy rodziców – Bożeny i Zbigniewa Masłowskich, którzy pochodzą z rodzin o tradycjach leśniczych. A nawet prababci Bernardetty, której ojciec przed II wojną był leśnikiem. Jednym słowem, duch miłości do przyrody w tej rodzinie nie gaśnie, pałeczkę przejmuje młode pokolenie.

Od Budy Ruskiej do Tartaczyska

Startujemy z Dróżniczówki, skąd zabiera nas busem Zbigniew Masłowski, który oprócz tego, że pomaga synowi, pracuje przy wyrębie lasu. Jedziemy drogą w kierunku Budy Ruskiej, gdzie są przygotowane kajaki i gdzie rozpocznie się spływ. Po lewej stronie mijamy posiadłość prezydenta Komorowskiego, który nie wybudował obiecanej mieszkańcom asfaltowej drogi, dlatego kurzy się jak diabli, ledwo widać ogrodzenie.

Tutaj sympatie są podzielone, jedni popierają obecną władzę, drudzy – poprzednią. Młodym jest wszystko jedno, byle iść do przodu, tak jak Michałowi, który wziął dotację z Unii Europejskiej, by móc rozpocząć karierę zawodową (w jego przypadku jest to właśnie organizowanie spływów kajakowych Czarną Hańczą, ale wcześniej musiał się zarejestrować w urzędzie pracy jako bezrobotny). I tak trzymać, bo starsze pokolenie musi przeżywać wzloty i upadki, zwłaszcza te ostatnie związane są z polityką, która rozdaje karty nawet w leśnictwie, a może zwłaszcza w nim, nadleśniczowie bowiem muszą dziś należeć do partii rządzącej, jak mówi jeden z zaufanych ludzi, wymieniając nowe nazwiska. – Najbardziej szkoda fachowców, czyli zwykłych doświadczonych leśników, na których pracy opiera się cała gospodarka lasem, a którzy też zostali wymienieni na „swoich" – wzdycha pan J. ze wsi Giby.

Diana i Jan Chrzciciel

Czeka nas 12 km trasy Czarną Hańczą, a wybraliśmy średnio trudną, bo jest jeszcze 15-kilometrowa w kierunku Dworczyska, przez Puszczę Augustowską – dla bardziej zaawansowanych kajakarzy, i mający tylko 4 km odcinek do Studzianego Lasu – dla osób z małymi dziećmi. My jesteśmy w miarę młodzi i wysportowani, chociaż ja kajakiem pływałam ostatnio w liceum. Pan Zbyszek zapewnia, że nasz wybór jest najlepszy – są tutaj najpiękniejsze zakola rzeki, a właściwie wije się ona jak serpentyna. I dobrze, jest upał 30-stopniowy, więc na rozpoczęcie spływu nadaje się godz. 9. – Najpierw będziecie płynęli pod słońce, trzeba więc szybciej pokonać ten odcinek, a potem już pojawią się drzewa i półcienie, wtedy będzie można zwolnić i zatrzymywać się na kąpiel. Miejscami rzeka będzie bardzo płytka i rwąca, jak potok, sami zobaczycie, wtedy lepiej wiosłować dalej – uprzedza nas ojciec dopiero co powstającego biura turystycznego.

Jesteśmy mu wdzięczni, ale sami chcemy wszystko sprawdzić i poczuć na własnej skórze. To tak jak z planami – trzeba je mieć na życie, ale potem i tak wymagają korekty. Chociaż więc pan Zbigniew mówi, że podróż potrwa od dwóch do czterech godzin, w praktyce wychodzi inaczej. Bardzo silny wiatr zmusza nas do ostrego wiosłowania, a słońce pomimo poranka pali niemiłosiernie. Decydujemy się na postój wcześniej, niż zakładaliśmy, tym bardziej że kusi zielona, pięknie przystrzyżona trawa, drewniane pieńki i stoliki, a także świeże drożdżowe jagodzianki z kawką. Mnie brakuje zsiadłego mleka, ale dobrze, że wzięłam ze sobą kefir. Mój partner zabrał trochę migdałków i parę cukierków miętowych, mamy termos z herbatą i kanapki. Wszystko przyda się na potem, teraz zjemy po pół jabłka; nie będziemy pili proponowanych nalewek, bo w upał tylko osłabiają.

Obsługuje nas dowcipna para: Diana i Jan Chrzciciel, jak o sobie mówią. Ona sprzedaje, zachowując postawę księżniczki, on zabawia turystów, opowiadając różne historie. A to, że mieli dopiero co spływ narkomanów, żaden z nich niczego nie kupił, bo pan kierownik wycieczki, widocznie terapeuta, nie pozwolił nikomu opuścić łodzi. – Stali tylko na brzegu i smażyli się w słońcu, aż mi ich było żal, bo byli spoceni jak diabli – mówił Jan, który sam przyznał,

Przystanek na Czarnej Hańczy.

eprasa.pl 8bc22f5f95

Autorka przed Oficerskim Yacht Clubem.

że od 12 lat jest niepijącym alkoholikiem. Dlatego tylko pokropił nas wodą z Czarnej Hańczy na pożegnanie i pogratulował, że nie napiliśmy się alkoholu na drogę. Takich postojów zrobiliśmy pięć, a mogliśmy jeszcze więcej, ponieważ co kilkaset metrów można było skorzystać z przystani, gdzie zapraszano na kolejne smakołyki, bezpieczną kąpiel, a raz nawet do sauny. Widocznie była to oferta dla modnych w pandemii morsów, tyle że nie zdążono zlikwidować tablicy informacyjnej, bo lato przyszło szybciej, niż niektórzy się spodziewali.

Jako zapaleni pływacy korzystaliśmy z każdej możliwości kąpieli, szczególnie że temperatura rosła i w łodzi było coraz goręcej. Najgorsze były szuwary, w które tego lata Czarna Hańcza jest bogata, bo poziom wody niski, choć nad Suwalszczyzną raz na tydzień spadnie większy deszcz. Wiadomo, ten kawałek naszego kraju należy już trochę do innego klimatu – bardziej kontynentalnego i suchego. I gdy w innych regionach są powodzie, w okolicach Suwałk nie spadnie ani kropla. Te wystające co rusz łodygi nie tylko ograniczały nam widoczność, ale też nas spowalniały. Do mety, a była nią Dróżniczówka, piękny dom z biznesem Michała Masłowskiego, znajdujący się na końcu wsi Tartaczysko, dotarliśmy, bagatela, po ośmiu godzinach. A mimo to szczęśliwi, bo zmęczeni i zrelaksowani ciszą, jaką

Pomnik autorstwa prof. Gustawa Zemły w Czerwonym Krzyżu.

daje ta kraina. Oprócz bowiem gościny u Diany i Jana nie zaglądaliśmy na inne przystanie, zatrzymując się w najdzikszych i najspokojniejszych miejscach, jakich na Czarnej Hańczy wciąż sporo.

Gość w dom…

Średnie i starsze pokolenie radzi sobie na Suwalszczyźnie jak w reszcie kraju. Bardziej przedsiębiorczy urządzili się w kapitalizmie, mniej zaradni – zeszli na margines. W każdym razie koronawirus nie przeszkodził tak bardzo tym pierwszym, bo jeśli ktoś miał ustabilizowaną pozycję, to miał do czego wrócić. A jeśli nie, będzie mu trudniej coś rozpocząć, np. w biznesie turystycznym.

Mogliśmy zanocować w hotelu Hańcza w Suwałkach lub w wozie Drzymały we wsi Krusznik na terenie Biebrzańskiego Parku Narodowego. Wybraliśmy to drugie, bo lubimy ciszę i spokój, a goszczący nas pan Janek Czupajło, który jest już na emeryturze, ale postanowił pracować dalej, robi nam ekologiczne śniadania – np. jajko sadzone na kaszy gryczanej doprawionej ziołami i warzywami z własnego ogrodu. Jego brat Jacek, mieszkający z mamą i synem po sąsiedzku, też chciałby przyjmować gości, ale nie może dokończyć piętra, które oddałby turystom, ponieważ jednocześnie zajmuje się stawianiem cudzych domów. Szewc bez butów chodzi, chciałoby się powiedzieć, ale życzymy panu Jackowi powodzenia, tym bardziej że jego biznes się kończy, wszystkie materiały budowlane podrożały. Tylko Maciej, któremu udziela darmowej gościny w jednym z wybudowanych domków, niczym się nie martwi, bo jest wolnym człowiekiem, który przyjechał z wolnego kraju, czyli Stanów.

Historia znajomości warszawiaka i kruszniczanina, która zaczęła się przed 40 laty, gdy obaj chłopcy spotkali się w pobliskich Zakątach na wakacjach, jest gotowym scenariuszem na film. Zwłaszcza dziś, gdy nawet w rodzinach jesteśmy podzieleni ze względu na politykę. Tymczasem pan Maciej, bardziej dziś Amerykanin niż Polak, przyjeżdża do kolegi, którego poznał jeszcze w poprzednim ustroju, a ten go przyjmuje do domu, o nic nie pytając i nie chcąc nic w zamian. Tak jest na całej Suwalszczyźnie, gdzie żyją ludzie niezwykle gościnni i serdeczni, a wynika to z obyczajów charakterystycznych dla wschodniej Polski, gdzie od wieków króluje reguła: „Gość w dom, Bóg w dom", bez względu na to, czy ktoś jest wierzący, czy nie.

Pan Maciej, prawdopodobnie były bankowiec, czego nie chce nam wprost wyjawić, ale to wynika z jego opowieści, jest postacią na pewno barwną i z niejednego pieca chleb jadał, ale także odpłaca się swojemu darczyńcy, jak może. A to rower mu naprawi, a to ryb przyniesie z pobliskiego jeziora, których potem nasmaży pani Bernadetta, matka Jacka. Jednym słowem, w Kruszniku wymiana trwa.

eprasa.pl 8bc22f5f95

Z Augustowa na Litwę.

Szkoci w Suwałkach

Na terenie Biebrzańskiego Parku Narodowego jest znacznie ciszej niż w Suwałkach, które w ostatnich latach bardzo się rozbudowały i przyciągają tłumy. A teraz powracają dawne imprezy, które zdusił covid; dopiero co odbył się suwalski Blues Festival, pod koniec lipca z kolei mamy jarmark Szkoci na Suwalszczyźnie. Na pewno też spokojniej tam niż w pobliskim Augustowie, kurorcie z czasów PRL. Tamtejszy Wojskowy Dom Wypoczynkowy został przekształcony w Oficerski Yacht Club i zamiast omeg na przystani zobaczymy wypasione jachty. Miejsce jest ogólnodostępne, więc jakiż to jest Oficerski Yacht Club tak naprawdę... W każdym razie również w Augustowie gra muzyka, tam z kolei wystąpił Mateusz Pospieszalski, właściwie człowiek orkiestra, który powróci z koncertami w sierpniu, a także wspaniały Milo Kurtis, współtwórca Maanamu. Tak, kultura jest całkowicie apolityczna, dlatego można o niej pisać tak samo wszędzie, nawet gdy kogoś podejrzewamy o takie czy inne barwy. Gorzej dzieje się w terenie – mam na myśli walkę na pomniki pamięci narodowej. Od jakiegoś czasu jest ich wysyp, lansuje się tylko jedną słuszną stronę. A pomnik autorstwa prof. Gustawa Zemły w Czerwonym Krzyżu jest totalnie zaniedbany. Dlaczego? Bo przypomina o dokonanej w 1944 r. przez hitlerowców i Ukraińców pacyfikacji wsi, w czasie której w odwecie za pomoc partyzantom mieszkańców wywieziono do obozów koncentracyjnych i więzień, a zabudowania spalono. Tymczasem głośno wszędzie o obławie augustowskiej, gdzie śmierć ponieśli też cywile, ale popierający bohaterów dzisiejszych rządzących. Nowy pomnik, jaki im postawiono, złożony z wielu krzyży, robi wrażenie. Ale czy ci, co zginęli po wojnie, są ważniejsi od tych, co głowy położyli wcześniej? Szczególnie że wraz z tamtym tragicznym wydarzeniem skończyła się historia Czerwonego Krzyża, wieś zniknęła z mapy Suwalszczyzny.

Na Suwalszczyźnie żyją ludzie niezwykle gościnni i serdeczni, a wynika to z obyczajów charakterystycznych dla wschodniej Polski.

Mulaczysko bez mułu

Opuszczając z zadumą miejsce po spacyfikowanej wsi, jedziemy nad Wigry, które mają tutaj swoją zatokę. Jak dla nas zdecydowanie zbyt dużo tu ludzi. Najlepiej czujemy się nad kameralnym Mulaczyskiem, które można przepłynąć wszerz i wzdłuż, a co najważniejsze – nie ma tam nikogo. Jednego dnia tylko przyjechała kamperem para, która jednak w niczym nam nie przeszkadzała, bo nawet nie pływali, tylko ciągle coś wcinali. Woda tu przezroczysta, widać dno, zupełnie jak nie w jeziorze, gdzie przeważnie jest muł. Wbrew nazwie w Mulaczysku nie ma go wcale, tak jak w pobliskim Kruszniku, gdzie dodatkową atrakcją jest wieża widokowa. Inne kameralne jeziorko, na które natrafiliśmy, ale już w okolicy Suwałk, pod Raczkami, to Bolesty, obok wsi o tej samej nazwie. Urocze, nieduże, o zielonkawej wodzie. Fale mnie gdzieś niosą, gdy kładę się na grzbiet, prawie zasnęłam, tak mnie ululały; a jednak trzeba uważać. Co ciekawe, dzisiaj chłopi oprócz gospodarki mają działki nad jeziorami. Także tutaj zostaliśmy zaproszeni przez gospodarza na jego plażę, a raczej skoszoną trawę, bo nic więcej na brzegu nie było. Ale po sąsiedzku – i owszem, pomost prywatny i domek. Tutaj nie popływasz, gdybyś przyjechał ni stąd, ni zowąd. Zatrzyma cię napis „teren zamknięty". Brakuje tylko „złego psa".

Najdalej na wschodzie byliśmy nad jeziorem Gaładuś za bardzo klimatycznymi Sejnami, których serce – Biała Synagoga – nadal stoi, tyle że teraz odbywają się tu wystawy i koncerty klezmerskie przez całe lato, a w pobliskiej Krasnogrudzie spotkanie z Agatą Tuszyńską. Chcemy też odwiedzić tamże Dwór Miłosza, jest jednak zamknięty, bo już po godz. 17. Przejdę się więc tylko ścieżką poetów i poczytam wiersze – mistrza, Jerzego Ficowskiego, Teodora Bujnickiego i Tomasa Venclovy. Nie zacytuję żadnego. Już noc...

A jutro bladym świtem do Warszawy, parę dni na Suwalszczyźnie wzbogaciło mnie tak bardzo, że wydaje mi się, że byłam tam miesiąc. Czas się poszerzył.

Barbara Jagas
b.jagas@tygodnikprzeglad.pl

FOT. BARBARA JAGAS, ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 8bc22f5f95

Słuszną linię ma nasza partia!

Czechom będziemy płacić setki milionów złotych za Turów, Amerykanom znacznie więcej za nacjonalizację TVN, Unia – ze względu na orzeczenia trybunału Julii Przyłębskiej – nie wypłaci nam kilkudziesięciu miliardów euro. Ciekawe, czy znajdzie się w centrali i na placówkach choć kilku sprawiedliwych, by rzetelnie ocenić te polityczne decyzje partii rządzącej.

Gdy na przełomie 2002 i 2003 r. Polska przystępowała do koalicji antyirackiej pod przywództwem USA, znalazło się na ówczesnych placówkach kilku pracowników, którzy na podstawie rozmów z kolegami z innych placówek NATO i UE zwracali uwagę na niebezpieczeństwa wynikające z zaangażowania w agresję. Kilku innych, już w centrali, poleciło sporządzenie z tych szyfrogramów notatek i rozesłanie ich do najważniejszych osób w państwie. Nikomu włos z głowy nie spadł. Niektórzy dyrektorzy departamentów poprosili ambasadorów o rozszerzenie zagadnienia i przeprowadzili z nimi koleżeńskie rozmowy, by jednak się nie wychylać, bo decyzje polityczne zostały podjęte. Depesze i notatki z wysokimi klauzulami tajności zostały w archiwach, a weterani tamtych dni, którzy rzetelnie pojmowali swoje obowiązki, mają do dziś satysfakcję. Za którą oczywiście nic sobie nie mogą kupić.

O tym, że lepiej mieć ambasadora w ważnym kraju, niż nie mieć, partia rządząca już się dowiedziała przy okazji problemu z Turowem. Teraz zorientowała się też, że lepiej mieć ambasadora mocarstwa w Warszawie, niż nie mieć. Tyle że robi wszystko, by go do przyjazdu zniechęcić. Jak w zeszłym tygodniu poinformował Onet, od Marka Brzezińskiego, kandydata na ambasadora USA w Warszawie, zażądano, by zrzekł się obywatelstwa polskiego, którego nigdy nie nabył. Podobno ma je na podstawie polskiej ustawy o obywatelstwie – według PiS jest obywatelem Polski po ojcu, który był nim przed wojną. Partia chce więc, żeby poprosił prezydenta Dudę o uchylenie obywatelstwa. To niebezpieczne gierki. Na przykład dla przyszłego (a może i obecnego) ambasadora RP w Niemczech. Otóż konstytucja RFN stanowi, że obywatelami Niemiec są wszyscy, którzy urodzili się do 1937 r. na terenie Niemiec, ich zstępni i małżonkowie. Nie znamy miejsca urodzenia rodziców obecnego ambasadora w Berlinie czy jego małżonki. Nie wiemy, czy zrzekli się niemieckiego obywatelstwa, wszak ich rodzice pochodzą z pogranicza, z byłego zaboru pruskiego. Na pewno następny ambasador może być przez Berlin o to poproszony, jeśli pochodzi z zachodu Polski.

I jeszcze prośba do wszystkich koleżanek i kolegów z mediów, od telewizji państwowej, przez portale internetowe, aż do Faktów TVN: jeśli w ambasadzie USA czy Izraela w Warszawie nie ma ambasadora, to szefem placówki jest *chargé d'affaires*. W wypadku Izraela jest to obecnie pani Tal Ben-Ari Yaalon, a USA pan Bix Aliu. Oni są *chargé d'affaires* USA czy Izraela w Polsce. Nie są *chargé d'affaires* ambasady Izraela czy USA w Warszawie. Są najwyższymi przedstawicielami swoich państw w Polsce.

Zupełnie na koniec pytanie jak do Radia Erewań: Dlaczego PiS sądzi, że amerykańska TVN zagraża bezpieczeństwu Polski, a żołnierze USA w Polsce je wzmacniają?

Attaché

Palestyńczyk kłóci się z izraelską policją graniczną podczas zajmowania przez izraelskie siły kliniki w mieście Yata na Zachodnim Brzegu, 12 lipca 2021 r.

FOT. REUTERS/FORUM

eprasa.pl 8bc22f5f95

JOLKA

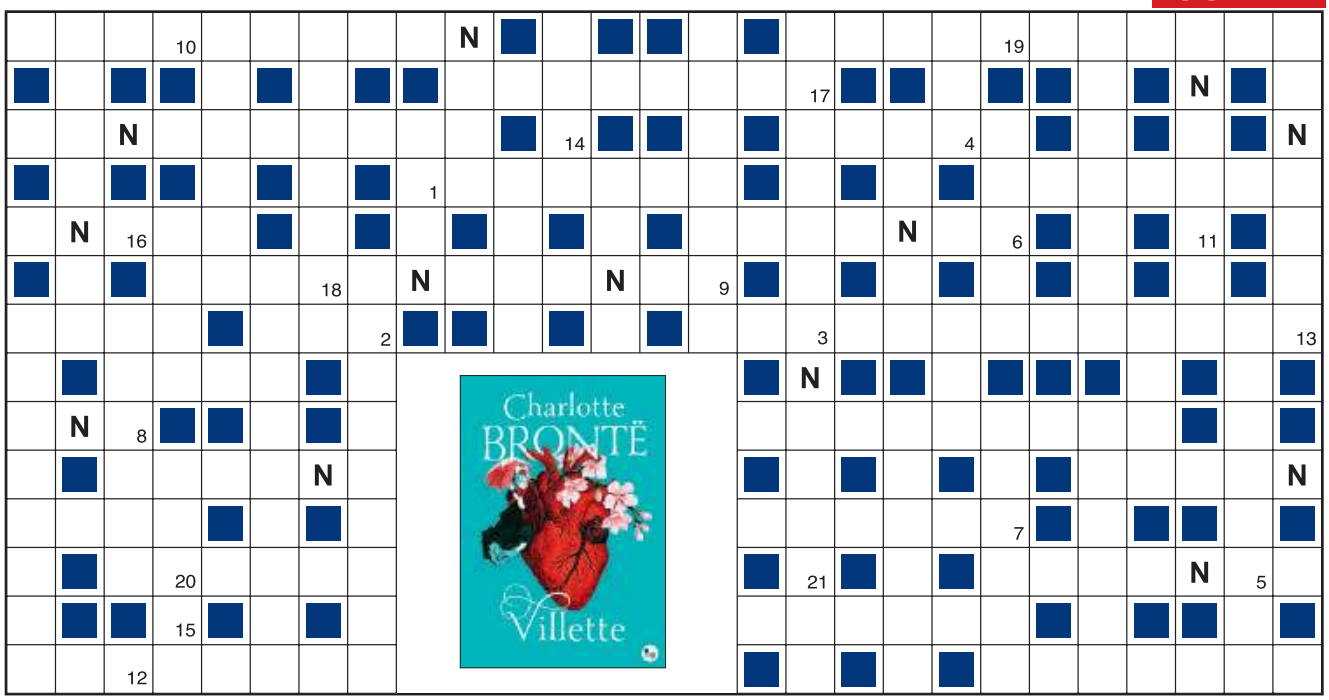

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery N ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 21 utworzą końcowe hasło.

- starszy brat i pomocnik Mojżesza
- smali cholewki
- niejeden brał udział w akcji „Burza”
- mierzony w hektarach, arach
- odrzucanie ogona przez jaszczurki
- z latarnią szukał go Diogenes
- regionalna odmiana języka
- ważne są tylko te, których jeszcze nie znamy
- nielot z antypodów
- karetka reanimacyjna
- bohaterstwo, odwaga i poświęcenie
- w niej wytapiane metale, ale i szkło
- gulgoczący samiec
- podstęp, knowanie
- ziarnista, mielona lub rozpuszczalna
- kieliszek wina, koniaku
- dziki samowolnie zajmuje lokal
- na nim – swobodnie, bez skrępowania
- za słówka albo w lot
- …Wojnicza – zagadkowa księga
- jedna milionowa wolta
- Polska w nim od 1999 r.
- Hanna Banaszak miała ją na chwileczkę zapomnienia
- Klaudiusz dla Nerona
- futerał na pistolet kawalerzysty
- Abbon z „Imienia róży”
- „…się żeni”, komedia muzyczna z 1936 r.
- wyjście awaryjne to …B
- ukryty sens, którego można się domyślić
- nienaruszanie godności, praw mniejszości
- tam zaniesiesz poplamioną marynarkę
- u Marksa przeciwstawiony burżuazji
- …Rady Europejskiej – Charles Michel
- i brytan, i zabiedzony burek
- odbiorca RMF Classic czy Eski
- Richard Starkey, znany jako …Starr
- warszawski teatr muzyczny i aktorka Gąsiorowska
- trzykołowy dla malucha
- powstaje po jednorazowym przejściu koparki
- czerwona naklejka WOŚP
- czasza nad skoczkiem
- i rozrusznik, i przystawka
- urządzenie do nadawania kierunku statkowi
- liczba z toastów urodzinowych
- odgłosy bitwy: …broni, jęki rannych
- do zatykania otworu w beczce
- bohaterka dowcipów, lecz nie blondynka
- …Blair, były premier brytyjski
- przy swoim lub na posterunku
- z packą pracuje na budowie
- wysłuchiwany w auli
- Poziomka – kukiełka z programu dla dzieci
- poranna to jutrzenka

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-1022”. Do rozlosowania książki „Villette” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 25 lipca 2021 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1019” z nr. 27: *Uczuciami nie rządzi rozum.*
Nagrody otrzymują: Maria Mierzwińska z Harty, Maja Sałek z Warszawy, Maria Supik z Cieszyna.

eprasa.pl 8bc22f5f95

PENETRACJE

PRZEMYSŁAW WIELGOSZ, REDAKTOR NACZELNY

Jeżeli chcemy się dowiedzieć, jak działa bańka hipoteczna, to dobrze trafiliśmy. Po pierwsze, transfer publicznych pieniędzy odbywać się będzie za pośrednictwem osób usiłujących kupić mieszkanie, które dzięki wsparciu państwa będą mogły się zadłużyć w prywatnym banku i kupić mieszkanie na wolnym rynku. Po drugie, napływ publicznego pieniądza rozgrzeje prywatny rynek i pozwoli mu rosnąć wraz z cenami i zyskami firm budowlanych.

JERZY HOFFMAN, REŻYSER

Do łódzkiej Filmówki nie miałem szans startować, bo żeby się tam dostać, trzeba było mieć ukończone inne studia. Studia w Instytucie Filmowym w Moskwie wymagały „tylko" zdania egzaminu konkursowego w Ministerstwie Kultury i Sztuki w Warszawie. Trzeba było znać jako tako język rosyjski, a w tym byłem dobry. Nie bałem się także pytań z historii i literatury. Ale we wszystkim, co dotyczyło kina, byłem zielony. Przewodniczący komisji patrzył na mnie coraz bardziej niechętnie, zrozumiałem, że to już koniec. Dupa blada. A on zajrzał jeszcze raz w moje papiery i spytał: „Hoffman… A czy Zygmunt Hoffman z Pierwszej Dywizji to nie pański krewny?". „To mój ojciec", odparłem. Przewodniczącym był Stanisław Wohl, operator i reżyser, przyjaciel ojca z frontu. Więc gdy mnie pytają: „Jak się dostałeś na te studia?", odpowiadam: „Przez kumoterstwo".

JACEK CYGAN, AUTOR TEKSTÓW PIOSENEK, POETA

Wojtek Młynarski, z którym znałem się ze studenckich festiwali, zapytał: „A ty jesteś członkiem ZAiKS-u?". Nie wiedziałem wtedy nawet, co to jest. Powiedział, żebym przyjechał do niego na Łowicką i przywiózł 15 tekstów, to on mi podpisze deklarację do stowarzyszenia. I do dzisiaj jestem dumny, że moim członkiem wprowadzającym był Wojtek Młynarski. A potem do mnie zaczęli zgłaszać się inni, wprowadzałem do ZAiKS-u Grzesia Ciechowskiego, Lecha Janerkę czy Michała Rusinka. Ważne, że są ludzie, do których można się zwrócić, bo czuje się z nimi pewną więź, coś w rodzaju wspólnoty. Gdyby nie było Przybory, Kofty, Młynarskiego, Osieckiej czy Kreczmara, tobym pewnie nie zdecydował się na zawodowe pisanie piosenek, bo oni pokazali, że pisanie piosenek może być sztuką.

JANUSZ CHABIOR, AKTOR

Miało być romantycznie! Trafiliśmy do Corleone, uroczego miasteczka. Jubiler za kwadrans miał kończyć pracę. Agata oglądała biżuterię, wyszliśmy. Chwilę przed zamknięciem posadziłem ją w cukierni, a sam pobiegłem do jubilera. Wróciłem z pierścionkiem, opodal była katedra. Pomyślałem, że oświadczę się jej w świętym miejscu, drzwi były jednak zamknięte, więc ukląkłem na schodach katedry i wręczyłem pierścionek. Nie miałem wątpliwości, że z tą kobietą chcę spędzić resztę życia.

Na czerwonym dywanie podczas 74. Festiwalu Filmowego w Cannes.

FOT. REUTERS/FORUM

Aby język giętki…

RENATA PRZEMYK O ŻYCIU W PANDEMII

Dowiedziałam się o sobie, że potrzebuję mniej, niż sądziłam. I że mam więcej, niż myślałam.

PROF. ALEKSANDER WOLSZCZAN O ŻYCIU POZAZIEMSKIM

Mogą istnieć takie inteligencje, których nasze zmysły nigdy nie zarejestrują.

MIKOŁAJ GRABOWSKI O REFORMIE ROLNEJ

Czy gdyby nie było komunistów, polscy ziemianie sami z siebie w latach 40. zrobiliby rewolucję agrarną? Na pewno nie.

JERZY URBAN O PRZEMYSŁAWIE CZARNKU

Mam dobrą wiadomość. Rychło wyleci z rządu i Bóg go nie obroni. Żegnaj więc, Czarnku, moja osobista rozrywko.

TOMASZ ORGANEK O ANDRZEJU PIASECZNYM

Gratuluję mu coming outu i życia w prawdzie. Jest wspaniałym facetem, inteligentnym i zabawnym.

PRZEMYSŁAW SADURA O LEWICY

Desperacko szuka innego elektoratu. Powinna grać o to, by zostać partią drugiego wyboru dla elektoratu PiS.

JOANNA TRZEPIECIŃSKA O RAMIENIU

Nigdy nie potrzebowałam opierać się na męskim ramieniu. To raczej ja byłam tym ramieniem, na którym można było się oprzeć.

GOSIA BACZYŃSKA O SUKNI DLA OLGI TOKARCZUK

Gdy tylko założyła moją tunikę z kryzą, powiedziała: to jest to. Potem wymyśliłam atramentowy welur, bo świetnie układa się na sylwetce, no i wyszło.

GRZEGORZ TURNAU O WNUCZCE HELENCE

Córka Antosi i Marka Kondrata jest bardzo osobliwym przypadkiem. Szalenie pogodna, energiczna i pomysłowa.

ANDRZEJ CHYRA O MŁODYCH W TEATRZE

Oni są skoncentrowani na własnych granicach. Niewielu interesuje coś, co nie dotyczy bezpośrednio ich interesów.

eprasa.pl 8bc22f5f95

Żadna Kasia, mów mi Metallica

Little Pixie Frou-Frou, North, Chicago, Blue Ivy – aż trudno uwierzyć, że to prawdziwe imiona, które rodzice nadali pociechom. Czym się kierowali, czasem nie sposób odgadnąć. Tego problemu nie mamy w przypadku pewnej mamy z Nowej Zelandii, Nazwała dzieci Metallica And Justice For All, Slayer i Pantera. To się nazywa prawdziwa fanka heavy metalu! I chociaż sama mówi, że nie jest łatwo wychowywać trzy najcięższe zespoły, to my już czekamy na najlepszy album wszech czasów.

Eldorado w szufladzie

Nieotwarta gra „The Legend of Zelda" od Nintendo została sprzedana za 870 tys. dol., czyli grubo ponad 3 mln zł. Wszystko dlatego, że właściciel schował ją w szufladzie w 1987 r. i o niej zapomniał. Kiedy znów ją wyjął, okazało się, że to absolutny unikat, a jakiś kolekcjoner jest w stanie zapłacić za nią fortunę. Powiemy krótko: ludzie, kupujcie gry. Wygląda na to, że pierwszy milion trzeba sprzedać.

Teletubisie mówią: zaszczep się

To, że celebryci reklamują szczepienia przeciw COVID-19, już wszyscy wiemy. Teraz do akcji przyłączyły się Tinky-Winky, Dipsy, Laa-Laa, Po i odkurzacz Noo-Noo. Na swoich mediach społecznościowych opublikowały certyfikaty zaszczepienia szczepionkami AstraTubicca i Noo-nson. Cóż, każdy pomysł jest dobry, wszak dorośli są jak dzieci.

MEMY BEZ ŚCIEMY

Ryby na haju

Czescy naukowcy postanowili sprawdzić, czy narkotyki, które spływają ze ściekami do wody, szkodzą rybom. Rozpuścili w akwarium metamfetaminę w proporcji mikrogram na litr wody, czyli taką ilość, jaka jest wykrywalna w rzekach. Pstrągi pływały w narkotyku przez osiem tygodni, po czym zostały przeniesione do zbiornika z czystą wodą. Ponieważ akwaria były połączone, ryby natychmiast przepłynęły do wody z metamfetaminą. Badacze zaobserwowali, że odurzone ryby były znacznie bardziej aktywne niż trzeźwe. Teraz powiedzenie „czuć się jak ryba w wodzie" nabiera całkiem nowego wymiaru.

Zamieszkaj na Facebooku

Facebook planuje wybudować w pobliżu swojej siedziby miasteczko Willow Park. Znajdzie się tam m.in. osiedle, które pomieści 1729 mieszkań, supermarket i przestrzenie biurowe. Widać, że firma Zuckerberga dąży do tego, aby użytkownicy nie mogli się uwolnić od niebieskiej platformy. Ciekawe, czy zarządcy budynków będą mogli zablokować komuś mieszkanie tak jak administratorzy konta użytkowników. Oczywiście powołując się na regulamin… No i jak mówić na przeprowadzkę? Przelogowanie?

Psie jasnowidzenie

Naukowcy z Uniwersytetu Duke'a uważają, że tysiące lat udomawiania psów sprawiło, że potrafią one „czytać" ludziom w myślach. Zbadano 44 psie szczeniaki, które zostawiono z matką, i 37 wilczków, które wychowywały się z ludźmi. Po kilku tygodniach okazało się, że nietrenowane psiaki lepiej i częściej reagują na polecenia i odczytują sugestie z gestów i spojrzeń. A człowiek nadal człowiekowi wilkiem – może gdybyśmy byli jak psy, lepiej byśmy się dogadywali?

eprasa.pl 8bc22f5f95

Do zakochania jeden kąsek? Ryba w darze od pana zimorodka i winniczki.

Gdzie jest haczyk?

Australijski lekarz David Green przeżył niemały szok, kiedy na zdjęciu rentgenowskim pacjenta odkrył maleńkie haczyki wędkarskie, które utkwiły badanemu w gardle. Medyk podzielił się tą historią z mediami, a internet zalały różne anegdoty z udziałem haczyków. Okazuje się, że wędkowanie to naprawdę niebezpieczna sprawa. Niektórzy przebijają sobie uszy, inni powieki, a ktoś złapał na wędkę oddaloną o 500 m kobietę, która prawie się utopiła. Wychodzi na to, że z wędkarstwem jest jak z paleniem – zagraża twojemu zdrowiu, zdrowiu innych, no i jeszcze środowisku.

Cofnij swój biologiczny zegar

Wykształcona przez układ odpornościowy cytokina o nazwie CXCL9 pozwala ustalić stopień jego „zużycia" i to, ile lat mamy biologicznie. Naukowcy z Instytutu Bucka i Uniwersytetu Stanforda przebadali ponad tysiąc osób i stworzyli molekularny zegar starzenia się iAge. Badania pokazały, że zablokowanie działania produkowanego przez leukocyty białka CXCL9 poprawia stan naczyń krwionośnych. Naukowcy uważają, że dzięki tej wiedzy uda się kiedyś stworzyć terapie odmładzające. Ciekawe, czy wykazując swój wiek biologiczny w sklepie, uda się kupić piwo bez dowodu…

FOT. AMEM (2), SEKCJA GIMNASTYCZNA, PIOTR PŁACZKOWSKI/REPORTER, KAROL MAKURAT/REPORTER

Przegląd

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:
Paweł Dybicz e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępcy redaktora naczelnego:
Roman Kurkiewicz e-mail: r.kurkiewicz@tygodnikoprzeglad.pl
Robert Walenciak e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji:
Joanna Wielgat e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Anna Brzeska, Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń), Adam Godlewski, Beata Igielska, Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Paula Leśniewska, Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski, Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. komunikacji i PR
Piotr Ciszewski e-mail: p.ciszewski@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Izabela Strupiechowska
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120
WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

eprasa.pl 8bc22f5f95

Chapter Two: Powerlessness

Be Silent

IZOLACJA

Łukasz Towpik

Najnowsze prace Łukasza Towpika to zaproszenie do refleksji nad odczuciami po roku spędzonym w pandemicznej rzeczywistości. Ponad 20 obrazów, które powstały w ciągu ostatnich 14 miesięcy, stanowi komentarz do tego okresu, metaforę samotności i bezsilności. Poprzez malarstwo portretowe i surową stylistykę malarz odzwierciedla naszą egzystencję, kiedy stoimy w obliczu izolacji. Ujawnia nasze wewnętrzne stany, z którymi usiłowaliśmy sobie poradzić, z różnym zresztą skutkiem. Jest to pierwsza solowa wystawa Łukasza Towpika. Została zaprojektowana z myślą o postindustrialnych wnętrzach fabryki porcelany w Ćmielowie.

Galeria van Rij
Ćmielów, ul. Sandomierska 243
do 31 lipca

Isolation

Selene

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 8bc22f5f95

Przekaż datek 62 1240 2294 1111 0000 3718 5444

eprasa.pl 8bc22f5f95

Zostań Partnerem Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę

Rozpoczynamy projekt rozbudowy i modernizacji placówki, w której skrzywdzone i wykorzystywane seksualnie dzieci od 2018 roku otrzymują bezpłatną pomoc.

Pomóż dzieciom – dołącz do Partnerów Zielonego Centrum Pomocy Dzieciom!

Kontakt: magda.sadlowska@fdds.pl

Więcej na stronie: fdds.pl

FUNDACJA DAJEMY DZIECIOM SIŁĘ

tremend

ODDZIAŁ WARSZAWSKI STOWARZYSZENIA ARCHITEKTÓW POLSKICH

eprasa.pl 8bc22f5f95